

Drew Karpyshyn

**Mass Effect
Odwet**

2011

trident

Wydanie oryginalne

Tytuł oryginału:

Mass Effect: Retribution

Data wydania:

2010

Wydanie polskie

Data wydania:

2011

Przełożyła:

Milena Wójtowicz

Wydawca:

Fabryka Słów sp. z o.o.

www.fabryka.pl

e-mail: biuro@fabryka.pl

ISBN 978-83-7574-496-5

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

tridentebooks@gmail.com

*Mojej żonie, Jennifer.
Dziękuję, że zawsze przy mnie jesteś.
Dzięki Tobie mogę podążać za marzeniami...
i mam kogoś, z kim mogę je dzielić.*

Podziękowania

*Raz jeszcze chcę wyrazić swoją wdzięczność
dla całego zespołu Mass Effect w BioWare za
ich ciężką pracę. Bez Waszych nieustrudzonych
wysiłków nie powstałby Mass Effect.
Chcę też podziękować wszystkim fanom, którzy okazali tak
wielkie zainteresowanie tym, co stworzyliśmy.
Bez Waszego wsparcia niczego byśmy nie osiągnęli.*

Prolog

Człowiek Iluzja siedział w fotelu i patrzył w okno widokowe zajmujące całą ścianę jego sanktuarium.

Bezimienna stacja kosmiczna, z której uczynił swoją bazę, orbitowała wokół czerwonego giganta klasy M. Płonąca tarcza słońca wypełniała dolną połowę okna, przyćmiewając, choć nie całkiem gasząc, blask znajdujących się za nim gwiazd.

Gigant był w ostatnim stadium swojego trwającego sześć bilionów lat życia. W ostatnim akcie istnienia zapadnie się w siebie, pochłonie cały układ i zmieni się w czarną dziurę. Planety i księżyce, które zrodził, zostaną pożarte przez potężną grawitację ciemnej, bezdennej paszczy.

Ta scena śmierci gwiazdy była kwintesencją poglądów Człowieka Iluzji na temat galaktyki: piękna, wspaniała i śmiertelnie niebezpieczna. Życie mogło pojawić się w najmniej prawdopodobnych miejscach i przyjąć najbardziej niezwykłą formę tylko po to, by ulec zniszczeniu w kosmicznym mgnieniu oka.

Nie zamierzał pozwolić, by taki koniec stał się udziałem ludzkości.

– Wyłącz okno.

Ściana poczerniała i ogromny pokój, w którym siedział Człowiek Iluzja, pogrążył się w półmroku.

– Światło – polecił Człowiek i sufit natychmiast się rozjarzył.

Przywódca Cerberusa obrócił się w fotelu. Z oknem za plecami pochylił się nad holopadem, którego używał do przyjmowania połączeń. Aktywowane urządzenie wyświetlało trójwymiarowy wizerunek tego, kto dzwonił, tworząc złudzenie, że rozmówca przebywa w tym samym pomieszczeniu.

Oczywiście holopad przekazywał też obraz w drugą stronę, dlatego został tak ustawiony, by widać było fotel i znajdujące się za nim okno. Człowiek Iluzja pojawiał się na tle astronomicznego cudu: porażający widok, wzmacniający jeszcze wizerunek, który Człowiek budował przez lata.

Musiał się napić. Nie jakiegoś syntetycznego, wyprodukowanego przez obcych sikacza, jakie barmani w całej galaktyce serwują co mniej zorientowanym klientom. Człowiek chciał czegoś prawdziwego, czegoś czystego.

– Burbon – powiedział. – Czysty.

Kilka sekund później drzwi na końcu pomieszczenia rozsunęły się i jedna z jego asystentek – wysoka, urodziwa brunetka – pojawiła się ze szklanką w jednej i butelką w drugiej ręce. Obcasy zastukały po marmurowej posadzce. Nogi dziewczyny były tak długie, że mimo obcisłej spódniczki wystarczyło jej zaledwie kilka kroków, by dotrzeć do biurka.

Bez cienia uśmiechu i bez słowa, w stu procentach profesjonalnie, wręczyła mu szklankę. Następnie zaprezentowała etykietę butelki, czekając, aż Człowiek Iluzja zaaprobuje wybór trunku. „Jim Beam Black”, głosiła nalepka. „Wydestylowany do czystej perfekcji w Kentucky”.

– Na trzy palce – polecił.

Asystentka napełniła szklankę i znieruchomiała, oczekując kolejnych poleceń.

Jak zawsze, pierwszy łyk sprawił, że Człowiek przypomniał sobie młodość. Wtedy był przeciętnym obywatelem ziemskiej klasy wyższej – żyjącym wygodnie, dostatnio i nieświadomie.

Rozkoszował się smakiem, tęskniąc odrobinę do tamtych błogich dni, nim założył Cerberusa, nim stał się samozwańczym obrońcą ludzkości, nim Przymierze i obcy sojusznicy z Rady Cytadeli ogłosili Człowieka Iluzję oraz jego popleczników terrorystami.

Nim dowiedział się o Żniwiarzach.

Ze wszystkich znanych wrogów, ze wszystkich zagrożeń zdolnych pewnego dnia unicestwić ludzkość żadne nie mogło się równać z potęgą kryjącą się w mrocznej pustce na skraju galaktyki. Żniwiarze. Ogromne statki – bezwzględne maszyny pozbawione jakichkolwiek uczuć. Przez dziesiątki tysięcy lat – może dłużej – za pomocą cybernetycznych zmysłów obserwowały ewolucję i rozwój cywilizacji ludzi i obcych, czekając na odpowiednią chwilę, by wkroczyć i oczyścić galaktykę z organicznego życia.

Jednak mimo że Żniwiarze stanowili groźbę prawdziwie apokaliptyczną, większość ludzi nic o nich nie wiedziała. Rada utajniła oficjalne raporty o ataku Żniwiarzy na stację kosmiczną Cytadela, ukryła dowody i zataiła prawdę, by zapobiec wybuchowi paniki. Oczywiście Przymierze, stado piesków pokojowych na usługach nowych, obcych panów, podporządkowało się bez protestów.

Kłamstwa sięgały tak głęboko, iż nawet ci, którzy pomagali je stworzyć, uwierzyli, że Żniwiarze to tylko legenda. Kłamcy powrócili do swojej przyziemnej codzienności i udawali, że nic się nie stało, aż przekonali o tym nawet siebie samych – byli zbyt słabi i głupi, by stawić czoło straszliwej groźbie, jaka zawisła nad galaktyką.

Ale praca Człowieka Iluzji polegała właśnie na mierzeniu się z tym, czego inni woleli unikać.

Gdy Przymierze odwróciło się plecami, ignorując problem ludzkich kolonii w Układach Terminusa, które nieustannie traciły mieszkańców, Cerberus daleki był od bagatelizowania tej sprawy. Udało mu się nawet zwerbować komandora Sheparda – największego bohatera

Przymierza – do pomocy w wyjaśnieniu zagadki. A to, czego dowiedział się Shepard, głęboko wstrząsnęło Człowiekiem Iluzją.

Skinieniem głowy Człowiek odprawił asystentkę. Kobieta z wprawą wykonała zwrot w tył na obcasach i zostawiła go sam na sam z myślami.

Upił burbona i odstawił szklankę na podłokietnik fotela. Potem sięgnął do wewnętrznej kieszeni sztytej na miarę marynarki i wyciągnął długą srebrną kasetkę.

Z niewymuszonym wdziękiem, świadczącym o wieloletniej praktyce, płynnym ruchem otworzył pokrywkę, wyciągnął papierosa i zamknął pudełko. Kasetka zniknęła na powrót w kieszeni, a w dłoni Człowieka pojawiła się ciężka czarna zapalniczka.

Człowiek Iluzja zaciągnął się powoli, dym wypełnił mu płuca. Tytoń od wieków obecny był w ziemskiej kulturze, a palenie stanowiło rytuał niemal każdego rozwiniętego społeczeństwa. Nic więc dziwnego, że zwyczaj ten ludzie ponieśli w kosmos. Różne rodzaje tytoniu stały się popularnym towarem eksportowanym do wielu kolonii, nie tylko ludzkich.

Byli nawet tacy, którzy ośmielali się twierdzić, że niektóre z salariańskich genetycznie modyfikowanych gatunków ziemskiego tytoniu były lepsze od wszystkiego, co kiedykolwiek zdołała na tym polu osiągnąć ludzkość. Jednak Człowiek Iluzja lubił whisky i tytoń rodzimej produkcji. Jego papieros wyprodukowano z odmiany uprawianej na ogromnych plantacjach w sercu Ameryki Południowej, jednego z nielicznych pozostałych na Ziemi obszarów rolniczych.

Kłopoty zdrowotne towarzyszące ongiś paleniu nie były problemem w dwudziestym drugim wieku. Postęp chemii i medycyny wyeliminował takie choroby, jak rak i rozedma płuc. Mimo to palenie wciąż jeszcze budziło kontrowersje. Delegalizacja tytoniu wprowadzona w połowie dwudziestego pierwszego stulecia obowiązywała nadal w granicach kilku z ziemskich krajów. Wielu Ziemian uważało papierosy za obrazę moralności – symbol wyzysku i obojętności bezwzględnych korporacji, które w imię dochodów akcjonariuszy doprowadziły do śmierci milionów.

Jednak dla Człowieka Iluzji palenie oznaczało coś zupełnie innego. Smak, łaskotanie dymu w płucach i ciepła fala nikotyny rozprzyskująca się po jego organizmie niosły ze sobą poczucie bezpieczeństwa, jakie dawało powtarzanie doskonale znanych czynności, oraz satysfakcję z zaspokojenia potrzeby: dwa podstawowe elementy gwarantujące ludziom dobre samopoczucie. Palenie było rytuałem, który warto celebrować... zwłaszcza teraz, gdy nad ludzkością zawisła groźba zagłady.

Palcie, jeśli możecie, pomyślał, przywołując cytat z dawno zapomnianego źródła. *Bo żaden z nas nie dożyje jutra.*

Człowiek Iluzja zaciągnął się kilka razy, a potem zdusił papierosa w popielniczkę wbudowanej w oparcie fotela i sięgnął po drinka.

Choć sytuacja przedstawiała się raczej ponuro, nie poddawał się rozpaczce. Był kimś, kto zwykł stawiać czoła problemom, i nic się w tym względzie nie zmieniło.

Komandor Shepard odkrył, że ludzkich osadników uprowadzili Zbieracze, gatunek obcych, żyjący w izolacji, całkowicie podporządkowany woli Żniwiarzy. Ogromne statki, choć uwięzione w mrokach kosmosu, mogły kontrolować swoje nieszczęsne sługi nawet z odległości milionów lat świetlnych.

Powolni rozkazom mechanicznych panów Zbieracze porywali ludzi i przewozili ich do swojego ojczystego świata w centrum galaktyki. Tam ofiary mutowano, a potem zmieniano w organiczną papkę, którą wykorzystywano do eksperymentów. Jeden z najbardziej straszliwych miał dostarczyć energii do stworzenia nowego Żniwiarza.

Shepard – z pomocą Cerberusa – udaremnił operację Zbieraczy. Ale Człowiek Iluzja wiedział, że Żniwiarze nie zrezygnują. Ludzkość musiała przygotować się na starcie z bezwzględny i bezlitosny przeciwnikiem. Jedyń szansą na zwycięstwo było poznanie słabości Żniwiarzy i wykorzystanie tej wiedzy przeciwko wrogowi.

Cerberus zgromadził pozostałości urządzeń, z których Zbieracze korzystali podczas misji. Agenci Człowieka Iluzji zaczęli już przygotowywać bazę, gdzie można będzie przeprowadzić pierwsze, ostrożne testy obcej technologii. Lecz istniał tylko jeden sposób na zdobycie pożądanej wiedzy: powtórzenie eksperymentów Zbieraczy na żywych przedstawicielach własnego gatunku.

Człowiek Iluzja w pełni zdawał sobie sprawę z ohydy tego planu. Ale czym była etyka i moralność wobec konieczności przetrwania? Cierpienie garstki ofiar dawało szansę na uratowanie całej ludzkości.

Plan odtworzenia eksperymentów Zbieraczy miał być przeprowadzony w tajemnicy, bez informowania czy angażowania Shepada. Sojusz Cerberusa i bohatera można było określić jako co najmniej skomplikowany. Żadna ze stron nie ufała drugiej. Może w przyszłości znowu podejmą współpracę, ale na razie Człowiek Iluzja wołał polegać na swoich najlepszych agentach.

Cichy brzęczyk zasygnalizował nadejście wiadomości od jednego z nich.

– Włącz okno widokowe – nakazał Człowiek, wyprostowawszy się w fotelu, i skupił uwagę na holopadzie.

Światła ściemniały automatycznie, a ściana za plecami mężczyzny stała się przezroczysta. Umierające słońce wypełniło pokój pomarańczowo-czerwonym blaskiem.

– Przyjmij – mruknął Człowiek Iluzja i nad holopadem pojawił się wizerunek Kai Lenga.

Jak większość ludzi, Kai Leng był dzieckiem prawdziwie globalnej kultury. Jego chińskie dziedzictwo sprawiło, że miał wyraźnie azjatycki kształt oczu i kolor włosów, ale szczeka i nos sugerowały słowiańskich albo rosyjskich przodków.

– Znaleźliśmy go – zameldował Kai Leng. Człowiek Iluzja nie musiał pytać kogo. Najlepszy zabójca Cerberusa od niemal trzech lat tropił tylko jeden cel.

– Gdzie? – zapytał Człowiek.

– Na Omedze.

Węzły mięśni na szyi Kai Lenga napięły się, gdy wypowiadał tę nazwę – mimowolna, lecz zrozumiała reakcja. Odraza. Ta stacja kosmiczna reprezentowała wszystko, czym Cerberus gardził: rządziło tam prawo pięści, nie istniały żadne ograniczenia, a okrucieństwo stanowiło szarą codzienność. Kai Leng odruchowo odwrócił głowę, odsłaniając fragment tatuażu, który miał na karku: węża połykającego swój ogon.

Ouroboros był przede wszystkim symbolem wieczności, ale Człowiek Iluzja wiedział, że ma on też znaczenie mroczniejsze: zagładę.

Cerberus dziesięć lat temu uwolnił Kai Lenga z obozu więziennego Przymierza. Człowiek Iluzja sprawdził dokładnie przeszłość zwerbowanego: marine po szkoleniu w siłach specjalnych N7, aresztowany za zabójstwo kroganina w barowej bójce, gdy był na przepustce w Cytadeli.

Przymierze surowo potraktowało swego porucznika, ukarało go dla przykładu degradacją i zesłaniem na dwadzieścia lat do więzienia. Na długość wyroku miały niewątpliwie wpływ akta personalne ekszołnierza, zawierające liczne informacje o spięciach, sprzeczkach, a nawet agresywnych zachowaniach wobec obcych. Dla Człowieka Iluzji był to niezbity dowód, że Leng ma właściwą osobowość i poglądy. Na dodatek Kai Leng zdołał zabić kroganina uzbrojony wyłącznie w standardowy wojskowy nóż, co w połączeniu z cechami charakteru czyniło go rekrutem idealnym.

W ciągu lat, które minęły od zorganizowanej przez Cerberusa ucieczki, Kai Leng został najlepszym specjalistą od brudnej roboty w organizacji. Był kimś więcej niż tylko bezlitosnym zabójcą. Rozumiał potrzebę dyskrecji, wiedział, jak planować i przeprowadzać skomplikowane i delikatne operacje.

Teraz gdy cel został odnaleziony, Człowiek Iluzja w pierwszym odruchu chciał wydać rozkaz likwidacji. Potem jednak wpadł mu do głowy inny pomysł. Wciąż potrzebny był obiekt do przyszłych eksperymentów: dlaczego nie upiec dwóch pieczeni przy jednym ogniu?

– Sprowadź go tu – powiedział. – Żywego. Zatrzyj za sobą ślady.

– Zawsze to robię – odparł Kai Leng.

Człowiek Iluzja usatysfakcjonowany mruknął pod nosem: „Wyłącz”, holograficzny wizerunek zabójcy zamigotał i zniknął.

Człowiek odchylił się, obracając w dłoni szklanę. Trunek zawirował. Mężczyzna dopił, rozkoszując się ostatnim łykiem bez pośpiechu.

Trochę to trwało, Grayson, pomyślał w dużo lepszym nastroju. Ale już ja się postaram, żeby twój koniec wart był tego oczekiwania...

Jeden

Paul Grayson wiedział, że jest poszukiwany. Trzy lata temu dla córki zdradził Cerberusa, ale nawet gdyby minęło TRZYDZIEŚCI, Człowiek Iluzja nie odwołałby swoich psów gończych.

Rzecz jasna, zmienił nazwisko. Paul Grayson zniknął zastąpiony przez Paula Johnsona. Ale stworzenie fałszywej tożsamości było zaledwie pierwszą linią obrony – nie wystarczyłoby, gdyby któryś z agentów go sprawdził. A agenci byli wszędzie.

Od powstania Cerberusa Człowiek Iluzja zdołał umieścić wtyczki w każdej niemal komórce rządu Przymierza. Nie było miejsca w przestrzeni pod rządami Rady, gdzie Grayson mógłby się ukryć. Więc uciekł na Omegę.

Człowiek Iluzja nigdy nie zdołał stworzyć placówki na stacji będącej de facto stolicą Układów Terminusa. Cerberus był dobrze znany z radykalnie proludzkiego nastawienia, dlatego też nie cieszył się sympatią watażków, przywódców gangów i uzurpatorów, niemal zawsze obcych, którzy rządzą Omegą. Nawet gdyby Człowiek Iluzja podejrzewał, że Grayson ukrywa się na stacji, niełatwo byłoby go znaleźć.

Ironia losu, że umiejętności, które Grayson zdobył, pracując dla Cerberusa – szpiegostwo i zabijanie – okazały się bardzo pożyteczne, gdy rozpoczął nowe życie jako najemnik na Omedze. Nauczony, jak zabijać obcych, Grayson teraz zabijał dla obcych.

– Tracimy czas – burknął Sanak, odkładając karabinek snajperski. Poprawił skafander bojowy i zajął wygodniejszą pozycję za stosem skrzyń, który stanowił osłonę dla niego i drugiego strzelca.

Mężczyzna nie poruszył się, tylko trzymał broń wycelowaną w statek zacumowany po drugiej stronie doku towarowego. Wiedział, że jego batariański partner stara się za wszelką cenę uniknąć kontaktu fizycznego.

Batarianin obrócił głowę i spojrzał na kucającego obok Graysona. Zamrugał tylko powiekami wyższej pary oczu, niższa nawet nie drgnęła.

– Zawsze chcesz czekać, człowieku – prychnął. – To oznaka słabości.

– To oznaka inteligencji – odparował Grayson. – Dlatego to ja dowodzę.

Sanak znał tylko jeden sposób rozwiązywania problemów – traktowanie ich z byka. Dlatego też współpraca z nim bywała trudna. Nie przepadał także za ludźmi, a to – przy głęboko zakorzenionej niechęci Graysona do batarian – jeszcze wszystko utrudniało.

W przeszłości kontakty ludzko-batariańskie miały burzliwy przebieg. Po wkroczeniu na scenę galaktyki ludzkość rozpoczęła ekspansję, która zepchnęła batarian ze Skylińskiego Pogranicza. Batarianie zareagowali agresją i tak doszło do międzygatunkowej wojny – wojny, którą batarianie przegrali. Teraz byli wyrzutkami i pariasami w cywilizowanych światach Rady – ledwo zauważani, traktowani nieufnie i podejrzliwie.

Jednak zdawało się, że na ulicach Omegi wyłażą z każdego kąta. Po opuszczeniu Cerberusa Grayson starał się zwalczyć ksenofobię, jaką zaraził się od Człowieka Iluzji. Ale stare nawyki umierają ostatnie, no i Grayson nie miał specjalnie ochoty, by objąć serdecznie „czterooką poczwagę”.

Na szczęście on i Sanak nie musieli się lubić, by razem pracować. Aria jasno im to wyłożyła przy kilku okazjach.

– W sumie siedem celów – w jego słuchawce rozległ się miękki głos Liselle. – Drużyna na pozycjach, oczekuje rozkazów.

Grayson poczuł falę adrenaliny. Ogarnęło go znajome podniecenie, jak zawsze przed akcją. Sanak przyjął identyczną pozycję.

– Naprzód – szepnął Grayson. W odpowiedzi rozległ się huk wystrzałów, gdy Liselle i jej zespół wkroczyli do akcji.

Chwilę później zza statku wybiegli czterej turianie. Zwróćni tyłem do Graysona i Sanaka, całą uwagę i siłę ognia skupiali na Liselle.

Naciskając spust, Grayson wypuścił z płuc powietrze w długim, powolnym wydechu. Jeden z turian padł. Tarcza kinetyczna jego kombinezonu została już osłabiona przez pierwszą salwę Liselle i nie mogła zatrzymać kuli snajpera.

Chwilę później runęło kolejnych dwóch, powalonych idealnie wymierzonymi strzałami Sanaka.

Mogę tego dupka nie lubić, pomyślał Grayson, zdjawszy ostatniego przeciwnika, *ale zna się na swojej robocie*.

Ostatni turianin zdołał zrobić dwa kroki w stronę skrzyni, za którą chciał się ukryć, ale Grayson trafił go między łopatki.

Przez kilka sekund panowała absolutna cisza.

– Zneutralizowaliśmy cztery cele – poinformował towarzyszy Grayson.

– My trzy – odpowiedziała Liselle. – To wszyscy.

– Ruszajmy – polecił Grayson Sanakowi, po czym wyskoczył z kryjówki i rzucił się biegiem ku zabitym.

Turianie należeli do gangu Talonów, a magazyn znajdował się głęboko na ich terytorium. Noc była późna, a miejsce odludne, więc raczej nikt nie widział ataku ani nie słyszał strzałów. Z tym że nie na pewno, a im dłużej drużyna zwlekała, tym bardziej rosło ryzyko spotkania innych żołnierzy gangu.

Gdy Grayson i Sanak dotarli do ciał, Liselle i dwóch batarian wchodzących w skład

oddziału już przeszukiwali zabitych.

– Jak na razie pięć kilo – poinformowała Graysona niebieskoskóra asari, podnosząc kilka plastikowych torebek z różowym pyłem. – Dziewięćdziesiąt, może dziewięćdziesiąt pięć procent czystości.

Grayson z własnego doświadczenia wiedział, że nawet odrobina przetworzonego czerwonego piasku gwarantowała, że człowiek znajdzie się na haju. Pięć kilo wystarczyło, by blok mieszkalny miał roczny odlot. Wartość takiej ilości narkotyku przeliczało się na obszarach pod jurysdykcją Rady na sumy sześciocyfrowe. Lub długie wyroki. Dlatego Aria zleciła ten atak.

Na Omedze nie było żadnych praw, żadnych sił policyjnych. Porządek na stacji utrzymywały gangi. Ale choć nie było praw, istniały zasady. Zasada numer jeden brzmiała: nie drażnić Arii T'Loak.

– Przy tym jest dwa kilo – powiedział Sanak, wyciągając zapieczętowany pakunek z kamizelki przeszukiwanego.

– Ten miał pecha, wpadł na kulę. – Jeden z batarian podniósł torebkę, by Grayson mógł zobaczyć, że przez dziurkę wysypują się drobne czerwone ziarenka.

– Zapieczętuj to – warknął Grayson, cofając się gwałtownie.

Czerwony piasek nie miał wpływu na batarian czy asari, ale Graysona jeden niuch posłałby na dobowy odjazd.

– Aria chce wszystko – przypomniał im. – Cały ładunek. To ma być wiadomość.

Aria, znana jako Królowa Piratów, od dwóch stuleci de facto rządziła Omegą. Każdy gang w jakiś sposób składał jej daninę za przywilej prowadzenia nieskrępowanych interesów na stacji. Ci, którzy próbowali wykiwać Arię – na przykład nie dzieląc się zyskiem od przemytu czerwonego piasku – musieli ponieść konsekwencje.

– To wszystko – zameldowała Liselle, wyprostowawszy się po przeszukaniu ostatniego ciała.

Grayson nie po raz pierwszy dostrzegł jej urodę. Według ludzkich standardów wszystkie asari były niezwykle piękne. Przedstawicielki tego jednopłciowego gatunku pomimo niebieskiej skóry bardzo przypominały ludzkie kobiety. Zamiast włosów miały ruchome fałdy, jakby rzeźbę, ale to nie wpływało ujemnie na ich atrakcyjność seksualną.

Liselle była uważana za niezwykle urodziwą nawet pomiędzy swoimi pobratymkami. Obcisły kombinezon bojowy podkreślał jeszcze krągłości jej ciała. Grayson wciąż odczuwał wpojona przez Cerberusa nieufność do obcych, nie umiał więc powstrzymać się od rozważań, czy to tylko wygląd Liselle sprawiał, że była tak pociągająca, czy kryło się w tym coś więcej.

Asari były nie tylko gatunkiem biotyków, ale posiadały też subtelne, lecz potężne zdolności empatyczne, graniczące wręcz z telepatią. Grayson słyszał kiedyś teorię, że asari korzystają ze swojego talentu, by wpływać na percepcję innych, sprawiając, że postrzegano je jako atrakcyjniejsze niż w rzeczywistości. Jeśli naprawdę tak było, to Liselle musiała być

wyjątkowo uzdolniona w tej dziedzinie.

– Zabezpieczcie piasek i wycofujemy się – Grayson skupił się na zadaniu. – Zachowajcie ostrożność i czujność. Pamiętajcie, wciąż jesteśmy na terenie wroga.

Liselle i pozostali spakowali torebki z narkotykiem.

Grayson prowadził, a Sanak pilnował tyłów. Mały oddział wyszedł z magazynu na ciemne ulice dzielnicy. Szybko przemierzali skomplikowany labirynt alejek, nie mogli się doczekać, aż dotrą na przyjazne albo chociaż neutralne obszary.

Było późno, dobrze po połowie nocnego cyklu stacji. Na ulicach kręciło się niewielu przechodniów. Głównie cywile, mężczyźni i kobiety wszelkich gatunków, którzy z różnych powodów żyli i pracowali w dzielnicy kontrolowanej przez Talonów. Łatwo ich było rozpoznać – na widok ciężko uzbrojonego oddziału zawracali albo umykali w mrok bram, by za wszelką cenę uniknąć konfrontacji.

Graysonowi wystarczyło jedno spojrzenie, by uznać ich za niegroźnych. Rozglądał się za patrolami Talonów. Co prawda Talonowie z pewnością nie spodziewali się, że Aria przypuści atak w samo serce ich terytorium, i nawet jeśli zdołaliby zareagować na napaść, to tylko w sposób spontaniczny i niezorganizowany, ale turiański gang jako jeden z nielicznych regularnie wysyłał patrole na ulice, by przypomnieć przechodniom i mieszkańcom, kto kontroluje dzielnicę. Grayson wiedział, że taki patrol, zobaczywszy uzbrojony oddział w kombinezonach bojowych, natychmiast otworzyłby ogień.

Okazało się jednak, że drużyna miała szczęście. Opuściła terytorium Talonów i weszła do centralnych dzielnic Omegi, nie natknąwszy się na przeciwników. Dla pewności Grayson jeszcze przez kilka przecznic kazał oddziałowi iść w szyku, na wypadek gdyby jednak pojawił się pościg.

Dopiero gdy Liselle położyła mu dłoń na ramieniu i powiedziała: „Chyba już jesteśmy bezpieczni”, rozluźnił napięte mięśnie.

– Aria czeka na nas w Pośmiertnym – przypomniał mu Sanak.

Grayson doskonale wiedział, gdzie jest ich szefowa. I w tym właśnie tkwił problem – wszyscy to wiedzieli.

Pośmiertny był towarzyskim centrum Omegi, klubem, w którym zamożni i bogaci mieszały się ze zwykłymi mieszkańcami stacji w czysto hedonistycznym celu. Bywalcy szukali muzyki, seksu, narkotyków, a nawet przemocy i niewielu odchodziło, nie zaspokoiwszy swoich potrzeb.

Aria T’Loak była stałym gościem, niemal każdej nocy przyglądała się panującemu w klubie zamieszaniu z prywatnej łoży. Jeśli klub byłby ciałem, to ta asari stanowiłaby jego duszę: Pośmiertny był symbolem Omegi, tak samo jak Aria.

– Nie pójdziemy do klubu obładowani dwudziestoma funtami czerwonego piasku – stwierdził Grayson. – Musimy go ukryć w bezpiecznym miejscu.

Mało prawdopodobne, żeby Talonowie zdołali tak szybko przygotować kontratak, a

nawet jeśli, to wątpliwe, by mieli czelność napaść na Arię w jej własnym klubie. Ale Grayson nie tylko o Talonów się martwił.

Ochrona lokalu wyjątkowo przykładała się do pilnowania porządku, ale w ciemnych uliczkach wokół Pośmiertnego przemoc, napady i morderstwa były niemal na porządku dziennym, a raczej nocnym. Nie brakowało ćpunów na głodzie i zbirów gotowych dla marnego zysku napaść nawet na uzbrojony oddział.

– Ukryjemy piasek u mnie – zaproponował Grayson. – Potem zameldujemy się Arii i jutro zorganizujemy odbiór.

Sanak z dezaprobatą wydał wargi, ale nic nie powiedział. Liselle skinęła głową na znak zgody.

– Prowadź, Paul – powiedziała. – Im szybciej pozbędziemy się towaru, tym szybciej będziemy mogli skoczyć na parkiet.

Droga do mieszkania zajęła im około kwadransa. Grayson kilkakrotnie sprawdzał, czy nikt za nimi nie idzie. Nie mógł nie zauważyć, że za każdym razem Sanak wywracał wszystkimi czterema oczami.

Dlatego właśnie Aria mnie powierzyła dowodzenie, pomyślał Grayson. Troszczę się o szczegóły.

To była jedna z wielu cennych lekcji, jakich udzielił mu Człowiek Iluzja.

Mieszkanie znajdowało się w najdroższej i najbezpieczniejszej dzielnicy Omegi. Strażnicy przy bramie prowadzącej na osiedle – dwóch ciężko uzbrojonych turian – rozpoznali Graysona i odsunęli się, by mógł wejść razem ze swoim oddziałem.

Dotarłszy do budynku, wklepał kod, instynktownie ukrywając klawiaturę przed Sanakiem i innymi batarianami. Pozycja, jaką przy tym zajął, sprawiała, że Liselle mogła dostrzec wszystko, ale jej podał kod wejściowy już kilka miesięcy wcześniej.

Drzwi rozsunęły się, ukazując mały korytarz prowadzący do schodów i windy.

– Trzecie piętro – powiedział Grayson. – Idziemy schodami. Winda jest trochę powolna.

Poprowadził, a pozostali poszli za nim gęsiego. Na trzecim piętrze skręcili w kolejny korytarz, gdzie znajdowało się tylko dwoje drzwi naprzeciw siebie. Na każdym z pięciu pięter były tylko dwa mieszkania – i to właśnie Graysonowi podobało się najbardziej w tym budynku – niewielu sąsiadów i poszanowanie prywatności.

Położył dłoń na panelu pośrodku drzwi. Poczł lekką falę ciepła, gdy skan biometryczny odczytywał odcisk jego dłoni. Drzwi otworzyły się z cichym kliknięciem.

Mieszkanie nie było duże i ascetycznie umeblowane, ale Grayson nie potrzebował wiele przestrzeni. Mały przedpokój, w którym goście mogli zdjąć buty i płaszcze, prowadził do salonu, gdzie stała kanapa i ekran widu. Za niewielkim oknem roztaczał się widok na ulicę. Prosta, funkcjonalną kuchnię skrywała ścianka działowa. Za kuchnią znajdował się kolejny mały korytarz prowadzący do łazienki i do sypialni z tyłu. Łazienka była mała, ale w sypialni mieściło się nie tylko łóżko Graysona, ale też krzesło, biurko i terminal do połączeń z

Extranetem.

– Połóżcie torebki za drzwiami – powiedział Grayson, chcąc powstrzymać batarian od wejścia dalej. – Znajdę dla nich jakąś kryjówkę.

– Co jest, człowieku? – warknął Sanak. – Nie ufasz nam?

Grayson nie zareagował na zaczepkę.

– Aria czeka na nasz raport – rzekł. – Może z przyjaciółmi ruszysz się i to załatwisz?

Liselle zaczekała, aż batarianie odejdą, a potem objęła Graysona za szyję, przysuwając się blisko. Czuł emanujący z niej żar, a delikatny zapach perfum na jej szyi sprawił, że zakręciło mu się w głowie.

– Nie idziesz do klubu? – wyszeptała mu do ucha zawiedziona.

Grayson bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak Liselle wyzywająco wydyma usta. Spod kołnierzyka na policzki wypełził mu zdradliwy rumieniec.

Przy Liselle zawsze czuł się jak staruch świntuszący z małodatą, chociaż asari była co najmniej sto lat starsza od niego.

Z asari jest inaczej, przypomniał mu ten nieznośny, niedający się uciszyć głosik. Dojrzewają powoli. Ona ciągle jest świeża jak pierwiosnek, ty lubieżny pryku. Pewnie ma więcej wspólnego z twoją córką niż z tobą.

– Przyjdę – obiecał Grayson. Pocałował ją pospiesznie i wyplątał z uścisku, a potem lekko odepchnął. – Tylko najpierw muszę zadbać o parę spraw.

Pogłaskała go opuszkami palców po ręce.

– Nie marudź za długo – rzuciła przez ramię na odchodnym. – Bo jeśli się znudzę, to zamiast z tobą zatańczę z jakimś kroganinem.

Gdy drzwi się zamknęły, Grayson wziął głęboki oddech, by oczyścić umysł. W powietrzu wciąż unosił się zapach perfum, ale bez Liselle w pobliżu nie był już tak oszałamiający.

Do roboty, kochasiu.

Musiał znaleźć kryjówkę na czerwony piasek. Mało prawdopodobne, żeby ktoś się włamał do mieszkania, ale zostawienie paczek na widoku byłoby nierozsądne.

Jednak najpierw Grayson musiał zadzwonić.

Dwa

Kahlee Sanders zapukała cicho do pokoju Nicka.

– Wejść – zawołał chłopak. Przez mutację głos mu się załamywał na co drugim słowie.

Kahlee przesunęła dłoń nad panelem i drzwi odsunęły się, ukazując Nicka i Yando, jednego z nowych studentów Akademii Grissoma, siedzących obok siebie przy biurku w kącie pokoju.

– Już jest cisza nocna – zwróciła im uwagę Kahlee. – Yando powinien od trzydziestu minut być w swoim pokoju.

– Uczymy się. – Nick wskazał na ekrany dotykowe terminalu na blacie.

Kahlee zerknęła na unoszące się na wyświetlaczu zadanie, a potem na chłopców. Nick odpowiedział jej spojrzeniem pełnym absolutnej niewinności.

Właśnie skończył piętnaście lat. Zawsze był mały, jak na swój wiek, wyglądał na młodszego o co najmniej dwa lata. Ciemne włosy do ramion i potargana grzywka jeszcze potęgowały to wrażenie. Ale Kahlee dobrze wiedziała, że chłopak jest o wiele bardziej dojrzały, niż można by wnioskować z jego wyglądu czy nawet wieku. Zresztą była też pewna, że Nick umie łączyć żywe oczy i na dodatek robi to przekonująco. Yando był zupełnie inny. Jedenastolatki dopiero kilka miesięcy temu wszczepiono wzmacniacze. Wszystko w Akademii wciąż było dla niego nowe i dziwne. Instruktorzy z Projektu Podniesienie budzili w nim podszyty strachem podziw, jawili mu się jako olbrzymi władające tym nieznanym światem. Kahlee zamierzała to wykorzystać, by wyciągnąć z niego prawdę.

– Yando – powiedziała cicho, ale stanowczo – co naprawdę robiliście?

Chłopiec spojrział na Kahlee, potem na Nicka, znowu na Kahlee. Na tle ciemnej skóry jego szeroko otwarte oczy wydawały się zaskakująco jasne.

– Graliśmy w „Podbój” – westchnął z irytacją Nick, oszczędzając młodszemu koledze męczarni. – Ale tylko przez jakieś dziesięć minut. Wcześniej się uczyliśmy, najmarniej dwie godziny!

– Nick, znasz zasady – odparła. – Po zapadnięciu ciszy nocnej żadnych połączeń z Extranetem.

– To było tylko dziesięć minut!

– Mogę zajrzeć w logi – przypomniała. – Sprawdzić, czy mówisz prawdę.

– Mówię! – odparował zdecydowanie, a potem dodał ciszej: – No, może to było dwadzieścia minut.

– Mam kłopoty? – zapytał Yando. Dolna warga drżała mu lekko.

Kahlee pokręciła głową.

– Ty nie. Ale już czas spać, jasne?

Młodszy chłopiec skinął głową, a Kahlee wzięła go za rękę i podprowadziła do drzwi. Przed wyjściem odwróciła się do Nicka.

– Porozmawiamy, gdy wrócę pobrać twoje odczyty.

– Ta, jasne – w jego głosie zabrzmiał sarkazm typowy dla nastolatków. – Tydzień bez wbicia mi igły w kark to tydzień stracony.

Kahlee zaprowadziła Yando do jego pokoju i położyła do łóżka, ale jej myśli wracały do Nicka.

Nie wiedziała, czy go ukarać, czy nie. Podczas pierwszych dwóch lat spędzonych w Akademii Grissoma Nick był nie do zniesienia. Zawsze wyprzedzał swoich rówieśników na zajęciach z biotyki, ale zachowywał się arogancko, samolubnie i miał skłonność do dręczenia innych dzieci. Jednak podczas ostatniego roku coś się zmieniło. Ze sprawiającego kłopoty dzieciaka wyrósł na wzorowego ucznia, uosobienie wszystkiego, co próbowano osiągnąć przez Projekt Podniesienie.

Biotyka – zdolność do uzyskiwania wpływu na świat fizyczny za pomocą umysłu wykorzystującego przejawy ciemnej energii – była wśród ludzi powszechnym, lecz wciąż nie do końca zrozumianym fenomenem.

Wielu wierzyło, że biotyicy to mutanci obdarzeni nadludzką mocą telekinetyczną. Krążyły legendy o samowolnych biotykach furiatach, przewracających myślą samochody albo wywołujących trzęsienia ziemi, by zniszczyć całe dzielnice.

Prawda była o wiele mniej przerażająca. Przede wszystkim w przeciwieństwie do tego, co przedstawiano w popularnych widowiskach akcji, wytworzenie pola biotycznego wymagało czasu i skupienia. A bez wzmacniaczy chirurgicznie umieszczonych w mózgu i systemie nerwowym większość biotyków ledwie była w stanie przewrócić kubek z kawą.

Wzmacniacze i lata intensywnego treningu sprawiały, że utalentowane jednostki mogły się nauczyć generowania pola ciemnej energii silnego na tyle, by podnieść dorosłego człowieka i cisnąć nim o ścianę, ale wymagało to ogromnych nakładów siły fizycznej i psychicznej. Przeciętny biotyk był w stanie przeprowadzić maksymalnie dwa lub trzy takie ataki, a potem z wyczerpania stawał się tak samo bezradny i wrażliwy na ciosy jak zwykły człowiek.

Jednym z celów Projektu Podniesienie było uświadomienie ludziom, jakie rzeczywiste możliwości i ograniczenia niesie ze sobą biotyka. Chodziło też o rozwianie mitów. Twórcy projektu wierzyli, że zrozumienie doprowadzi do akceptacji i pozwoli biotynom na integrację ze społeczeństwem. Obecnie bowiem żyli w głębokim cieniu irracjonalnej nieufności i

wszechobecnych przesądów. Większość cywilnych biotyków wolała ukrywać swoje moce – na wszelki wypadek.

Kahlee nie chciała, by dzieci takie jak Nick dorastały, wstydząc się swojego daru. Ale całe przedsięwzięcie miało też drugą, ciemniejszą stronę – istniało niebezpieczeństwo, że pewność siebie przerodzi się w arogancję, poczucie wyższości i przekonanie, że biotykom należą się większe prawa. Mogli zacząć patrzeć na innych jak na istoty niższe, co sprawiłoby, że ludziom pozbawionym zdolności jeszcze trudniej byłoby ich zaakceptować.

Gdy Nick przybył do programu, Kahlee obawiała się, że zmierzał właśnie w takim kierunku. Ale Projekt Podniesienie skupiał się na czymś więcej niż tylko maksymalizacji potencjału biotycznego. Szkolenie dotyczyło również charakteru i w przypadku Nicka najwyraźniej zakończyło się spektakularnym sukcesem.

W miarę jak dojrzywał, dręczyciel stał się obrońcą innych uczniów. Zmienił się z nadętego samoluba w pomocnego i chętnego do współpracy opiekuna. Obecnie zgłaszał się regularnie do udzielania korepetycji innym podopiecznym Akademii – nawet niebiotykom, którzy nie należeli do programu.

Biorąc pod uwagę postępy, jakie zrobił, Kahlee zdecydowała, że nie potraktuje zbyt surowo ostatniego niewielkiego wykroczenia.

Kiedy wróciła do pokoju Nicka, chłopak leżał na brzuchu w łóżku, z odsłoniętym karkiem, przygotowany do dobrze mu znanego zabiegu.

– Nie chciałem, żeby Yando wpadł w kłopoty – wymamrotał w poduszkę, gdy usłyszał, że Kahlee wchodzi.

Usiadła obok niego i ostrożnie kciukiem i palcem wskazującym objęła nasadę jego szyi, wzdrygając się, gdy nastąpiło nieuniknione – i odrobinę bolesne – wyładowanie elektryczne. Projekt Podniesienie szukał sposobu, by wyregulować dodatkową energię elektryczną, która powstawała w ciałach biotyków, ale jak dotąd bez większych sukcesów. Pozostawało to drobną niedogodnością, z którą uczniowie i ich opiekunowie nauczyli się żyć.

– Yando wciąż dochodzi do siebie po operacji – wyjaśniła Kahlee, wsuwając długą igłę pomiędzy kręgi chłopca, do małego podskórnego przekaźnika. – Musi dużo spać.

Mała kulka na czubku igły zamigotała na zielono, sygnalizując, że dane zostały przebrane.

– Nie lubi być sam w pokoju – odpowiedział Nick, zaciskając zęby i naprężając mięśnie pod wpływem bólu. – Myślę, że tęskni za mamą.

Kahlee wyciągnęła igłę i ciało chłopca się rozluźniło. Westchnął głęboko.

– Myślałem, że jeśli pogramy w „Podbój”, to nie będzie się tak bał.

Uśmiechnęła się pod nosem i delikatnie pogłaskała Nicka po ramieniu.

– Dobry z ciebie dzieciak.

Nadal leżał na brzuchu i milczał, ale zauważyła, że uszy mu poczerwieniały ze wstydu. Poruszył się odrobinę, a Kahlee zdała sobie sprawę z tego, że Nick stara się przyjąć

wygodniejszą pozycję, by rozpaczliwie ukryć mimowolną reakcję swojego ciała na jej dotyk.

To już nie jest dziecko. Gdy tylko Kahlee zrozumiała, co się dzieje, natychmiast cofnęła rękę. *To nastolatek, a jego organizm aż kipi od hormonów.*

Dobrze wiedziała, że durzy się w niej kilku starszych uczniów. Nie było w tym nic zaskakującego, zapewniała im wsparcie, opiekę, dawała poczucie bezpieczeństwa. A konserwatywne stroje nie mogły ukryć, że była bardzo atrakcyjną i zgrabną blondynką.

– Lepiej już pójde. – Wstała pośpiesznie.

U kogoś w wieku Nicka spontaniczne erekcje były czymś absolutnie normalnym, ale gdyby Kahlee o tym napomknęła, tylko pogorszyłaby sytuację. Najlepiej było po prostu wyjść.

– Ta, dobrze – odpowiedział Nick, a w jego głosie zabrzmiało napięcie.

Wychodząc, wyłączyła światło i zamknęła drzwi, zostawiając go sam na sam z jego hormonami.

Kiedy wróciła do swojej kwatery, zgrała dane Nicka na swój prywatny terminal, skąd automatycznie zostały skopiowane do centralnej bazy danych w głównym laboratorium Projektu Podniesienie.

Wyniki były zachęcające. Pierwotne badania kazały przypuszczać, że każdy biotyk ma indywidualną granicę możliwości. Jednak ostatnie odczyty dowodziły, że tę granicę można było pokonać.

Przeglądając dane zebrane od innych uczniów, Kahlee nie mogła powstrzymać się od rozmyślenia o tym, co osiągnęłaby Gillian Grayson, gdyby została w programie.

Chociaż Gillian była autystyczna, miała potencjał o wiele większy niż inne dzieci z projektu. Kahlee podejrzewała, że ten niezwykły talent i autyzm były w jakiś sposób powiązane, ale istniała też możliwość, że zdolności Gillian rozwinęły się na skutek zażywania narkotyków, które ojciec i Cerberus podawali jej ukradkiem.

Ostatecznie Grayson postawił dobro córki ponad lojalność wobec Cerberusa i z pomocą Kahlee zdołał umieścić Gillian na quariańskim badawczym statku kosmicznym... W jednym z nielicznych miejsc w galaktyce, gdzie nie sięgały wpływy Człowieka Iluzji.

Kahlee rozumiała, jak trudne musiało być dla Graysona odesłanie córki, bo jej też ciężko przyszło rozstać się z dziewczynką.

Ale Gillian nie była sama. Poleciała razem z Hendlem Mitrą – byłym szefem ochrony Akademii Grissoma, który troszczył się o małą jak prawdziwy ojciec.

Rozmyślenia Kahlee przerwał brzęczyk oznajmiający nadejście połączenia przez Extranet. Źródło było ukryte, ale kobieta była niemal pewna, kto dzwoni.

Przyjęła rozmowę, aktywując wyświetlacz. Z ekranu spojrzał na Kahlee, jakby przywołany jej myślami, Grayson.

– Kahlee – powiedział i uśmiechnął się szeroko.

Przez ostatnie trzy lata dzwonił do niej co dwa, trzy tygodnie. Chociaż nigdy się nie

przyznał, Kahlee wiedziała, że Grayson sprawdza, czy u niej wszystko w porządku. Podejrzewała, że zawarł jakąś umowę z Człowiekiem Iluzją, by zapewnić przyjaciółce bezpieczeństwo... Chociaż jaka to była umowa i ile go kosztowała, nigdy nie zdołała się dowiedzieć.

Sądząc po tym, co widziała na ekranie, kontaktował się przez stację komputerową umieszczoną w małej sypialni. Kahlee nie była w stanie dostrzec żadnych charakterystycznych szczegółów. Grayson był zawsze ostrożny – nie ujawniał, gdzie się znajduje. Więc zamiast studiować otoczenie, przyjrzała się jemu.

Miał chyba na sobie jakiś kombinezon bojowy albo pancerz, nie była pewna, bo nie widziała go całego. Z ulgą stwierdziła, że jego źrenice i zęby są białe, bez śladu różowych przebarwień zdradzających, że znowu zaczął używać czerwonego piasku. Jednak twarz mu wychudła, a policzki zapadły, jakby żył w wielkim stresie.

– Dobrze wyglądasz, Grayson. – Uśmiechnęła się, by uwiarygodnić to nieszkodliwe kłamstewko.

– Staram się nie nudzić – odpowiedział wymijająco. – Jak się masz? Wszystko dobrze w projekcie? Nic niezwykłego?

– Niezwykłego? Bardziej niezwykłego niż uczenie dzieci, jak przenosić przedmioty siłą woli?

Grayson zmusił się do uprzejmego śmiechu. Mimo to Kahlee zauważyła, że nie jest z nim najlepiej.

– Coś nie tak?

– Nie. – Energicznie pokręcił głową. – Wszystko dobrze. Właśnie wróciłem z pracy. Zawsze potem nie najlepiej się czuję.

– Jaka to praca?

– Taka, która pozwala mi opłacić rachunki.

Zapadła niezręczna cisza, jak zawsze, gdy Kahlee zastanawiała się, czy naciskać mocniej. W końcu postanowiła odpuścić.

– Zanim zadzwoniłeś, myślałam o Gillian.

Na wspomnienie córki przez twarz Graysona przemknęła fala sprzecznych emocji: tęsknota, żal i szczęście.

– Zawsze o niej myślę – przyznał miękko. – Odezwał się ktoś do ciebie? Quarianie? Albo Hendel?

– Przykro mi. Nikt.

Po chwili milczenia Grayson ponuro stwierdził:

– Tak jest lepiej.

Kahlee nie mogła oprzeć się wrażeniu, że usiłował przekonać siebie, nie ją.

– Możesz odwiedzić Akademię – przypomniała mu. – Umieściłam cię na liście gości.

Na Akademii o związkach Graysona z Cerberusem wiedzieli tylko Hendel i Kahlee, ale

tylko Kahlee miała świadomość, że to już przeszłość. Dla reszty personelu Grayson był ojcem dawnej uczennicy... i jednym z głównych sponsorów projektu.

– Wiem, jak bardzo tęsknisz za Gillian – naciskała. – Może wizyta, spotkanie ze studentami pomoże ci...

– To zbyt niebezpieczne – przerwał Grayson stanowczo. Nawet nie rozważył jej propozycji. – Dla mnie i dla ciebie.

– Chciałabym, żebyś pozwolił mi sobie pomóc – powiedziała. – Nie musisz zmagać się z tym sam.

– Chciałbym, żeby to była prawda. Do widzenia, Kahlee. Dobrze cię było widzieć.

Połączenie zostało zerwane.

Kahlee wyłączyła ekran i próbowała skupić się ponownie na aktach, ale wiedziała, że jej się to nie uda.

Grayson nie był właściwie przyjacielem. Miał swoją mroczną historię i na pewno robił rzeczy, które by ją przeraziły. Ale łączyło ich uczucie do Gillian i traumatyczne przeżycia z ucieczki przed Cerberusem.

Kahlee naprawdę wierzyła, że Grayson próbuje zmienić swoje życie i że na swój sposób szuka odkupienia. Niestety, mogła tylko mieć nadzieję, że kiedyś je odnajdzie.

Trzy

Po zakończeniu rozmowy z Kahlee Grayson siedział jeszcze kilka minut przed terminalem, rozmyślając o córce.

Gillian była teraz w lepszym miejscu i to stanowiło dla niego jakąś pociechę. Ale nie mógł zapomnieć o tym, jak straszliwie krzywdził ją Cerberus. I o tym, jak sam pomagał faszerować własną córkę narkotykami.

Ogarnęło go znajome poczucie winy, niemal natychmiast pomyślał o sobie z pogardą. Nie mógł w żaden sposób zmienić przeszłości, rozpamiętywanie tego, co się stało z Gillian, było stratą czasu. Uważał się za człowieka praktycznego, a żeby przeżyć, musiał skupiać się na teraźniejszości.

Niestety, argumenty racjonalne nie były w stanie zmienić tego, co kryło się w jego sercu, i – jak to często było po rozmowach z Kahlee – poczuł, że łzy spływają mu po policzkach.

Przysiągł, że dla Gillian stanie się lepszym człowiekiem. Ale mimo że zerwanie z Cerberusem na pewno było krokiem w dobrą stronę, to czy nie zboczył z właściwej ścieżki? Był najemnikiem na usługach bezwzględnej królowej zbrodni rządzącej najniebezpieczniejszą, najbardziej zdeprawowaną stacją w galaktyce. Czy zabijanie kogoś dla kredytów stawało się słuszne z moralnego punktu widzenia, jeśli cel prawdopodobnie zasłużył sobie na śmierć?

Po części odpowiedź brzmiała tak. Koszmary, które nawiedzały go, gdy pracował dla Człowieka Iluzji, minęły. W jakiś sposób musiał podświadomie bardziej akceptować to, co robił. Z drugiej strony niekiedy czuł się rozdarty. Wiedział, jakim człowiekiem chce być, ale jakaś jego część – natrętny głosik, który odzywał się czasem gdzieś z tyłu głowy – nie pozwalała mu zapomnieć o tym, kim kiedyś był.

Nie możesz zmienić tego, kim jesteś, odezwał się głosik jakby na wezwanie. Jesteś zabójcą. Człowiekiem pełnym przemocy. I pewnego dnia umrzesz w brutalny, krwawy sposób, i galaktyka stanie się lepszym miejscem, bo ciebie już w niej nie będzie.

Akceptacja własnej zatwardziałej natury dawała pewien rodzaj spokoju i ukojenia. Pozwalała też utwierdzić się w przekonaniu, że decyzja o wysłaniu Gillian z Hendlem i quarianami była słuszna. Lepiej dla niej było, żeby znajdowała się z dala od potwora będącego jej ojcem. Teraz Graysonowi łatwiej było zdystansować się od przeszłości i robić

to, co musiał, by przetrwać tu i teraz.

Otarł łzy i wyprostował się. Liselle czekała na niego w Pośmiertnym, ale nie był jeszcze gotowy na pójście do klubu. Musiał jeszcze ukryć paczki z narkotykiem.

Może odrobinka piasku to jest to, czego ci trzeba na poprawę humoru.

Grayson starał się jak mógł zignorować pokusę. Był czysty od trzech lat. Jego ciało nie tęskniło już za chemiczną euforią czerwonego piasku.

Ale tak naprawdę nie chodziło o potrzeby fizyczne, prawda? Piasek uśmierza ból. Sprawia, że życie staje się znośne.

Przestał ćpać dla Gillian. Nie zasługiwała na to, żeby mieć ojca ćpuna.

Gillian już nie ma. Więc dla kogo pozostajesz czysty? Dla Liselle? Arii? Ich nie obchodzi, czy się napiaskujesz, byleby ci to nie przeszkadzało w pracy.

Podczas dziewięciu lat spędzonych z Cerberusem Grayson regularnie zażywał piasek. Przez cały ten czas ani razu nie pozwolił na to, by nałóg przeszkodził mu w wykonaniu misji.

Ale teraz było inaczej. Nie był tajnym agentem wykorzystującym własną córkę, by zinfiltrować program szkoleniowy biotyków. Był zbiegiem. Każda sekunda każdego dnia mogła być jego ostatnią.

Cerberus cię znajdzie. To nieuniknione. Więc czemu nie miałbyś cieszyć się życiem, póki możesz. Dziesięć kilo czerwonego piasku. Tylko jedna działka. Nikt nie zauważy jej braku. Nikt się nie dowie.

Grayson odsunął krzesło od terminalu i wstał. Przeszedł do przedpokoju, gdzie leżały paczki z piaskiem. Podniósł wszystkie pięć, obejmując niezręcznie, i zaniósł do sypialni. Ukłękawszy, wsunął jedną po drugiej pod łóżko. Nie była to dobra kryjówka, ale lepsza niż zostawianie narkotyku na wierzchu.

Gdy skończył, poszedł do łazienki. Spojrzawszy na swoje odbicie w lustrze, dostrzegł niewielką plamkę różowego proszku na kombinezonie. Przypomniał sobie, że jedna z toreb została przedziurawiona podczas ataku.

Cholerni batarianie, nawet zamknąć worka porządnie nie umieją.

Strzepnął piasek, czując, jak granulki trą o jego dłoń. Większość spadła do umywalki, ale kilka przyczepiło się do skóry.

Podniósł dłoń na wysokość twarzy, na tyle blisko, by mógł dostrzec każde małe pojedyncze ziarenko wczepione w jego ciało. Patrzył na nie przez długą chwilę, po czym pokręcił głową i wsadził ręce do umywalki. Ten ruch aktywował sensor kranu i strumień ciepłej wody zmył pokusę do rury ściekowej.

Pięć minut później Grayson już w swoim cywilnym ubraniu wyszedł z mieszkania. Idąc płynnym, równym krokiem, dotarł do klubu w niecałe dwadzieścia minut.

Jak zawsze na zewnątrz stała kolejka. Ludzie, asari, turianie, kroganie, batarianie, volusanie, elkorowie: Pośmiertny przyciągał klientów każdego gatunku. Ale Aria wprowadziła surowe zasady kontroli zatłoczenia i ci na zewnątrz musieli zaczekać, aż ktoś

wyjdzie – albo zostanie wyniesiony. Dopiero wtedy strażnicy przy drzwiach wpuściliby następnych.

Kolejka ciągnęła się wzdłuż całej ściany ogromnego budynku i znikła za rogiem. Miną godziny, zanim ci na samym końcu wejdą do środka. Na szczęście dla Graysona przyjaciele Arii nie musieli czekać.

Krogański bramkarz przy drzwiach rozpoznał go i wpuścił, skinąwszy mu głową. Grayson przeszedł przez krótki korytarz prowadzący do foyer na parterze, gdzie za kontuarem recepcji stały dwie skąpo ubrane asari. Drzwi do wnętrza klubu strzegło dwóch ciężko uzbrojonych krogan.

Budynek był wyciszony i na zewnątrz muzyki niemal nie było słychać. Tutaj jednak tylko mała ścianka odgradzała gości od fal dźwięku. Grayson czuł, jak dudnienie z wnętrza rezonuje mu w zębach – niski, ciężki i szybki dźwięk.

– Coś do zostawienia? – warknął jeden z krogan, na tyle głośno, by było go słychać mimo muzyki.

Grayson pokręcił głową. Wielu z klientów Pośmiertnego wołało zostawiać cenne rzeczy w recepcji asari, zwłaszcza jeśli zamierzali zakończyć wieczór tak pijani lub naćpani, że nie byliby w stanie upilnować swojej własności. Grayson nie miał takich planów.

Kroganin odsunął się, a asari otworzyła drzwi. Grayson wziął głęboki oddech i wszedł do środka.

Klub miał cztery poziomy, każdy z nich był ogromnym pierścieniem otaczającym kwadratowy parkiet podwieszony za pomocą lin i kładek. Każdy z poziomów był unikalny, miał swoich stałych bywalców, własny parkiet, własny styl muzyczny, specjalne drinki i chemiczne dodatki.

Wiodącym tematem, zgodnie z nazwą klubu, było życie po śmierci. Co krok można było się natknąć na wpływy mitów z całej galaktyki, między innymi ludzkich. Na każdym poziomie klienci mogli szukać przyjemności – lub hedonistycznych rozwiązań – powiązanych z Rajem, Niebem, Piekłem, Salami Athame, Pustką czy którąkolwiek z tysiąca nazw nadawanych krainie czekającej podobno na śmiertelników.

Grayson nigdy nie zastanawiał się specjalnie, co czeka go po śmierci, ale w takim miejscu nie dało się uniknąć przemyśleń na ten temat. Mimo że odwiedzał klub wielokrotnie, za każdym razem miał podobne niesamowite odczucia. Wejście do Pośmiertnego było surrealistycznym przeżyciem, niczym wejście do innego świata. Muzyka, światła, tłum – wszystko emanowało wręcz namacalną energią, która wydawała się wrywać prawdziwe ja każdego z klientów, uwalniając je od zahamowań i otwierając na dzikie, niebezpieczne pragnienia... które niemal co do jednego można było zaspokoić na niższych poziomach.

Ogarnięci euforią klienci w większości byli uzbrojeni i wszyscy o tym wiedzieli. Przemoc nie była w tym miejscu rzadkim zjawiskiem. Ochrona czuwała w pobliżu, gotowa stłumić zamieszki, nim rozprzestrzenią się na wszystkie poziomy, ale od klientów oczekiwano, że

będą sami o sobie dbali. Wskutek takiej polityki niemal co miesiąc w klubie ktoś ginął.

Grayson umiał o sobie zadbać i nie obawiał się kłopotów, niemniej uważał, że to nieustanne zagrożenie podkreśla jeszcze atmosferę miejsca.

Wejście znajdowało się na trzecim poziomie. Z ciał tańczących niżej bił żar.

Światła migotały dziko i ciężko było zobaczyć kogokolwiek, ale mimo to Grayson szukał wzrokiem Liselle. Gdy dotarł do spiralnej kładki prowadzącej w górę na poziom dla VIP-ów, wciąż jeszcze jej nie dostrzegł. Nie martwił się. W końcu ona go znajdzie.

Wchodząc na górę, czuł, jak atmosfera Pośmiertnego traci na intensywności. Na najwyższym poziomie muzyka nie była już tak głośna, światła przyciemnione. Było tu mniej gości.

W ogromnej prywatnej łoży na podwyższeniu z tyłu klubu siedziała sama Aria T'Loak. Z tego miejsca niesławna Królowa Piratów z Omegi mogła obserwować całe wnętrze Pośmiertnego, niczym bogini.

Jak wszystkie asari była wedle ludzkich standardów piękna. Inaczej niż u Liselle, jej skóra była bardziej fioletowa niż niebieska. Grayson często zastanawiał się, czy ma to coś wspólnego z wiekiem Królowej Piratów. Nie wiedział, ile naprawdę Aria ma lat – wątpił, by ktokolwiek to wiedział – ale nie zdziwiłby się, gdyby się okazało, że ponad tysiąc. Mimo to wciąż wyglądała świeżo niczym młódka i emanowała czystym seksapilem.

Jak zawsze otaczała ją świta: dwie asaryjskie służące, krogański ochroniarz i kilku batarian, w tym Sanak. Jednak widok trzech turian stojących przy stole Arii zaskoczył Graysona.

Wiedział, że Talonowie w końcu przyjdą porozmawiać o ataku, ale nie sądził, że tak szybko. Nie zauważył, by w tłumie czekającym przed wejściem było więcej turian niż zwykle, ale jeśli tych trzech przyszło pertraktować z Arią, to rozsądnie było założyć, że w uliczkach i zakamarkach wokół budynku czai się ich jeszcze co najmniej tuzin.

Decyzja o tym, by nie przynosić czerwonego piasku do klubu, wydawała się teraz o wiele mniej paranoiczna. Powstrzymał się przed powiedzeniem Sanakowi: „A nie mówiłem”, wszedł na platformę i zajął miejsce obok batarianina w pobliżu łoży, tak żeby jego translator mógł wyłapać rozmowę między Arią a jej rywalami.

Nikt nie zwracał na niego uwagi. Aria i jej towarzysze go znali, a turian interesowała tylko Królowa Piratów. Na poziomie dla VIP-ów były prywatne pokoje, ale Aria najczęściej wolała robić interesy w łoży, gdzie inni mogli wszystko widzieć... zwłaszcza że właśnie udowadniała swoją przewagę nad potencjalnym konkurentem do jej tronu.

– Nie zaprzeczę, że tak właśnie się stało – odpowiedziała spokojnie na pytanie, które zadano przed nadejściem Graysona.

Turianie czekali, żeby powiedziała coś więcej, ale ona wolała, by jej słowa zawisły w powietrzu.

W końcu jeden z turian – prawdopodobnie przywódca – nie wytrzymał przytłaczającej

ciszy.

– Nie chcemy zaczynać wojny.

– I dobrze – wtrąciła Aria. – Bobyście ją przegrali.

– Nie chcemy zaczynać wojny – turianin, wytrącony z równowagi jej słowami, musiał zacząć swoją przemowę od początku. – Przyszliśmy paktować w dobrej wierze. Chcemy dojść do porozumienia.

– Już doszliśmy do porozumienia – przypomniała mu Aria. – Dwa procent, o ile pamiętam. Zaczęliście rozprowadzać towar, nie uwzględniając mojej działki.

– To był błąd – przyznał jeden z pozostałych turian. – Przyszliśmy przeprosić. Od tej pory będziesz dostawać swoją część.

– Nie trzeba przeprosin. – Aria uśmiechnęła się w bardzo złowrogi sposób. – Ale naruszyliście warunki umowy. Musimy ją renegecować.

Turianie wymienili między sobą spojrzenia i Grayson mógł z łatwością dostrzec, jak bardzo ważą następne słowa. Talonowie stawali się coraz potężniejszym gangiem, ale nie byli jeszcze partnerami dla Niebieskich Słońc albo Braci Krwi. I nie mieli złudzeń co do tego, gdzie jest ich miejsce. Aria mogłaby ich zmieść z powierzchni stacji, gdyby tylko chciała.

– Rozsądna propozycja, biorąc pod uwagę to, co zaszło – przyznał pierwszy turianin. – Zwiększymy twój udział do trzech procent.

– Pięciu – poprawiła go Aria. Ton jej głosu wskazywał, że ta liczba nie podlega negocjacom.

– Nikt nie płaci pięciu procent! – zaprotestował gniewnie trzeci turianin, robiąc krok naprzód i sięgając do przymocowanego do pasa pistoletu.

W jednej chwili znalazł się przy nim kroganin. Jego ogromne, wysokie na osiem stóp cielsko górowało groźnie nad przytłoczonym mniejszym turianinem. Członek gangu Talonów powoli odsunął rękę od broni. Wszyscy inni pozostali bez ruchu, póki Aria nie skinęła głową. Turianin ostrożnie zrobił krok w tył. Chwilę później kroganin chrząknął i zrobił to samo.

– Oszukaliście mnie – powiedziała chłodno Aria. – To ma swoje konsekwencje.

– Pięć procent – zgodził się przywódca. Przerwał na chwilę, ostrożnie dobierając kolejne słowa, by nie sprowokować jeszcze większego wybuchu gniewu legendarnej Królowej Piratów. – Wciąż pozostaje kwestia samego ataku. Zabito kilku z naszych ludzi. Skradziono dużą ilość produktu.

– Uznajcie, że to kosztą prowadzenia interesu – powiedziała Aria, spokojnie popijając drinka.

Turianie wzdrygnęli się. Grayson wiedział, że nie są na tyle głupi, by atakować Arię w jej klubie. Poza doskonale widocznymi ochroniarzami i biotykami, którzy ją otaczali, na poziomie VIP-ów były dziesiątki mniej rzucającego się w oczy personelu pilnującego porządku. Napastnicy byliby martwi, nim zdążyliby oddać strzał.

Grayson spodziewał się, że turianie odwrócą się na pięcie i ostentacyjnie opuszczą

Pośmiertnego. Ich przyjaciół zastrzelono, a wartość skradzionego piasku znacznie przewyższała sumę, na jaką oszukali Arię. Królowa dodawała obrazę do bólu po stracie kompanów, pokazując jasno, kto tu rządzi. Zapędziła ich w kozi róg i istniała możliwość, że wezmą odwet z czystej desperacji. Talonowie nie mogli wygrać wojny z Arią, ale mogli jej utrudnić życie.

Lecz Aria zawsze wiedziała, jak daleko może się posunąć. Przez setki lat manipulowała przeróżnymi frakcjami, nastawiając je przeciw sobie i jednocześnie zachowując swoją władzę nad nimi. Nikt lepiej niż ona nie potrafiłby dopilnować, by anarchia panująca na Omedze nigdy nie wyrwała się spod kontroli.

W końcu przywódca turian skinął głową, przyjmując jej warunki.

– Poinformuję naszych – powiedział.

– Wiedziałam, że zmańdrzejecie – odrzekła, odprawiając ich machnięciem dłoni.

Turianie odwrócili się i odeszli bez słowa. Krogański ochroniarz Arii patrzył za nimi, póki nie zeszli na niższy poziom i nie zniknęli mu z oczu.

– Szybko odgadli, co się stało – powiedział Grayson, gdy odeszli.

– Talonowie są bystrzy – odparła Aria. – Szybko się rozwijają. Trochę za szybko. Trzeba ich było trochę przyhamować.

– Cieszymy się, że mogliśmy to zrobić – wtrącił się Sanak.

Ty czterooki lizusie, pomyślał Grayson.

– Sanak poinformował mnie, że piasek jest bezpieczny u ciebie – mówiła dalej Aria. – Rano wyślę zespół, żeby go odebrał.

Grayson skinął głową.

– Nie wyślę ich zbyt wcześnie – dodała Aria, uśmiechając się przebiegle. – Nie chciałabym, żebyście z Liselle musieli wcześniej skończyć wieczór. Zasłużyliście sobie na prawo do świętowania. Dziś wieczór ja wszystko stawiam.

– Dzięki – powiedział, przyjmując ten dowód uznania. Aria była surowa dla tych, którzy ją zawadzili, ale hojna w przypadku zasłużonych.

– Liselle wspomniała, że będzie na drugim poziomie – dodała Aria, dając Graysonowi do zrozumienia, że ma odejść. Był wystarczająco bystry, by pojąć sugestię.

Przed zejściem na drugi poziom zajrzał do baru dla VIP-ów po drinka. Nie śpieszył się, pozwalając, by panująca w klubie atmosfera zaczęła mu się udzielać. W rezultacie odnalezienie Liselle zajęło mu około dwudziestu minut. Tak jak się spodziewał, była na parkiecie, otoczona wianuszkami nadskakujących jej kobiet i mężczyzn.

Grayson pogodził się z upodobaniem, jakie Liselle żywiła do ludzi: ona lubiła ich, a oni ją. Wiedział, że asari wolały dobierać sobie partnerów spoza swojego gatunku. Ich niezwykła budowa biologiczna pozwalała im włączyć fragmenty genów partnera do DNA potomstwa. Ale Liselle była wciąż młoda. Potrwa dekady, a może nawet wieki, nim dojrzeje i zmieni się z dziewczyny w gotową do macierzyństwa kobietę. Grayson nie był w stanie przewidzieć, czy

jej zainteresowanie ludźmi to tylko młodzieńcza fascynacja, czy coś bardziej stałego. Zresztą to i tak nie miało znaczenia. Wiedział, że w tej chwili Liselle była nim zainteresowana, i zamierzał cieszyć się tym związkiem, póki trwał.

Przepchnął się przez tłum na parkiecie, ściągając na siebie zirytowane spojrzenia, które szybko zmieniły się w zazdrość, gdy Liselle dostrzegła go i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Aria chyba jest zadowolona z twojej dzisiejszej pracy – krzyknęła, przysuwając usta do jego ucha, by słyszał ją mimo muzyki.

Byli ciasno objęci, ciało Liselle poddawało się muzyce, a Grayson starał się jak mógł, by na swój niezdarny sposób dostosować się do pulsującego rytmu.

– Nie zrobiłbym tego bez ciebie – przypomniał.

Gdy pochylił się do jej ucha, znajomy kuszący zapach jej perfum owinał go i oszołomił. Z jakiegoś powodu nie wywołał jednak pożądania.

Liselle natychmiast zauważyła jego brak reakcji. Złapała go za nadgarstek i wyprowadziła z parkietu w róg, gdzie muzyka była przytłumiona.

– Co się dzieje? – zapytała.

Wyraz jej twarzy świadczył o tym, że nie jest zła, tylko się martwi. Jak zawsze jej troska sprawiła, że Grayson poczuł winę i wstyd.

Wolał postrzegać ich związek jako czysto fizyczny. Przez większość czasu Liselle zdawała się dzielić ten pogląd. Głupotą było sądzić, że łączy ich coś więcej. Gdyby nawet zostali ze sobą do końca życia Graysona, ona żyłaby jeszcze setki lat po jego śmierci. To, że mogła się do niego przywiązać emocjonalnie, było mało prawdopodobne. A gdyby się zdarzyło, byłoby tragiczne.

– Wszystko w porządku.

– Może pójdziemy w jakieś cichsze miejsce.

W zwykłych okolicznościach byłby zachwycony propozycją, jednak dzisiaj miał wrażenie, że to niewłaściwe, jakby w jakiś sposób ją wykorzystywał.

– Chyba jestem po prostu zmęczony – powiedział przepaszająco, szukając łatwego sposobu, by wykręcić się od jej towarzystwa. – Może powinienem wrócić do domu i odpocząć.

– Znowu z nią rozmawiałeś, prawda? – Liselle uśmiechnęła się blado. – Z tą twoją tajemniczą kobietą. Zawsze taki się robisz po rozmowie z nią.

Grayson nigdy nie opowiadał Liselle o swojej przeszłości. Nie wiedziała o Kahlee, Gillian ani jego związkach z Cerberusem. Ale niekiedy wspominał, że musi wykonać prywatny telefon, i najwyraźniej Liselle poskładała razem elementy układanki.

Jest o wiele bardziej spostrzegawcza, niż można by przypuszczać.

Znowu jasno było widać, że Liselle nie jest zła. Wydawała się odrobinę rozczarowana, ale też pełna zrozumienia i akceptacji. To sprawiło, że Grayson poczuł się jeszcze gorzej.

– Przepraszam – wymamrotał, nie znalazłszy innych słów.

Liselle pochyliła się i ucałowała go szybko.

– Jeśli zmienisz dziś zdanie, daj mi znać.

Po tych słowach zniknęła w tłumie tancerzy.

Grayson, nie mając chęci dłużej przebywać w klubie, poszedł do wyjścia. Jedna z asari z recepcji mrugnęła do niego. W odpowiedzi uprzejmie skinął jej głową i wyszedł na ulicę, wciąż zastanawiając się, czy odepchnięcie Liselle było aktem poświęcenia, czy egoizmu.

Cztery

Kai Leng czekał cierpliwie w kolejce do Pośmiertnego. Choć było mało prawdopodobne, by niespodziewanie natknął się na Omedze na kogoś, kto mógł go rozpoznać, postarał się odmienić swój wygląd. Ufarbował czarne włosy na blond i przyciemnił skórę. Charakterystyczny znak ouroborosa na karku został przykryty tymczasowym tatuażem przedstawiającym węzeł celtycki.

Sądząc po długości kolejki, jeszcze kilka godzin dzieliło go od wejścia do Pośmiertnego. Nie stanowiło to problemu. Był tu właśnie po to, by czekać, czekać cierpliwie, aż Grayson wyjdzie.

Od dwóch tygodni, od chwili, gdy wytropił zdrajcę Cerberusa na Omedze, starał się poznać jego zwyczaje, obserwując go z oddali. Zapamiętywał rutynowe zachowania, zgłębiał styl życia.

Był zaskoczony, odkrywając, że zdrajca pracuje dla Arii T'Loak. Grayson szybko awansował, aż stał się wartościowym podwładnym królowej zbrodni. To czyniło operację o wiele bardziej skomplikowaną. Agenci Cerberusa nie mogli po prostu porwać Graysona z ulicy i uciec do najbliższego portu kosmicznego. Aria miała zbyt wielkie wpływy, ktoś na pewno by ją zawiadomił. Wtedy grupa porwaczy musiałaby walczyć o szansę ucieczki ze sługami Królowej Piratów, a Kai Leng wolał tego nie ryzykować.

Zachowanie tajemnicy było kluczowe. Musieli złapać Graysona, gdy będzie sam. Wywieźć go ze stacji, nim ktokolwiek zwróci uwagę na jego nieobecność. I upewnić się, że żaden ślad nie będzie prowadził do Cerberusa.

Okazało się to o wiele trudniejsze, niż początkowo sądzili. Grayson był ostrożny. Rzadko wychodził, chyba że wykonywał zadanie dla Arii. Klub, zatłoczony sklep i mieszkanie jego asari były chyba jedynymi miejscami, które odwiedzał.

Porwanie go z mieszkania byłoby oczywiście najlepszym rozwiązaniem, ale mieszkał w strzeżonej dzielnicy. Jakikolwiek atak w takim miejscu wiązał się z koniecznością pokonania straży.

Wszystko byłoby o wiele prostsze, gdyby Człowiek Iluzja chciał po prostu śmierci Graysona. Kai Leng wypełniłby zadanie w kilka godzin od namierzenia celu: wolno działająca trucizna dodana do drinka w klubie, strzał między oczy z broni snajperskiej, gdy

Grayson szedł ulicą. Ale porwanie było o wiele bardziej skomplikowane niż zwykłe zabójstwo.

Kai Leng nie działał jednak sam. Miał sześciu ludzi – lojalnych agentów Cerberusa – czekających w mieszkaniu w sąsiedniej, kontrolowanej przez ludzki gang dzielnicy na sygnał od swojego dowódcy. Przy odrobinie szczęścia mogli wkroczyć do akcji już niedługo.

Wszystko było gotowe już od kilku dni, ale nim nadarzyła się okazja do wprowadzenia planu w życie, Grayson nagle znikł im z oczu. Początkowo Kai Leng obawiał się, że zostali zdemaskowani, ale dzięki ostrożnie prowadzonemu śledztwu zdołał odkryć, że nieobecność Graysona ma związek ze specjalnym zadaniem, jakie ten wykonywał dla Arii. Agentowi nie udało się poznać szczegółów tej misji, wiedział tylko, że ma coś wspólnego z narkotykami i konkurencyjnym gangiem.

Kai Leng pilnował zatem Pośmiertnego, wiedząc, że Grayson będzie musiał zameldować się u swojej obcej władczyni. Przez trzy dni agent na próżno wyglądał swojego celu. Ale dziś jego wytrwałość została nagrodzona.

Grayson wszedł do klubu przed mniej więcej godziną. Jeśli tej nocy wróci do domu sam, a nie w towarzystwie młodej asari, zaatakują. Jeśli kochanka będzie mu towarzyszyć, poczekają na następną okazję. Cierpliwość była cnotą, której Kai Lengowi nie brakowało.

Mimo to nie mógł się doczekać, aż opuści stację. Na Omedze było zbyt wielu obcych, a za mało osobników jego gatunku. Był tu outsiderem, duszącym się w świecie pełnym dziwacznych osobników wywodzących się z całkiem mu obcych kultur, z którymi nie chciał mieć nic wspólnego. Wysoka przestępczość, brutalna dyktatura gangów i względna bezradność ludzi były ponurym przykładem tego, co Człowiek Iluzja ujrzał w swoich wizjach zdominowanej przez obcych przyszłości. Kai Leng był pewien, że każdy, kto miałby wątpliwości co do misji, jaką wyznaczył sobie Cerberus, po jednej wizycie na Omedze pojąłby fundamentalną potrzebę istnienia proludzkiej organizacji, która robiła to, co konieczne, by chronić swój gatunek.

Drzwi dla VIP-ów otworzyły się i wszyscy stojący w kolejce wyciągnęli szyje, by zobaczyć, kto wychodzi. Liczyli, że będzie to większa grupa: sześć, siedem czy osiem osób opuszczających klub oznaczało, że tyle samo zostanie wpuszczonych do środka. Na widok pojedynczego człowieka po kolejce przeszedł szmer zawodu.

Kai Leng poczuł coś dokładnie przeciwnego, widząc, jak Grayson wychodzi i idzie sam w stronę swojego mieszkania.

Kilku zde gustowanych oczekujących z końca kolejki odeszło szukać rozrywek gdzie indziej. Kai Leng dołączył do nich, by uniknąć zwracania na siebie uwagi, i poszedł w przeciwną stronę niż zdrajca. Zaszedł aż za róg, tak by zniknąć Graysonowi całkiem z oczu. Nie chciał ryzykować, że tamten zauważy go, odwróciwszy się z jakiegoś powodu.

Lekkim muśnięciem dłoni aktywował nadajnik zamocowany nad uchem.

– Cel wyszedł z klubu sam – szepnął, wiedząc, że odbiorniki noszone przez jego zespół

automatycznie pogłośnia przekaz, dostosowując go do potrzeb ludzkiego ucha. – Ruszamy.

* * *

Grayson, przyśpieszając kroku, wrócił do swojego mieszkania. Nie czuł się dobrze. Był zdenerwowany. Niepokojny. Sfrustrowany.

To dobrze, że wyszedł z Pośmiertnego. Tej nocy atmosfera klubu jakoś do niego nie przemawiała. Ale wciąż miał wyrzuty sumienia z powodu spławienia Liselle.

Wiesz, że ona ma rację w kwestii Kahlee. Zawsze jesteś humorzasty po rozmowie z nią.

Mijając strażników przy bramie, skinął im głową, ale nie odezwał się, pogrążony we własnych myślach.

Kahlee była łącznikiem z jego dawnym życiem, rozmowa z nią była sposobem na podtrzymanie więzi z córką. Przypominała mu o tym, co kiedyś miał... i co stracił.

To już przeszłość. Przystań się dręczyć.

Dotarł do swojego budynku, wstukał kod, a potem wbiegł po schodach na górę. Zatrzymał się dopiero pod drzwiami, oddychając ciężko. Ale choć wysiłek przyśpieszył jego tętno, nie ukoił wewnętrznego niepokoju.

Wszedłszy do mieszkania, zamknął za sobą drzwi, zaciągnął rolety i rozebrał się. Na skórze zobaczył kilka kropli potu. Stojąc na środku pokoju, zadrżał w chłodnym powietrzu napływającym z wylotu klimatyzatora.

Przez głowę przemknęła mu myśl, by znowu zadzwonić do Kahlee.

Świetny pomysł. Co jej powiesz? Myślisz, że obchodzi ją twoje emocjonalne gówno?

Pewnie już spała. Nie było sensu jej budzić. Poza tym rozmowa z nią wcale nie musiała poprawić mu nastroju, wręcz przeciwnie, mógł się potem poczuć jeszcze gorzej.

Jesteś taki pokręcony, że nawet nie wiesz, czego chcesz. Żalodne.

Zaczął chodzić w tę i z powrotem wzdłuż sofy, próbując spalić buzującą w nim energię.

Resztki adrenaliny po akcji. Musisz się zrelaksować.

To uczucie nie było nowe. Napięty. Podminowany. Gdy był w Cerberusie, czuł się tak prawie przez cały czas. Nietrudno było odgadnąć przyczynę: stres.

Praca dla Arii była odrobinę zbyt podobna do tego, co kiedyś robił dla Człowieka Iluzji. Zaczęły powracać dawne przyzwyczajenia.

Co zrobisz? Powiesz Arii, że rezygnujesz? Naprawdę myślisz, że pozwoli ci tak po prostu odejść?

Opuszczenie Omegi nie wchodziło w grę. Musiał znaleźć sposób, by sobie poradzić. Tak jak wtedy, gdy pracował dla Cerberusa.

Jeden niuch czerwonego piasku i wszystko będzie dobrze.

Nie mógł zaprzeczyć – był nałogowcem. Nie miał szans na przetrwanie nocy. Nie z narkotykami tu, we własnym mieszkaniu. Ale istniało wyjście z sytuacji: zastąpić jeden nałóg

drugim.

Poszedł do sypialni, aktywował terminal Extranetu i nacisnął ekran, by wykonać szybki telefon. Liselle odebrała po drugim dzwonku.

– Wiedziałam, że zadzwonisz.

Jej głos był lekko zniekształcony, bo odbiornik zamontowany w jej bransoletce starał się zredukować hałas panujący na parkiecie.

– Przepraszam, że zachowywałem się dziwnie – powiedział. – Po prostu czułem się trochę... zmęczony.

– Już ci lepiej? – jej głos brzmiał wyjątkowo kusząco. – Chcesz, żebym przysłała?

– Najszybciej jak możesz – to była szczerza odpowiedź.

– Będę za dwadzieścia minut.

Połączenie zakończyło się, a Grayson odsunął się od terminalu. Dwadzieścia minut. Tyle mógł wytrzymać.

* * *

Kai Leng i jego zespół – czterech mężczyzn i dwie kobiety – zatrzymali się przy bramie prowadzącej do dzielnicy, w której mieszkał Grayson. Turiańscy strażnicy spoglądali na nich z mieszaniną znudzenia i wzdrygnięcia, nie kłopotząc się nawet podniesieniem broni.

Zdjęcie ich byłoby banalnie proste, ale, niestety, nie wchodziło w grę. Wartownicy należeli do Pierwszej Straży Omegi, niezależnej firmy zatrudnianej przez bogatszych mieszkańców do chronienia kilku osiedli na stacji. Każdy strażnik musiał się meldować w dyspozytorni co dwadzieścia minut. Jeśli tego nie zrobił, na miejscu pojawiał się oddział wsparcia liczący ponad dwudziestu żołnierzy.

– Nazwisko – rzucił jeden ze strażników.

– Manning – powiedział Kai Leng. – Do Paula Johnsona.

Turianin spojrział na ekran omniklucza.

– Nie ma cię na liście. Muszę zadzwonić, żeby potwierdził.

– Zaczekaj – wtrącił szybko Kai Leng. – Nie dzwoń. To ma być niespodzianka. W przyszłym tygodniu ma urodziny.

Turianin zawahał się, potem przyjrzał się uważnie stojącym przed nim ludziom.

Kai Leng przebrał ich tak, by pasowali do przykrywki. Nikt nie miał pancerza, wszyscy nosili kolorowe stroje zgodne z panującą aktualnie na Omedze modą. Zamiast broni trzymali prezenty owinięte w jaskrawy papier.

Byli jednak uzbrojeni: każdy z członków grupy ukrył przy sobie mały pistolet usypiający. Ogłuszacze były mniejsze i łatwiejsze do ukrycia, ale usypiacze oferowały lepszy zasięg i nie wymagały doładowania po dwóch czy trzech strzałach.

– To złamanie zasad – stwierdził drugi turianin, choć w jego głosie nie słychać było

stanowczości. – Możemy za to wylecieć.

– Nie chcemy wam sprawiać problemów – odpowiedział Kai Leng, wyciągając dwa stukredytowe czipy. – Po prostu wyświadczyć nam przysługę i udawajcie, że nas tu nigdy nie było.

Straż Omegi dobrze płaciła swoim pracownikom, ale w odpowiednich okolicznościach jej członkowie wcale nie byli tacy nieprzekupni. Grupa niespodziewanych gości, która pojawiła się na posterunku, wyglądała na nieszkodliwą, a oferta, jaką złożył turianom Kai Leng, była na tyle szczodra, by skusić, ale nie aż tak wysoka, by wydała się podejrzana.

– Pokażcie te prezenty – powiedział turianin, wyciągając czipy z ręki człowieka.

Kai Leng rozważał wcześniej ukrycie broni w opakowaniach na prezenty. Na szczęście jego znajomość natury obcych skłoniła go, by poszukać innego rozwiązania. Wiedział, że turiańscy strażnicy nie będą mogli się oprzeć możliwości pokazania grupie ludzi, kto tu rządzi.

Przez kilka następnych minut turianie grzebali w pudłach z prezentami. Zdarli opakowania i zaglądali do środka, dokładnie i bez cackania się sprawdzając zawartość. Znaleźli kilka butelek drogiego wina, zegarek, parę spinek do mankietów i pudełko dobrych cygar. Kiedy skończyli, pudła z prezentami zmieniły się w skrawki kolorowego papieru i stosik pogiętej tektury.

– Posprzątajcie to i możecie wejść – powiedział drugi turianin.

Kai Leng przygryzł wargę i dał znak swojej grupie. Jeszcze jedno upokorzenie: zbieranie śmieci na ulicy, podczas gdy strażnicy dosłownie patrzyli na nich z góry. Jego ludzie wykazali się i znieśli to bez słowa, wiedząc, że misja jest ważniejsza niż palące pragnienie ukarania turian za ich arogancję.

Gdy już odchodzili, jeden ze strażników rzucił:

– Pan Johnson może się nie ucieszyć na wasz widok. Jego asaryjska przyjaciółka przyszła dziesięć minut przed wami.

– Pewnie właśnie daje mu swój prezent – zarechotał drugi.

Kai Leng zaklął w duchu. Gdy zobaczył, że Grayson wychodzi z klubu sam, przestał go śledzić i poszedł do swoich ludzi. Nie przyszło mu do głowy, że asari może później dołączyć do zdrajcy.

Opanowując gniew, uśmiechnął się.

– Nie zapomnimy zapukać.

Poprowadził zespół przez bramę i za róg, do budynku Graysona. Gdy tylko zniknęli strażnikom z oczu, uniósł dłoń, dając swoim agentom sygnał, by się zatrzymali.

Nigdy by nie przystąpił do realizacji planu, gdyby wiedział, że asari tam będzie, ale było za późno, by się wycofać. Strażnicy na pewno zapytaliby Graysona o przyjęcie niespodziankę. A on był dość bystry, by wszystko poskładać: zorientowałby się, że Cerberus go znalazł. Zniknąłby albo dostał od Arii specjalną ochronę. Dziś w nocy mieli jedyną szansę.

– Słyszeliście strażnika – powiedział. – Grayson nie jest sam. Jest z nim asari. Musimy go wziąć żywcem – przypomniał im o głównym celu misji. – Ale ta obca dziwka nie jest nam potrzebna. Jeśli będziecie mieli okazję, zabijcie ją.

Wystarczyło mu jedno spojrzenie na ich twarze. Wszyscy wiedzieli, że łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Grayson miał prawdopodobnie w mieszkaniu co najmniej jedną sztukę broni. Asari również mogła być uzbrojona. A nawet gdyby nie, to była biotyczką. Agenci Cerberusa, wystrojeni jak na przyjęcie i uzbrojeni tylko w usypiacze, byli na gorszej pozycji.

– Trzymamy się pierwotnego planu – przypomniał Kai Leng. – Atakujemy szybko, bierzemy ich z zaskoczenia. Jeśli będziemy mieli szczęście, będzie po wszystkim, zanim się w ogóle zorientują.

* * *

Grayson spazmatycznie łapał powietrze. Leżał na łóżku i wpatrywał się w sufit, próbując odzyskać oddech. Liselle przytulała się do niego, ich nagie ciała wciąż były splecione.

– Cieszę się, że zmieniłeś zdanie – wymruczała mu do ucha, muskając palcami jego nagą klatkę piersiową.

Wciąż dochodząc do siebie po tym, co właśnie zrobili, zdołał tylko wydyszeć:

– Ja też.

Seks z Liselle był czymś więcej niż czystą przyjemnością. Jak wszystkie asari, podczas orgazmu nawiązywała głęboką i mocną więź mentalną z partnerem, na krótką chwilę dwa umysły stawały się jednym. Ich tożsamości łączyły się, mieszały, przekształcały, a potem rozdzielały z taką intensywnością, że Graysonowi dosłownie brakowało powietrza.

I jak po czymś takim kiedykolwiek wrócisz do ludzkich kobiet?

– Muszę się napić – powiedział, delikatnie wyplątując się z długich, smukłych ramion Liselle.

Poszedł do kuchni, wyjął z lodówki butelkę i pociągnął z niej łąpczywie. Był oszołomiony, ale niepokój i zdenerwowanie zniknęły, odegnane przez niezwykle sypialniane talenty Liselle.

Właśnie miał do niej zawołać i zapytać, czy nie ma na coś ochoty, gdy rozsunęły się drzwi do jego mieszkania.

Obrócił się gwałtownie i zobaczył małą grupę ludzi zebraną w korytarzu. Jedna z kobiet klęczała przy framudze, właśnie skończyła omijać kody dostępu. Pozostali stali ciasno obok siebie, co utrudniało ocenienie, ilu właściwie ich jest. Ale Grayson natychmiast zauważył dwie rzeczy: wszyscy byli ludźmi i wszyscy byli uzbrojeni.

Zareagował instynktownie, padając na podłogę i chroniąc się za kontuarem przed kulą wystrzeloną przez napastnika.

Zawodowiec. Szybko strzelił.

– Zasadzka! – krzyknął do Liselle. – Stolik przy łóżku! – dodał, podając jej lokalizację broni.

Mówilem, że Cerberus cię znajdzie.

Wiedział, że nie ma szans. Nagi, nieuzbrojony, sam przeciw wielu – wszystko działało na jego niekorzyść. Ale nie obchodziło go, czy przeżyje. Chciał tylko dotrzeć do terminalu w sypialni i mieć wystarczająco dużo czasu, by wysłać ostrzeżenie do Kahlee.

O ile już jej nie mają.

Wiedząc, że ryzykuje, wystawił głowę, by zerknąć na wroga. Trzech z nich wystrzeliło, gdy tylko go zobaczyli, ale zdążył się schować.

Na szczęście nie mogli wiedzieć, że jest nieuzbrojony. Zamiast atakować z impetem, wciąż czaili się w korytarzu, kryjąc się za framugą.

Grayson skulony ruszył korytarzem do sypialni. Za sobą usłyszał kroki, gdy kilku zabójców weszło do mieszkania.

Rozległy się przenikliwe brzęki, gdy pociski trafiły w ścianę nad nim. Usłyszał gwizd przy uchu. I już był za rogiem, poza linią ognia.

Dziwne. Kule nie brzęczą.

Zapomniał o nietypowym odgłosie, widząc Liselle wybiegającą z sypialni. Była naga, w wyciągniętej prawej ręce trzymała mocno jego pistolet.

Oboje poruszali się szybko i o ułamek sekundy za późno zrozumieli, co się stanie. Wpadli na siebie, a impet uderzenia powalił ich oboje na ziemię.

Grayson skoczył na nogi i szarpiąc Liselle za lewe ramię, rozpaczliwie próbował ją podnieść. Kierował się ku drzwiom sypialni, na wpół niosąc, na wpół ciągnąc za sobą asari. Co dziwne, ona wciąż trzymała broń, mimo że upadła i niemal wywichnięła sobie ramię ze stawu.

Agent Cerberusa wyrzwał zza rogu i zaczął się do nich zbliżać. Grayson instynktownie zacisnął dłonie na ramieniu kochanki, czekając, aż pocisk wbije mu się w pierś. Liselle, na wpół uwieszona na nim, machnęła lekko ręką, w której trzymała pistolet, w stronę uzbrojonego przeciwnika, a ten ruch uaktywnił synapsy w jej mózgu wywołujące uderzenie ciemnej energii.

Asari nie miała dość czasu, by zebrać siły do naprawdę mocnego ataku. Biotyczny cios nie wyrządził napastnikowi większej krzywdy, ale wytrącił go z równowagi, a strzał trafił w sufit, podczas gdy agent, potykając się, wycofał się za róg, w bezpieczne miejsce.

Od sypialni dzielił ich tylko niecały metr, gdy napastnik znowu się pojawił, od razu strzelając. Trafił Liselle w klatkę piersiową. Asari jęknęła i podczas gdy Grayson wciąż ciągnął ją w stronę kryjówek, podniosła rękę, by odpowiedzieć ogniem.

Liselle nie była w stanie dobrze wycelować, ale automat celujący pistoletu zrobił to za nią. Co najmniej jedna z wystrzelonych kul trafiła – czerwony strumień prysnęła na ścianę, gdy

agent Cerberusa osunął się na ziemię.

Grayson wycofywał się dalej. Liselle zwiotczała, pistolet wysunął się z jej palców, gdy przekraczali próg sypialni. Puszczając kochankę, Grayson, wcisnąwszy panel, zamknął drzwi, dając im kilka cennych chwil.

Podniósł Liselle, rzucił ją na łóżko i nerwowo szukał rany. Spodziewał się zobaczyć wielką dziurę w okolicach mostka, ale znalazł tylko mały ślad po ukłuciu dokładnie między jej piersiami.

Kawałki układanki trafiły na miejsce, gdy zorientował się, że choć Liselle jest nieprzytomna, to dalej oddycha.

Niemal niewidzialna rana. Dziwny brzęk amunicji. Używają nabojów usypiających. Chcą cię wziąć żywcem.

Nie wiedział, czy to lepiej, czy gorzej. W każdym razie nie zmieniało to jego obecnej sytuacji. Musiał ostrzec Kahlee.

Słyszał intruzów w korytarzu, tuż za drzwiami sypialni. Nie było w nich zamka, ale agenci i tak byli ostrożni – wiedzieli, że ich przeciwnik używa ostrej amunicji. Ale nie zostało mu wiele czasu.

Zostawił nieprzytomną Liselle na łóżku i podbiegł do stojącego po drugiej stronie pokoju terminalu. Pośpiesznie uderzał w interfejs, logując się do Extranetu i wysyłając Kahlee pliki, które zdobył w ciągu ostatnich dwóch lat.

Gdy tylko wiadomość została wysłana, aktywował program czyszczący, który usuwał wszystkie pliki z systemu, w tym ślady po wysłanych i otrzymanych wiadomościach.

Sekundę później drzwi się otworzyły. Grayson odwrócił się i rzucił na napastników.

Zdążył zrobić jeden krok, nim dwie igły usypiacza trafiły go w pierś. Robiąc krok trzeci, był już nieprzytomny.

* * *

Kai Leng stał nieruchomo z pistoletem usypiającym wymierzonym w cel jeszcze chwilę po tym, jak ciało Graysona upadło na podłogę. Gdy stało się jasne, że tamten jest nieprzytomny, opuścił broń i zaczął wydawać rozkazy:

– Wysyłał wiadomość. Sprawdźcie terminal, mógł wzywać wsparcie.

Shella, ich ekspert, podbiegła do stojącego w rogu komputera.

– Pozostali niech przeszukają pokój. Zabierzcie każdą broń, jaką znajdziecie. Potrzebujemy czegoś więcej niż tych zabaweczek, żeby zdjąć turian przy wejściu.

– A co z nią? – zapytała Shella, kiwając głową w stronę nieprzytomnej asari i jednocześnie pracując nad interfejsem terminalu.

– Zostaw ją mnie.

Wyszedł na korytarz. Ciało Darrina leżało na podłodze w kałuży jego własnej krwi. Jens

wciąż pochylał się nad nim, wstrzykując medyzel, sprawdzając odczyty i licząc na cud. Jedno spojrzenie na ciało wystarczyło Kai Lengowi, by wiedzieć, że medyk traci czas.

Zaczął przeszukiwać kuchnię. Otwierał szafki i wyciągał szuflady, aż znalazł bardzo duży, bardzo ostry nóż. Podniósł go i zważył w dłoni. Zadowolony wrócił do sypialni.

– Terminal jest pusty – poinformowała go Shella. – Musiał wyczyścić wszystko, zanim weszliśmy.

Kai Leng zmarszczył brwi. Nie miał pojęcia, jakie dane były w komputerze Graysona, ale okazały się wystarczająco ważne, by zajął się usuwaniem ich, w chwili gdy zaatakowano jego mieszkanie.

– Znalazłem to pod łóżkiem – wtrącił jeden z agentów, podnosząc owiniętą w celofan paczkę wielkości cegły. – Są jeszcze cztery. Wygląda na czerwony piasek.

W końcu coś zadziało na ich korzyść. Kai Leng wiedział, że Aria jest wplątana w wojnę narkotykową z konkurencyjnym gangiem. Przy odrobinie szczęścia uzna, że to oni stoją za zniknięciem Graysona.

– Zabieramy piasek. Broń?

– Tylko tą, z której strzelali do Darrina.

– Co z nim...? – Shella zawiesiła głos.

Kai Leng po prostu pokręcił głową, idąc w stronę łóżka. Po twarzy Shelli przemknął cień, ale nie okazała żadnych więcej emocji.

Stanąwszy nad nagim ciałem asari, podciął jej gardło zręcznym i głębokim cięciem. Po szyi ofiary spłynęła obficie krew i zaczęła wsiąkać w pościel, zostawiając szkarłatny ślad, taki sam jak krew zabitego agenta zasychająca w korytarzu.

– Dwóch niech bierze Graysona, dwóch Darrina – powiedział, chowając nóż za pasek z tyłu spodni i ukrywając go pod koszulą. – Idziemy.

Atak i przeszukanie zajęły w sumie nie więcej niż dziesięć minut. Choć taki pośpiech nie był konieczny, Kai Leng był pod wrażeniem szybkości działania swoich podwładnych.

Lokatorzy innych mieszkań w budynku słyszeli zapewne strzały. Ale mało prawdopodobne, żeby któryś zareagował. Mieszkańcy Omegi nie zwykli wtykać nosa w cudze sprawy. Nawet jeśli ktoś chciałby zgłosić zajście, nie było komu. Omega nie miała policji, a strażnicy przy bramie kilka przecznic dalej nie opuściliby stanowiska. Płacono im za powstrzymywanie nieuprawnionych od wejścia do dzielnicy, nie za utrzymywanie porządku wewnątrz. Wieści o walce dotrą w końcu do Aarii, prawdopodobnie jeszcze tej nocy, ale Kai Leng miał nadzieję, że wtedy nie będzie ich już na stacji.

Pozostawał tylko jeden problem: przeniesienie nieprzytomnego Graysona, jeszcze ciepłego ciała Darrina i ośmiu kilo czerwonego piasku przez posterunek przy bramie.

Kai Leng poprowadził swój zespół krętymi uliczkami, tą samą drogą, którą przyszli. Mieli szczęście i nie natknęli się na nikogo. Gdy dotarli do ostatniego zakrętu przed posterunkiem, dowódca nakazał postój. Wyciągnął rękę, a Shella podała mu pistolet

Graysona. Z odrazą zauważył, że to był turiański Elanus. Schował go pod koszulą obok noża. Czuł dwie rękojeści – ostrza i pistoletu – przyciśnięte do krzyża.

– Zaczekajcie tu, ale bądźcie gotowi.

Odczekał chwilę, by skupić myśli i przygotować ciało, po czym sam wyszedł z za rogu, idąc spokojnym, ale zdecydowanym krokiem.

Turianie zauważyli go, ale nie wyciągali broni, nie wydali się też zaniepokojeni.

– Co się stało? – zaśmiał się jeden z nich. – Wykopali cię z przyjęcia?

– Zapomniałem czegoś – mruknął, wciąż idąc w ich stronę.

Był dziesięć metrów od nich – wystarczająco blisko, by oddać celny śmiertelny strzał. Ale strażnicy mieli kombinezony bojowe, których tarcze kinetyczne z łatwością odbiłyby kule. Musiał podejść blisko.

– Jak wyjdiesz z dzielnicy, będziesz musiał się wkupić, żeby wrócić – ostrzegł drugi turianin.

Kai Leng nie kłopotał się odpowiedzią. Pięć metrów. Jeszcze kilka kroków i będzie po wszystkim. Był na tyle blisko, że mógł dostrzec wyrazy ich ptasich gąb. Widział, jak uświadamiają sobie, że stanowi zagrożenie.

Gdyby którykolwiek z turian zrobił kilka szybkich kroków w tył, w chwili gdy Kai Leng sięgał po broń, człowiek nie miałby szans. Na szczęście obaj strażnicy stali w miejscu.

Poruszając się błyskawicznie, Kai Leng rzucił się na nich, lewą ręką sięgając po nóż. Wyciągnął ostrze i zatopił jego czubek w gardle bliżej stojącego strażnika. Obracając nadgarstek, przeciął jednocześnie tchawicę i turiański odpowiednik tętnicy szyjnej.

Drugi turianin miał wyciągniętą broń, ale gdy przymierzał się do strzału, Kai Leng uderzył go wolną ręką w ramię, wytrącając mu pistolet. Puścił nóż i sięgnął po broń Graysona. Płynnym ruchem wyciągnął ją z pasa, oparł lufę o skroń turianina i nacisnął spust.

Tył głowy strażnika z mokrym plaśnięciem eksplodował fragmentami czaszki i mózgu. Kai Leng patrzył w oczy wroga, gdy ten umierał: widział, jak źrenice rozszerzyły się, gdy synapsy pozostałe z jego mózgu zamarły i turianin upadł.

Jego zabójca skupił się na pierwszym strażniku, który leżał na ziemi, ale wciąż się ruszał, sięgając rękami do rękojeści wystającego z jego gardła noża. Zabójca podszedł i skończył z nim tak samo jak z jego partnerem: jeden strzał w głowę z bliska.

Gdy się odwrócił, dostrzegł, że jego ludzie już do niego biegli. Nie było im łatwo poruszać się szybko, bo spowalniał ich ciężar dwóch niesionych ciał. Poza agentami i ich zakładnikiem w zasięgu wzroku nie było nikogo innego. Jeśli ktoś widział zajście, to miał dość rozumu, by zniknąć.

W niecałe dziesięć minut dotarli szybkim krokiem do portu. Po kolejnych pięciu minutach byli już na pokładzie statku odlatującego ze stacji.

Dopiero wtedy Kai Leng pozwolił sobie na uśmiezek satysfakcji.

– Skontaktujcie się z Człowiekiem Iluzją – powiedział Shelli. – Powiedzcie mu, że Grayson wraca do domu.

Pięć

Kahlee wierciła się przez całą noc, co chwilę spoglądając na wyświetlacz zegarka przy łóżku. Za każdym razem była zaskoczona, że minęło tylko kilka minut, odkąd ostatnio sprawdzała, która godzina. Wydawało jej się, że rano nigdy nie nadejdzie.

Po rozmowie z Graysonem nigdy nie sypiała dobrze. Nie przestawała się zastanawiać, gdzie on jest i czym się zajmuje. A myślenie o Graysonie nieuchronnie prowadziło do wspomnień o Gillian i Hendlu. Troszczyła się o każdego z uczniów pozostających pod jej opieką, ale dla Gillian zawsze miała szczególne miejsce w sercu. Wiedziała, że teraz Hendel dba o córkę Graysona, ale to nie zmniejszało jej tęsknoty za dziewczynką – ani za jej opiekunem.

Szef ochrony, zawsze spokojny i opanowany, był najlepszym przyjacielem Kahlee na stacji... Jednym z nielicznych przyjaciół, jakich w ogóle miała. Mimo że była dość otwartą osobą, innych trzymała na dystans. Zapewne odziedziczyła tę cechę po swoim ojcu mizantropie.

Zaskakujące, jak wielki wpływ na jej życie miał Jon Grissom. Z trudem udawało jej się ukrywać fakt, że człowiek, którego imię nosiła Akademia, był jej biologicznym ojcem. Po rozwodzie rodziców zniknął z jej życia, przyjęła więc nazwisko matki. W miarę upływu lat starała się jak mogła utrzymać w tajemnicy swoje pokrewieństwo z jednym z najbardziej podziwianych – i niezrozumianych – bohaterów ludzkości.

Jednak ojciec pojawił się ponownie w jej życiu jakieś dwadzieścia lat temu, gdy musiała uciekać, po tym jak wrobiono ją w masakrę współpracowników w placówce badawczej na Sidonie. Grissom ukrył ją w swoim domu w Elizjum, a potem umożliwił jej i Davidowi Andersonowi – żołnierzowi Przymierza, który jako jedyny wierzył w niewinność Kahlee – ucieczkę z planety.

Niemal dwadzieścia lat później Anderson pomógł komandorowi Shepardowi zdemaskować Sarena, zbuntowane turiańskie Widmo, jako zdrajcę Rady. Kahlee stała się jednym z najbardziej uznanych badaczy biotyki i kierownikiem Projektu Podniesienie. Jej ojciec został na Elizjum. Mieszkał sam, nie udzielał wywiadów i starał się jak mógł żyć z dala od swojej legendy, której nie akceptował.

Kontaktowała się z nim regularnie, choć rzadko, aż do jego śmierci. Sześć miesięcy temu

zmarł z przyczyn naturalnych w wieku siedemdziesięciu pięciu lat, co jak na współczesne standardy było szokująco przedwczesnym zgonem. Ojciec do końca pozostał reliktem dawno minionych czasów.

Na pogrzebie stawiły się setki dygnitarzy chcących uhonorować swojego idola, którego tak naprawdę wcale nie znali. Kahlee wzięła udział w ceremonii nie jako córka Grissoma, ale jako członek personelu Akademii: ceniła sobie prywatność tak samo jak jej ojciec.

Gdy była nastolatką, śmierć matki wstrząsnęła jej światem. Odejście Grissoma wywarło na nią o wiele mniejszy wpływ. Nigdy nie czuła się z nim blisko związana: dwie czy trzy potajemne wizyty w jego posiadłości w Elizjum zawsze oznaczały niezręczne rozmowy przerywane długimi chwilami gorzkiej ciszy. A teraz, kiedy starego drania nie było, naprawdę za nim tęskniła. Za każdym razem, gdy w stołówce mijała pamiątkową tablicę, na której wyryto jego imię i podobiznę, miała gulę w gardle.

Próbując przestać rozmyślać o ludziach z przeszłości, zaczęła się zastanawiać, jak naprostować stosunki z Nickiem. Nie chciała, żeby czuł się zawstydzony albo zażenowany z powodu tego, co zaszło, ale poruszenie tematu wprost mogło tylko pogorszyć sprawę.

Gdyby Hendel wciąż był w Akademii, poprosiłaby, żeby się tym zajął. Ale go nie było. Tak jak jej ojca. I Graysona. I Andersona.

Dlaczego wszyscy mężczyźni w moim życiu odchodzą?

To nie było coś, nad czym chciałaby się zastanawiać w długą, bezsenłą noc. Na szczęście właśnie w tym momencie jej terminal zasygnalizował nadejście wiadomości, dając jej powód, by wstała z łóżka.

Odbierając przekaz, czuła niepokój. W nocy terminal był ustawiony na pracę w trybie cichym – dzwonek uruchamiał się, tylko gdy nadchodzące połączenie oznaczono jako „pilne”. Kiedy zobaczyła, że nadawcą jest Grayson, jej zdenerwowanie przybrało na sile.

Tym razem połączenie nie odbywało się w czasie rzeczywistym. Po formacie pliku poznała, że to nagrana wiadomość i zaszyfrowany załącznik. Kiedy włączała odtwarzanie, zaschło jej w gardle tak, że nie mogła przełknąć śliny.

Gdy tylko na ekranie pojawił się wizerunek Graysona, zorientowała się, że nagranie wykonano kilka miesięcy albo lat wcześniej. Jego twarz nie była jeszcze taka wychudzona, a worki pod oczami tak wyraźne.

– Jeśli to oglądasz, to znaczy, że Cerberus mnie znalazł.

Mówił spokojnie, obojętnie, ale Kahlee i tak żołądek podszedł do gardła.

– Nie wiem, czy po ciebie też przyjdą. Możliwe, że nie. Człowiek Iluzja jest na tyle praktyczny, że może uznać, że nie jesteś ważna dla jego planów. Ale potrafi też być mściwy i pamiętliwy. Nie możesz ryzykować.

Próbowała skoncentrować się na słowach Graysona, ale miała problem z ich zrozumieniem. Nie mogła skupić się na treści nagrania, bo cały czas myślała o człowieku, który je wykonał. Czy Grayson był martwy? Pojmali go?

– Do tej wiadomości dołączyłem plik – mówił Grayson tym samym spokojnym głosem. – Jest w nim wszystko, co wiem o Cerberusie.

Jego monotony głos ostro kontrastował z treścią, która legła na barkach Kahlee ogromnym ciężarem. Kobiecie kręciło się w głowie i miała mdłości. Wszystko wydawało się takie surrealistyczne, jak koszmar, z którego nie można się obudzić.

– Człowiek Iluzja jest inteligentny. Jest ostrożny. Mówi swoim agentom tylko to, co muszą wiedzieć. Ale ja postarałem się zdobyć więcej informacji. Przez ostatnie kilka lat pracy dla Cerberusa zbierałem dane. Może w głębi duszy już wtedy podejrzewałem, że zdradzę Człowieka Iluzję. Albo że on zdradzi mnie. Może byłem po prostu dość bystry, żeby się zabezpieczyć. Imiona agentów pracujących w strukturach Przymierza. Namiary na główne placówki i kryjówki. Firmy przykrywki będące własnością Człowieka Iluzji. Wszystko, czego się dowiedziałem, każda najdrobniejsza informacja tam jest. Niektóre dane mogą być nieaktualne – adresy się zmieniają, przychodzą nowi agenci. Ale wiem, że we właściwych rękach te dane mogą naprawdę zaszkodzić Człowiekowi Iluzji.

W sercu Kahlee pojawiła się iskierka nadziei. Jeśli Grayson wciąż żył, będzie mogła użyć informacji, które jej przesłał, by dowiedzieć się, gdzie Cerberus go zabrał.

– Nie próbuj mnie ratować – odpowiedział jej z wciąż odtwarzającego się nagrania. – Jeśli to oglądasz, to prawdopodobnie jestem martwy.

Kahlee pokręciła głową, mimowolnie zaprzeczając.

– Musisz chronić siebie. Przekaż te informacje komuś, kto ma władzę. Komuś, kto jest w stanie ruszyć na Cerberusa. Musisz zniszczyć Człowieka Iluzję. Tylko w ten sposób będziesz bezpieczna.

Na kilka chwil zapadła cisza, a Grayson widoczny na ekranie zmarszczył brwi. Potem zaśmiał się ponuro.

– Nie wiem, do kogo mogłabyś pójść – przyznał. – Chciałbym wiedzieć. Cerberus ma ludzi na niemal każdym poziomie struktur Przymierza. Każdy, kto ma jakieś wpływy, może pracować dla Człowieka Iluzji. Ale jesteś mądra. Wiem, że kogoś znajdziesz. Tylko uważaj, komu ufasz.

Wiadomość zakończyła się gwałtownie, co zaskoczyło Kahlee. Nie było żadnych ostatnich słów, żadnych sentymentalnych pożegnań. Grayson powiedział jej to, co musiała wiedzieć, a potem po prostu zakończył nagrywanie.

Przez kilka minut siedziała, wpatrując się w wizerunek Graysona zatrzymany na ostatnim ujęciu, i próbowała jakoś zaakceptować straszliwe wieści.

Gdy poczuła, że odzyskuje panowanie nad sobą, mruknęła:

– Odtwórz.

Obejrzała nagranie po raz drugi, aby upewnić się, że za pierwszym razem pod wpływem emocji nie przegapiła czegoś ważnego. Kiedy skończyła, włożyła do terminalu dysk optyczny i skopiowała załącznik. Potem zaczęła się pakować. Nie panikowała, ale w jej ruchach był

pośpiech.

Mimo szoku zaczynała już planować dalsze działania. Nie mogła zostać w Akademii, to naraziłoby dzieci i personel.

Istniało kilka osób, do których mogła się zwrócić. Była uznawana za jednego z najgenialniejszych naukowców ludzkości, podczas swojej kariery zetknęła się z politykami i wojskowymi, którzy by jej wysłuchali – i uwierzyli.

Ale czy mogła ufać któremuś z nich? Nie byli przyjaciółmi, najwyżej znajomymi. I każdy z nich mógł pracować dla Cerberusa.

Gdyby jej ojciec żył, poszłaby do niego. Gdyby Hendel był w Akademii, poprosiłaby go o pomoc. Ale ich nie było, tak jak i Graysona.

Pozostawała tylko jedna osoba. Ktoś, kogo nie widziała od pogrzebu ojca, a wcześniej tylko kilka razy podczas minionej dekady. Ale ufała mu całkowicie. I wiedziała, że musi jak najszybciej dostarczyć mu informacje od Graysona.

* * *

Aria T'Loak stała nieruchomo przy łóżku, patrząc na nagie, skąpane we krwi ciało Liselle. Dwóch salariańskich techników czołgało się po dywanie, zbierając próbki krwi, włosów i włókien. Trzeci sprawdzał terminal Extranetu, a czterech kolejnych przeszukiwało resztę mieszkania, szukając śladów, które pozwoliłyby ustalić, co się stało.

Ślady walki były oczywiste, ale ile osób walczyło i kim byli, nie dało się określić. Wiedzieli tylko, że człowiek znany jako Paul Johnson zniknął, tak samo jak narkotyki.

Oczywiście to nie było jego prawdziwe nazwisko. Gdy przedsiębiorczy najemnik zaczął wspinać się w górę po szczeblach jej organizacji, Aria go sprawdziła. Niemal natychmiast ustaliła, że Paul Johnson to pseudonim, ale to nie wzbudziło jej niepokoju. Nie był jedyną osobą w organizacji posługującą się fałszywą tożsamością.

Kilka miesięcy ostrożnej inwigilacji upewniło ją, że Johnson nie pracował dla żadnego z konkurencyjnych gangów ani agencji pilnującej przestrzegania prawa i szukającej możliwości zaczepienia się na Omedze. Jednak nie udało jej się dojść, kim naprawdę był. Jej podwładni pobrali dane biometryczne: odciski palców ze szklanek, skan siatkówki, twarzy i ciała z kamer ochrony z całej stacji. A nawet próbki krwi pobrane przez Liselle, gdy Paul spał obok niej. W żadnej z przeszukanych baz danych Aria nie natknęła się na ślad Paula Johnsona.

Królowa Piratów nie lubiła niepewności. W pierwszym odruchu chciała wyeliminować Paula, na wszelki wypadek. Nawet kazała Liselle to zrobić. Ale młoda asari wstawiła się za nim. Upierała się, że posiadał umiejętności, które mogły się Aarii przydać, że był cenny dla organizacji. Jakkolwiek miał przeszłość, zostawił ją za sobą, przylatując na Omedę. Liselle przysięgała, że teraz był lojalny wobec Aarii... tak lojalny, jak to było możliwe na Omedze.

W końcu Aria dała się przekonać. A teraz Liselle była martwa.

Przez wieki Królowa Piratów z Omegi oglądała tysiące, jeśli nie miliony ciał: zarówno swoich wrogów, jak i sprzymierzeńców. Widziała więcej martwych asari, niż była w stanie spamiętać, wiele z nich sama zabiła. Ale nie co dzień patrzyła na śmierć którejś ze swoich córek.

Na polecenie matki Liselle ukrywała ich pokrewieństwo. Aria nie chciała, żeby jej wrogowie wykorzystali tę wiedzę przeciw niej, nie chciała też, żeby Liselle żyła w nieustannym zagrożeniu. Ale w końcu okazało się, że ta ostrożność nie miała większego znaczenia – Liselle zginęła, choć niewielu wiedziało, kim była dla Królowej Piratów.

Mimo furii, jaką wywołała w niej śmierć córki, Aria nie miała zamiaru działać pochopnie. Istniało zbyt wiele możliwości. To mógł być atak odwetowy Talonów, choć wydawało się to mało prawdopodobne. Po co mieliby się z nią układać, a potem znowu zaczynać wojnę? Byli na to za mądrzy.

Poza tym Talonowie nie mieli powodu, by zabierać ze sobą Johnsona. Właściwie Arii nie przychodził do głowy nikt, kto mógłby chcieć pojmać Paula... co oznaczało, że najpewniej on był w to wszystko zamieszany.

Odwróciła się i szybkim krokiem wyszła z sypialni. Gdy zostawiała za sobą ciało córki, jej twarz była pozbawiona emocji i nieruchoma jak kamień.

Sanak krążył gdzieś w holu, przepytując sąsiadów, na wypadek gdyby słyszeli albo widzieli coś, co mogło się przydać. Wysłała z nim dwóch krogan – mało subtelna sugestia, że na pytania jej przybocznego należy odpowiadać wyczerpująco.

Niestety, szanse, że dowiedzą się czegoś nowego, były praktycznie zerowe. Pierwsza Straż Omegi wyznaczyła już nagrodę wysokości pięciu tysięcy kredytów za informację mogącą doprowadzić do schwytania lub śmierci osób odpowiedzialnych za morderstwo strażników. Jak na razie nie było żadnych tropów. Wszyscy na Omedze znali reputację Arii, ale jeśli pięć tysięcy kredytów nie sprawiło, że ktoś się zgłosił, to nie sprawi tego również legendarna furia Królowej Piratów.

Przeszła przez kuchnię i weszła do pokoju dziennego, w chwili gdy Sanak wrócił. Po wyrazie jego twarzy poznała, że nie będzie zadowolona z relacji.

– Rozmawialiśmy ze wszystkimi w budynku – powiedział, przechylając głowę na lewo w podświadomym geście szacunku typowym dla batarian. – Padło kilka strzałów. Widziano sześć lub siedem osób opuszczających mieszkanie. Wszyscy byli ludźmi. Nic nowego.

Aria mogła skarcić go za porażkę, ale nie miałyby to sensu. Przemoc i zastraszanie były cennymi narzędziami w procesie negocjacji i motywowaniu tych, którzy dla niej pracowali. Ale wiedziała, że Sanak zrobił już wszystko, co w jego mocy.

Batarianin nie był najbystrzejszym z jej podwładnych, ale nadrabiał to lojalnością i poświęceniem w wypełnianiu poleceń. Aria nie widziała powodu, by wyładowywać na nim swoją złość. Nie zwykła karcić swoich najemników bez potrzeby – mogliby żywić urazę, a w konsekwencji nawet zdradzić.

– Więc dalej nie wiemy, czy Johnson jest ofiarą, czy zdrajcą – zastanowiła się na głos.

– Stawiam na zdrajcę – podsunął Sanak. – Ludziom nie można ufać.

Aria nie odpowiedziała, rzuciła mu tylko kose spojrzenie.

– Spójrz na dowody – podjął szybko, pojawiwszy, że potrzeba czegoś więcej niż jego osobista niechęć, by ją przekonać. – Liselle ma podejrzięte gardło. Ufała zabójcy na tyle, żeby dopuścić go do siebie. A narkotyki? Chciałem je zabrać do klubu. Johnson upierał się, żebyśmy zostawili towar tutaj. Wydawało się to trochę dziwne.

– Przyniesienie piasku do klubu to podejmowanie głupiego ryzyka.

– Nie chodzi o to, co powiedział – upierał się batarianin. – Ale jak. Widok takiej ilości piasku go oszołomił. Gapił się na te paczki. Warga mu drżała. Ćpał kiedyś, to oczywiste. I wyszedł z klubu sam – dodał Sanak. – Widziałem tam Liselle bez niego.

– Najwyraźniej uważasz, że to istotne – zauważyła Aria. Była pod wrażeniem tego, jak dużo batarianin musiał nad tym rozmyślać. – Masz jakąś teorię?

Sanak zamrugał górną parą oczu, zbierając myśli.

– Johnson nie mógł się oprzeć narkotykom. Czuł w sobie znajome pragnienie. Zadzwoił do starych kumpli ze stacji. Zaprosił ich na imprezę. Liselle go zaskoczyła. Wiedział, że został przyłapany. Ukrył przyjaciół w sypialni. Zaprosił ją do środka. Podciął jej gardło. Zabrał narkotyki i zwiął z kumplami.

Aria przeanalizowała jego argumenty, nim uznała je za nieprawdopodobne.

– To nie ma sensu. Dlaczego Liselle była naga?

– Ludzie to chore, zboczone zwierzęta. Pewnie ją zgwałcili przed zamordowaniem. Albo po.

– Mówiłeś, że sąsiedzi słyszeli strzały – rzuciła szybko, chcąc wypchnąć ze swoich myśli obrazy dręczonej córki. – Wyjaśnij to.

Batarianin zamrugał wszystkimi czterema oczami, próbując znaleźć jakąś odpowiedź. Nim mu się to udało, jeden z salarian wyszedł z prowadzącego do sypialni korytarza.

– Terminal Extranetu. Wyczyszczony – zaraportował charakterystycznym dla jego gatunku staccato.

Sanak przetrawił nowe informacje.

– Drań zacierał ślady. Musiał być w to zamieszany.

– Namierzcie go przez sieć. Chcę mieć kopie wszystkich wiadomości wychodzących z tego mieszkania przez ostatni miesiąc.

Salarianin energicznie potrząsnął głową.

– Człowiek był sprytny. Urządzenia szyfrujące. Kodowanie. Nie da się odtworzyć wiadomości.

– Nie mamy nic? – wykrzyknęła Aria, po raz pierwszy dając po sobie poznać, jak pełna była gniewu i frustracji.

– Ża-adnych wia-adoomości – wydukał technik, nagle bardzo podenerwowany. – Może

identyfikacja nadawców. Lokalizacja adresatów wiadomości. Na więcej nie ma co liczyć.

– Do roboty – warknęła Aria. – Dowiedz się, z kim rozmawiał. Zrozumiano?

Salarianin donośnie przełknął ślinę. Niezdolny wydobyć z siebie głosu, pokiwał głową.

– Posprzątajcie tu – rzuciła Aria, odchodząc. – I na litość Bogini, niech ktoś przykryje Liselle.

Sześć

Świadomość powracała do Graysona opornie i powoli. Przez długą chwilę unosił się w pół drogi między przytomnością a snem, aż doznania cielesne zaczęły przebijać się przez wywołaną narkotykiem pustkę.

Zaschło mu w ustach. Próbował przełknąć ślinę, ale spowodował tylko bolesny wybuch suchego kaszlu, gdy niemal udławił się spuchniętym językiem. Otworzył oczy i zaraz je zamknął, oślepiiony jaskrawym światłem.

Blask był tak intensywny, że kłuł oczy nawet przez zamknięte powieki. Grayson spróbował przetoczyć się na bok, by uciec przed światłem, i odkrył, że jest unieruchomiony.

Przyptyw adrenaliny zneutralizował pozostałości środka usypiającego i Grayson z całą brutalnością uświadomił sobie swoją sytuację. Był nagi i leżał na zimnej, twardej płaszczyźnie. Ramiona miał przymocowane do blatu grubymi pasami założonymi na łokcie i nadgarstki. Kolejne więzy opasywały go na wysokości ud, talii i klatki piersiowej.

Zmrużył oczy, by w miarę możliwości uniknąć oślepiającego światła. Próbował obrócić głowę, by się rozejrzeć, ale i ją unieruchomiono. Dodatkowy pas założony pod szczękę uniemożliwiał mu otworenie ust. Nie mógł nawet wzywać pomocy. Choć i tak żadnej się nie spodziewał.

Tym razem nie ma ucieczki. Cerberus robi z tobą, co zechce.

Ogarnęła go panika i zaczął szarpać się w więzach, próbując zyskać choć cal luzu.

– Zrobisz sobie tylko krzywdę – odezwał się ktoś stojący w pobliżu.

Światło straciło bolesną intensywność i gdy Grayson otworzył oczy, ujrzał pochylającego się nad nim Człowieka Iluzję. Jego ekspracodawca ubrany był w charakterystyczny dla siebie sposób: w drogą czarną marynarkę i białą modną koszulę.

– Liselle? – Grayson próbował zadać pytanie, ale z podwiązaną szczęką zdołał wydobyć z siebie tylko niewyraźne chrząknięcie.

– Niebawem otrzymasz odpowiedzi – zapewnił go Człowiek Iluzja, prostując się, choć nie było jasne, czy zrozumiał, co chciała powiedzieć jego ofiara.

Gdy Człowiek Iluzja odsunął się z pola widzenia Graysona, więzień dostrzegł nad sobą ogromną lampę, niczym na sali operacyjnej. Była teraz wyłączona, ale bez trudu odgadł w niej źródło oślepiającego blasku.

W pomieszczeniu znajdowało się więcej ludzi. Słyszał ich. Docierał też do niego cichy szum jakiejś aparatury.

Oczami zezował na boki, próbując zobaczyć najwięcej jak się da, nim znowu oślepi go światło. Dostrzegł wystarczająco dużo szczegółów, by zrozumieć, że znajduje się w jakimś szpitalu albo laboratorium. Po prawej widział monitory i mężczyznę w białym kitlu.

Człowiek Iluzja stał po lewej, zasłaniając widok. Jednak Graysonowi udało się dojrzeć ponad jego ramieniem jakieś dziwne i przerażające narzędzia. Potem znowu blask zmusił go do zamknięcia oczu.

– Dużo czasu minęło – powiedział Człowiek Iluzja.

Grayson, mając zamknięte oczy, nie miał wyjścia i musiał skupić się na głosie swojego wroga. Człowiek Iluzja mówił spokojnie, wręcz nonszalancko. Ale Grayson znał go zbyt dobrze, by dać się na to nabrać.

– Zapewne zastanawiasz się, co stało się z asari – mówił dalej Człowiek. – Nie żyje, oczywiście. Zginęła szybko i bezboleśnie, jeśli to ma jakieś znaczenie.

Nie ma, ty chory sukinsynu!

Grayson skupił się na swoim oddechu, starając się, by był spokojny i wyrównany. Cokolwiek go czekało, nie chciał dać Człowiekowi Iluzji satysfakcji, okazując strach, żal albo bezsilną wściekłość.

– Być może martwisz się o Kahlee Sanders – dodał po dłuższej przerwie Człowiek Iluzja.

Ten drań cię obserwuje. Bawi się z tobą. Leż spokojnie. Nie ruszaj się. Nie dawaj mu niczego, co mógłby wykorzystać.

Słyszał innych ludzi przebywających w pomieszczeniu – najprawdopodobniej lekarzy albo naukowców. Słyszał kroki, naciskanie przycisków i ciche pikanie konsoli. Niekiedy strzępy toczonych szeptem rozmów, ale głosy były zbyt ciche, by zdołał rozróżnić słowa.

– Nie zrobiliśmy nic Kahlee – przyznał w końcu Człowiek Iluzja, zrozumiawszy, że nie ma co liczyć na to, że dręczenie więźnia słowami dostarczy rozrywki. – I nie zrobimy. Jest nieistotna dla naszych planów, a nie zabiję człowieka bez naprawdę dobrego powodu.

Łaskawca z ciebie.

– Dlatego cię tu sprowadziliśmy. Dlatego chciałem cię żywego. Nie po to, żebyśmy cię mogli torturować. Nie po to, by zaspokoić moje pragnienie zemsty... Chociaż nie zaprzeczam, że je żywię. W końcu jestem tylko człowiekiem.

Zaśmiał się i poklepał Graysona po ramieniu jak ojciec pouczający syna.

– Ludzkość potrzebuje bohatera... który zapewne zmieni się w końcu w męczennika. A w takich przypadkach trudno o ochotników. Ale ktoś musi się podjąć tego zadania.

Światło nad głową Graysona znowu zgasło i gdy więzień otworzył oczy, zobaczył nad sobą jednego z naukowców. Kobieta, która przymocowywała mu elektrody do skroni, była całkowicie obojętna. Wykonywała swoje czynności bez odrazy czy radości.

Odeszła zaraz, a Człowiek Iluzja zajął jej miejsce. Pochylił się i jego twarz znalazła się o

kilka cali nad twarzą Graysona.

– Od tego zależy przetrwanie naszej rasy. I wybrałem ciebie, żebyś dostąpił tego... zaszczytu.

Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu, okrutnego i domyślnego. Grayson wywinął wargi i próbował przez zaciśnięte zęby splunąć w twarz swemu dręczycielowi. Ale miał za sucho w ustach i udało mu się ledwie prychnąć.

Człowiek Iluzja odsunął się i po raz kolejny pod sufitem rozbłysło światło.

Przestań grać w jego gierki. Jeśli światło znowu zgaśnie, nie otwieraj tych cholernych oczu.

Usłyszał ostry szcęk metalowej kasetki, a potem łatwy do rozpoznania syk zapalniczki.

– Wiem, że mnie nienawidzisz, Grayson – mówił Człowiek Iluzja. Był świetnym aktorem, ból w jego głosie był jak prawdziwy. – Ale ja tej nienawiści nie odwzajemniam. Dlatego wyjaśnię ci, co robimy. Będziesz mógł przynajmniej docenić swój wkład w ocalenie naszego gatunku. Słyszałeś o Żniwiarzach?

Pytanie zawisło w powietrzu. Dym papierosowy wtargnął do nozdrzy Graysona i spłynął do jego gardła, zmuszając go do odkaszlnięcia.

Światło zgasło, ale tym razem Grayson nie dał się podpuścić. Zebrał się w sobie, czekając na karę za swój opór: uderzenie w twarz, albo może żar gaszonego na ciele papierosa.

Gdy ból nie nadszedł, Grayson uświadomił sobie, że jego przeciwnik nie musi uciekać się do tak prymitywnych metod. Człowiek Iluzja miał nad nim pełną władzę i obaj o tym wiedzieli. Drobnie tortury tylko strywializowałyby tę sytuację, zmuszając przywódcę Cerberusa do porzucenia postawy wszechmocnego boga na rzecz żalosego despotyzmu.

– Nie, oczywiście, że nie – stwierdził Człowiek Iluzja. – Wiedza o Żniwiarzach została głęboko ukryta, bo mogłaby wywołać ogólnogalaktyczną panikę. Ale wedle moich informacji miałaś styczność z plotkami krążącymi o Zbieraczach i wiesz, co się o nich mówi.

Grayson nigdy nie widział Zbieraczy, ale dużo o nich słyszał. Ponoć była to rasa insektopodobnych humanoidów, pochodząca ze świata poza przekąźnikiem Omega 4 z Układów Terminusa. Mieszkańcy Omegi mówili o nich z lękiem, a nawet szacunkiem, opowiadając historie o obcych oferujących niespotykane wynagrodzenie za realizację bardzo szczegółowych i często ekstrawaganckich zamówień.

Ich żądania zawsze dotyczyły żywych istot, ale byli kimś więcej niż pospolitymi łowcami niewolników. Chcieli tylko jednostek spełniających ich konkretne wymagania: salariańskiej matki klanu o oczach dwóch różnych kolorów albo matrony asari czystej krwi, liczącej sobie nie mniej niż dwieście i nie więcej niż trzysta lat.

Mieszkańcy Omegi porównywali możliwość ubicia interesu ze Zbieraczami do wygranej na loterii: rzadkie zdarzenie skutkujące nieopisaną fortuną dla tych szczęśliwców, którym się przytrafiło.

Niewielu zastanawiało się nad dalszym losem sprzedanych istot.

Wieść niosła, że Zbieracze robią na swoich niewolnikach eksperymenty genetyczne. Ale nikt nie wiedział tego na pewno: każdy statek, który w poszukiwaniu odpowiedzi odważył się przelecieć przez przekaźnik Omega 4, zniknął na zawsze.

Krążyły plotki, że kilka lat temu Zbieracze zaczęli się bardzo interesować ludźmi. Sam Grayson niemal trafił w ich ręce, po tym jak zdradził go jego były partner, Pel. Na szczęście zdołał uciec przed przybyciem Zbieraczy, zabijając przy okazji sprzedajnego agenta.

Tym razem nie będziesz miał tyle szczęścia. Człowiek Iluzja zawarł jakąś umowę ze Zbieraczami. Dadzą mu za ciebie zaawansowaną technologię.

Z pozoru wydawało się to logiczne, ale Grayson szybko uświadomił sobie, że wcale tak nie było. Człowiek Iluzja nigdy nie zgodziłby się oddać obcym przedstawiciela swojej rasy i zaryzykować, że tamci poznają jej słabości. To stałoby w sprzeczności ze wszystkim, w co Cerberus wierzył i ku czemu dążył.

– Zbieracze są sługami Żniwiarzy – wyjaśnił Człowiek Iluzja. – Rasą niewolników całkowicie kontrolowaną przez swoich panów. Wszystko, co robili, wszystkie ich dziwne żądania służyły wypełnieniu rozkazów Żniwiarzy. To Żniwiarze są naszym prawdziwym wrogiem. Rasą syntetycznych organizmów – maszyn. Chcą zniszczyć lub ujarzmić całe życie organiczne. A teraz wzięli sobie na cel ludzi.

Zamilkł, jakby oczekiwał od Graysona jakiejś reakcji. Zdawał się nie pamiętać, że prowadzi jednostronną rozmowę ze związanym i zakneblowanym słuchaczem.

– Musimy zbadać Żniwiarzy. Dowiedzieć się więcej o ich silnych i słabych stronach, żebyśmy mogli z nimi walczyć. A ty dasz nam tę możliwość.

– Jesteśmy gotowi.

Głos dochodził gdzieś z prawej. Mając zamknięte oczy, Grayson nie mógł być tego pewien, ale założył, że należy do kobiety, którą widział wcześniej.

Rozległ się przenikliwy pisk włączanej aparatury i kilka sekund później świat Graysona eksplodował. Przez jego ciało popłynął silny prąd elektryczny. Mięśniami zaczęły targać skurcze, sprawiając, że plecy wygięły się, a kończyny szarpały więzami z taką siłą, że opaski werżnęły się w skórę i popłynęła krew.

Prąd został odcięty i Grayson opadł bezwładnie na stół operacyjny. Każdy nerw w jego ciele płonął. Czuł się, jakby skóra mu odłaziła, odsłaniając mięśnie i wnętrzności. Ale mimo koszmarnego bólu ciało pozostało nieruchome, nie mógł nawet krzyknąć – był całkowicie sparaliżowany, ale przytomny i w pełni świadomy.

– Musimy odtworzyć zabiegi Zbieraczy tak dokładnie, jak to tylko możliwe – wyjaśnił Człowiek Iluzja. – Obawiam się, że to będzie... nieprzyjemne.

Grayson poczuł, jak czyjeś palce otwierają mu powieki. Nie był w stanie kontrolować swoich mięśni, więc musiał wpatrywać się w oślepiająco jasną lampę. W pewnej chwili przesłoniła mu ją sylwetka kobiety naukowca, która pochyliła się nad nim i zdjęła pas podtrzymujący szczękę. Otworzyła mu usta i wepchnęła głęboko do gardła długą, elastyczną

tubę, potem odsunęła się, a jego znowu oślepiło światło.

– Zbieracze wszczepiali swoim ofiarom elementy cybernetycznej technologii Żniwiarzy. To pozwalało Żniwiarzom komunikować się z organicznym gospodarzem i w końcu całkiem go zdominować, nawet jeśli znajdował się na drugim końcu galaktyki.

Tuba w gardle Graysona zaczęła pulsować, gdy pompowano nią jakiś kleisty płyn do jego żołądka.

– Ich technologia jest niesamowita – mówił dalej Człowiek Iluzja. – Wiesz, czym jest stan splątany? Pewnie nie. To skomplikowana dziedzina badań. W zasadzie chodzi o to, że we wszechświecie istnieją cząsteczki mające szczególne uzupełniające się wzajemnie właściwości. Jeśli jedna jest naładowana pozytywnie, to druga negatywnie. Jeśli zmienisz ładunek jednej cząstki, druga natychmiast też się zmieni, nawet jeśli dzielą je tysiące lat świetlnych. Ludzkość badała ten fenomen w dwudziestym pierwszym wieku, ale koszt rozpoznania i stworzenia cząstek był ogromny. W końcu porzucono tę dziedzinę, uznając ją za niepraktyczną. Ale technologia Żniwiarzy, którą zdobyliśmy od Zbieraczy, jest o wiele bardziej zaawansowana. Połączyli cząstki splątane z samoreplikującą się nanotechnologią, co umożliwi im infekowanie, przekształcanie i zdominowanie organicznych nosicieli z nieskończonej odległości.

Ktoś odczepił elektrody od głowy Graysona, boleśnie naciągając przy tym skórę. Po chwili na skronie więźnia napały ostre czubki cienkich wiertel. Przebiły skórę, rozdarły ścięgna i zagłębiły się w czaszkę.

– Implantujemy ci samoreplikujące się nanidy. Ich ilość będzie rosła wykładniczo, w miarę jak będą wszczepiać się w twoje neurony i synapsy. W rezultacie rozprzestrzenia się po całym twoim ciele, zmieniając cię w narzędzie Żniwiarzy. Zostaniesz przekształcony w syntetyczno-organiczną hybrydę, niepodobną do niczego, co mogłyby stworzyć rasy Rady. Musimy zbadać tę transformację. Wyciągnąć z niej wnioski, żeby móc się obronić przed technologią obcych. Tylko tak możemy zyskać szansę na zwycięstwo.

Grayson słyszał słowa, ale nie był już w stanie ich zrozumieć. Jego umysł był rozrywany od środka. Czuł, jak nanidy przemieszczają się w jego głowie: obce wici opasywały jego myśli i tożsamość, dusząc ją i tłamsząc, aż wszystko ogarnęła ciemność.

* * *

– Jest w stanie katatonii! – warknęła doktor Nuri. – Przerwać zabieg!

Człowiek Iluzja siedział nieruchomo, a naukowcy pośpiesznie wyłączali maszyny. Czekał w milczeniu, podczas gdy doktor Nuri sprawdzała na ekranach odczyty parametrów życiowych Graysona.

– Jest dobrze – zapewniła swojego zwierzchnika po kilku pełnych napięcia minutach. – Żadnych trwałych uszkodzeń.

- Co się stało?
 - To było za dużo dla niego. Przeciążyło system, wyłączył się.
 - Poddaliście go zbyt intensywnej procedurze.
 - Wiedzieliśmy, że implantacja będzie traumatycznym doświadczeniem – przypomniała swojemu szefowi.
 - Mówiłem, żebyście byli ostrożni w swoich ocenach – odparował. – Nie możemy sobie pozwolić na błędy. Technologia Żniwiarzy jest zbyt potężna.
 - Nie mamy wytycznych – starała się usprawiedliwić. – Żadnych danych, na których możemy się opierać. To wszystko teoria. Nikt nie próbował nigdy niczego, co choćby przypominałoby ten zabieg!
 - Dlatego musimy bardzo uważać.
 - Oczywiście – powiedziała skarcona doktor Nuri. – Przepraszam. To się już nie powtórzy.
 - Zatem nie ma żadnych trwałych uszkodzeń? – Człowiek Iluzja był zadowolony, że dowiódł swojej racji.
 - Przez kilka dni powinien odpoczywać. Potem możemy kontynuować.
- Człowiek Iluzja skinął głową.
- Zamknijcie pokój, ale obserwujcie monitory. Chcę, żebyście cały czas mieli go na oku.
- Wstał.
- Osiągnęliśmy drugi etap projektu – przypomniał kobiecie. – Obiekt nie jest już człowiekiem. Jest teraz czymś obcym. Czymś niebezpiecznym. Jeśli zaobserwujecie coś niepokojącego albo podejrzanego, jeśli będziecie mieli jakiegokolwiek wątpliwości – natychmiast go wyeliminujcie. Wolę, żeby projekt okazał się porażką, niż żeby to coś, co stworzyliśmy, uciekło. Wyrażam się jasno?
- Kai Leng wyszedł z cienia, z miejsca, skąd w milczeniu obserwował cały eksperyment.
- Zrozumiałem – zapewnił Człowieka Iluzję. – Grayson nie wyjdzie z tego laboratorium żywy.

Siedem

Admirał David Anderson był przede wszystkim żołnierzem. Rozumiał prawdziwe znaczenie słów takich, jak honor, obowiązek i poświęcenie. Przez dwadzieścia pięć lat służył Przymierzu bez zbędnych pytań i rozpamiętywania, rezygnując z szansy na miłość i założenie rodziny w imię chronienia ludzkości, która walczyła o swoje miejsce na galaktycznej scenie politycznej. Brał udział w wielu misjach na wyklętych światach. Walczył w większej ilości bitew, niż był w stanie spamiętać. Bez wahania niezliczoną ilość razy narażał życie. Nieważne, jaką wykonywał misję i jakie miał zadanie, wypełniał rozkazy najlepiej jak potrafił, bez słowa skargi. Ale wizja spożycia jeszcze jednego posiłku w stołówce dyplomatów przy akompaniamencie narzekań elkorskiego ambasadora na jego volusańskiego odpowiednika doprowadzała Andersona na skraj wytrzymałości.

– Z całego mojego serca – Calyn podszedł do jego stolika i wygłosił powitanie w charakterystyczny dla swojego gatunku, patetyczny sposób – cieszę się, że pana tu widzę.

Elkorowie byli dużymi, masywnymi istotami ze świata Dekunna, który charakteryzował się wysoką siłą grawitacji. Jego mieszkańcy mierzyli niemal osiem stóp wzrostu, ich skóra była szara, a budową ciała przypominali ziemskie goryle: mieli krótkie nogi i długie ramiona, którymi podpierali się, chodząc. Wyglądali przez to, jakby poruszali się na czterech łapach. Nie mieli szyj – wielka, płaska głowa Calyna wyrastała wprost z jego barków.

Anderson, choć teoretycznie miał stopień admirała, od kilku lat nie był w czynnej służbie. Po zmianach w Radzie Cytadeli stał się jednym z kluczowych reprezentantów ludzkości – co miało być „nagrodą” za jego wieloletnią służbę.

Przez kilka ostatnich miesięcy Anderson i Calyn brali udział w negocjacjach handlowych pomiędzy Przymierzem, elkorami, volusanami i turianami. Podczas tych rozmów Anderson był ledwie figurantem – Przymierze miało wystarczająco dużo polityków, którzy mogli zająć się tak delikatnymi sprawami. Ale to nie powstrzymało Calyna od nawiązywania rozmowy z admirałem za każdym razem, gdy spotkali się poza salą konferencyjną.

Codziennie, gdy Anderson wychodził ze swojego biura w Prezydium i udawał się do kantyny na lunch, elkorski polityk pojawiał się i powolnym, lecz niezmiennym kursem zmierzał do jego stolika. A gdy tylko się tam znalazł, natychmiast zaczynał sarkać na volusańskiego ambasadora.

– Bez nadmiernej przesady – Calyn zajął miejsce naprzeciw Andersona – Din Korlak to najbardziej nieuprzejmy osobnik, z jakim miałem do czynienia.

– Wiem – wycodził przez zaciśnięte zęby Anderson, wpakowawszy sobie wcześniej do ust pełen widelec jedzenia. – Mówił mi pan o tym. Wiele razy.

Elkorowie, jako że wyewoluowali w środowisku o wysokim poziomie grawitacji, poruszali się i mówili w sposób boleśnie wręcz rozmyślny, co Andersona doprowadzało do szału. Słuchanie skarg Calyna było jak odsłuchiwanie nagrania w zwolnionym tempie.

Frustrację Andersona pogłębiał jeszcze fakt, że elkorowie nie mieli pojęcia o modulowaniu czy intonacji głosu. Komunikując się między sobą, wyrażali podteksty i niuansy za pomocą delikatnych gestów i dźwięków nieprzyswajalnych dla ludzi. Niestety, uniwersalne translatory nie były w stanie oddać tych subtelności. W rezultacie wszystko, co elkorowie mówili, brzmiało dla ich rozmówców monotonna i bez emocji.

Co gorsza, ich twarze były niemal pozbawione rysów. Małe, szeroko rozstawione oczy i poziome fałdy skóry w miejscu, gdzie powinny być usta, miały tak ograniczoną mimikę, że próba odczytania nastroju elkora z wyrazu jego twarzy była z góry skazana na niepowodzenie.

– Szczere przeprosiny – odrzekł Calyn na słowa Andersona. – Moim celem nie było zirytowanie pana.

Anderson przygryzł wargę i starannie przemyślał swoje kolejne słowa. Choć mowa ciała elkora absolutnie nic nie zdradzała, było jasne, że admirał obraził rozmówcę. I chociaż nie rozumiał złożoności negocjacji, w których brał udział, wiedział wystarczająco dużo, by zdawać sobie sprawę, że Przymierze potrzebowało elkorskiego wsparcia.

Volusan i turian łączyła długa historia współpracy. Wieki temu lud Dina Korlaka poprosił turian o militarną ochronę w zamian za nadanie im przywilejów gospodarczych. Jeśli Przymierze miało poczynić jakieś postępy w negocjacjach, potrzebowało pełnego poparcia ziomków Calyna.

– Nie chodzi o pana – skłamał Anderson. – Negocjacje mnie wykańczają.

– Zrozumiałe – odpowiedział elkor. – Nasza praca potrafi być bardzo stresująca.

To mało powiedziane, pomyślał Anderson.

Był człowiekiem czynu, nie słowa. Lubił mieć plan i wprowadzać go w życie. Ale w świecie polityki nic nie było takie proste. Pomiędzy ambasadorami i Radą czuł się jak ryba wyjęta z wody, dusząca się w natłoku biurokracji.

Calyn przyjął przeprosiny Andersona, ale nie dało się określić, czy wciąż czuje się urażony. Admirał uznał, że może załagodzić sytuację, jeśli wyrazi swoje odczucia względem volusańskiego ambasadora.

– Pewnie nie powinienem tego mówić – rzekł – ale zgadzam się z pańską opinią o Dinie Korlaku. To arogancki, zapatrzony w siebie malkontent.

– Z intencją humorystyczną – odparł elkor – proszę się cieszyć, że nie dzieli pan z nim

biura.

To było klasyczne wojskowe zagranie: wzmocnić sojusz przez skupienie się na wspólnym wrogu. Anderson z ulgą przekonał się, że jakieś umiejętności z dawnego życia może wykorzystać w swojej nowej roli.

– Gdy następnym razem ten nadęty balon wpadnie jednemu z nas w słowo – powiedział z uśmiechem – to sprzedam mu takiego kopniaka, że poturla się na korytarz.

– Oburzenie i przerażenie – elkor monotonnym głosem zadeklarował zupełnie inny stan emocjonalny, niż można by odczytać z jego mowy ciała. – Przemoc to nie jest rozwiązanie.

– Nie mówiłem poważnie – wyjaśnił pośpiesznie Anderson. – To był żart.

Udało mu się przeżyć dwadzieścia pięć lat w wojsku bez włożenia na miny, ale jako polityk nie był w stanie zjeść lunchu bez żadnej wpadki.

– Ludzie mają niepokojące poczucie humoru – odpowiedział elkor.

Do końca posiłku milczeli.

Wracając po lunchu do biura, Anderson poważnie rozważał przejście na emeryturę. Miał tylko czterdzieści dziewięć lat, dzięki postępom nauki i medycyny mogło minąć jeszcze dwadzieścia, nim wiek zacznie wpływać na wygląd i sprawność ciała. Ale umysł admirała był już wyczerpany.

Ciężko to było wyjaśnić. Jako żołnierz zawsze widział sens w tym, co robi. Jako polityk był nieustannie sfrustrowany niemożnością zrobienia czegokolwiek. Tak naprawdę czuł, że ma na cokolwiek wpływ tylko wtedy, gdy coś szło nie tak... jak rozmowa z Calynem.

– Admirale, jak udał się lunch? – zapytała Cerise, recepcjonistka w ludzkiej ambasadzie.

– Powinienem być zostać w biurze – burknął.

– Niech się pan cieszy, że nie został – zapewniła go. – Szukali tu pana Din Korlak i Orinia.

Anderson nie żałował, że rozminął się z volusańskim ambasadorem, ale nie miałby nic przeciwko rozmowie z Orinią. Turianka kiedyś była generałem. I chociaż podczas Wojny Pierwszego Kontaktów każde z nich stało po przeciwnej stronie barykady, to wyznawali podobne wojskowe wartości: dyscyplinę, honor, obowiązek, a ponadto oboje odczuwali ledwie ukrywaną odrazę do politycznego łajna, w którym co dzień przyszło im się pławić.

– Wiesz, o co im chodziło?

– Wydaje mi się, że Din chciał złożyć formalną skargę na coś, co któryś z pana współpracowników powiedział podczas ostatniej tury negocjacji.

– Ach tak?

– Gdy okazało się, że pana nie ma w biurze, Orinia zdołała mu to wyperswadować.

Anderson skinął głową, pewien, że przy następnej turze rozmów nasłucha się porządnie od Dina na ten temat.

– A propos – starał się, by jego słowa brzmiały nonszalancko. – Byłoby dobrze wystosować formalne zaproszenie do delegacji elkorów, żeby odwiedzili naszą ambasadę po

zakończeniu dzisiejszych rozmów.

– Dlaczego? – Cerise natychmiast zrobiła się podejrzliwa. – Co pan zmalował?

Sprytna jest. Nic jej nie umknie.

– Chyba obraziłem Calyna żartem.

– Nie wiedziałam, że elkorowie mają poczucie humoru.

– Bo nie mają.

– Niech się pan nie przejmuj – uspokoiła go dziewczyna. – Zajmę się tym.

Anderson, wdzięczny za to, że przejęła sprawę, pojechał windą do swojego biura. Miał trzydzieści minut do spotkania, podczas którego razem ze swoimi doradcami miał się przygotowywać do popołudniowych negocjacji. Zamierzał spędzić ten czas samotnie, rozkoszując się ciszą i spokojem, których mu ostatnio brakowało.

Gdy zobaczył, że na terminalu miga światelko sygnalizujące oczekującą wiadomość, miał ochotę podnieść komputer i wyrzucić za okno. Przez krótką chwilę rozważał zignorowanie komunikatu. W samej Cytadeli było co najmniej dziesięciu dyplomatów, którzy na pewno chcieli z nim koniecznie porozmawiać. Anderson nie miał ochoty na odsłuchiwanie przekazu od żadnego z nich. Ale jako żołnierz z krwi i kości nie mógł zignorować obowiązku. Zalogował się, pochylając z rezygnacją głowę.

– Davidzie, muszę się z tobą natychmiast zobaczyć. Zaskoczony wyprostował się gwałtownie, gdy rozpoznał głos Kahlee Sanders.

– To ważne. Pilna sprawa.

Nie rozmawiał z nią od pogrzebu Grissoma. A nawet wtedy wymienili tylko kilka uprzejmości, starannie unikając rozmów o ich wspólnej ucieczce dwadzieścia lat wcześniej.

– Jestem w Cytadeli. Nie mogę powiedzieć gdzie. Proszę... skontaktuj się ze mną, jak tylko odbierzesz wiadomość.

Jeszcze nim przekaz skończył się odtwarzać, wysłał odpowiedź. Kahlee nie była kimś, kto reagowałby tak bez powodu. Jeśli mówiła, że to pilna sprawa, musiało to być coś poważnego.

Odebrała połączenie natychmiast, na ekranie pojawiła się jej twarz.

– David? Dzięki Bogu.

Ulżyło mu, gdy zobaczył, że nie jest ranna, choć było widać, jak bardzo jest zdenerwowana.

– Właśnie wróciłem do biura – powiedział w ramach przeprosin za to, że musiała czekać.

– Czy to bezpieczna linia?

Anderson pokręcił głową.

– Raczej nie. Standardowy protokół dyplomatyczny. Łatwy do zhakowania.

– Musimy się spotkać osobiście.

Zapadła cisza i Anderson uświadomił sobie, że nie chciała otwarcie sugerować miejsca spotkania, na wypadek gdyby ktoś słuchał.

– Pamiętasz, gdzie pożegnaliśmy się, po tym jak Saren złożył raport z misji z Camali?
– Dobry pomysł. Mogę tam dotrzeć za dwadzieścia minut.
– Daj mi pół godziny – odpowiedział. – Muszę się upewnić, że nikt nie będzie za mną szedł.

Skinęła głową.

– Davidzie? Dziękuję. Nie wiedziałam, do kogo się zwrócić.
– Wszystko będzie dobrze – próbował ją uspokoić, chociaż nie miał pojęcia, jaki jest powód jej zdenerwowania.

Rozmowa została zakończona. Anderson wstał, zamknął biuro i zszedł schodami na dół.

– Cerise, muszę iść – powiedział do recepcjonistki. Przypomniawszy sobie strach widoczny na twarzy Kahlee, dodał: – Może mnie nie być przez kilka dni.

– A co z negocjacjami? – zapytała zaskoczona jego nagłym wyjazdem.

– Udina będzie musiał zająć moje miejsce.

– Nie będzie z tego zadowolony – uprzedziła go Cerise.

– On nigdy nie jest zadowolony.

* * *

Anderson jechał trzema kolejkami i dwoma taksówkami, przemieszczając się między czterema różnymi poziomami stacji kosmicznej Cytadeli, by upewnić się, że nikt go nie śledzi. Nie wiedział, czego bała się Kahlee, ale nie zamierzał ryzykować, że przez swoje zaniedbanie sprowadzi na jej ślad tego kogoś, przed kim się ukrywała.

Gdy był już pewien, że nie ma ogona, wrócił do Prezydium. W wewnętrznym kręgu Cytadeli poza ambasadami należących do Rady gatunków znajdował się niesamowity park. Trawa, drzewa, kwiaty, ptaki i owady z dziesiątek różnych światów zostały wybrane i poddane starannej obróbce genetycznej, by mogły współistnieć w zielonym rajku, do którego dyplomaci, ambasadorowie i inni urzędnicy mogli uciec przed stresami i napięciami swojej pracy.

Serce parku stanowiło lśniące jezioro. Przed dwudziestu laty Anderson spotkał się tam z Kahlee kilka minut po tym, jak dowiedział się, że jego zgłoszenie na pierwsze ludzkie Widmo zostało odrzucone z powodu raportu złożonego przez Sarena Arteriusa.

Anderson nie uważał się za mściwego człowieka, ale nie mógł nie odczuwać satysfakcji na myśl, że turianin, który storpedował jego kandydaturę, okazał się w końcu zdrajcą.

Przeszedł po trawniku nad brzeg jeziora. Nie widział Kahlee. Świadom, że kobieta zapewne obserwuje go z ukrycia, usiadł, zdjął buty i skarpetki i zwiesił nogi do jeziora. Dzięki systemowi kontroli temperatury woda była na tyle chłodna, by zanurzenie się w nią sprawiało przyjemność.

Kilka minut później Kahlee usiadła obok Andersona.

– Musiałam się upewnić, że jesteś sam – wyjaśniła.

– Kazałaś nikomu nic nie mówić.

– Wiem. Przepraszam. Popadam w paranoję.

– Jeśli ktoś naprawdę cię ściga, to nie jest paranoja.

Na żywo wyglądała na jeszcze bardziej zdenerwowaną niż wcześniej na ekranie widu. Usiadła, podciągając kolana pod brodę, spuściła głowę i co chwila rzucała nerwowe spojrzenia na boki.

– Zwrócisz na siebie uwagę – ostrzegł ją. – Rozluźnij się. Spróbuj zachowywać się zwyczajnie.

Przyznała mu rację. Usiadła bliżej, ściągnęła buty i skarpetki i zanurzyła stopy w wodzie. Anderson wiedział, że przysuwa się do niego, by mogli rozmawiać szeptem, ale i tak jej bliskość przypominała mu o uczuciach, które kiedyś do niej żywił.

Te uczucia dawno minęły. Tylko że ona właśnie wróciła.

Czekał, aż Kahlee przemówi, ale po kilku minutach ciszy uświadomił sobie, że to on będzie musiał zacząć.

– Kahlee? Powiedz mi, co cię tu sprowadza.

Słuchał uważnie, gdy opowiadała mu o Gillian, Graysonie i Cerberusie. Próbował nie okazywać, jakie wrażenie to na nim zrobiło, by nie denerwować Kahlee i nie zwracać uwagi innych gości parku. Gdy skończyła, wziął głęboki oddech i wypuścił go powoli, rozmyślając o tym, co powiedziała.

– Mówisz, że Grayson był w Cerberusie. Jesteś pewna, że nie pracuje już dla nich?

– Jestem – odpowiedziała stanowczo. – Ucieka przed nimi od dwóch lat.

– I jesteś pewna, że to oni go dopadli?

– Tak.

– I boisz się, że mogą ścigać też ciebie?

– Może. Ale nie dlatego do ciebie przyszedłem. Grayson to przyjaciel. Potrzebuje mojej pomocy.

Anderson przez chwilę milczał. Miał większe doświadczenie z Cerberusem, niż Kahlee przypuszczała. Wiedział na przykład, że ostatnio Cerberus zjednoczył siły z komandorem Shepardem, by powstrzymać Zbieraczy przed porwaniem ludzi z kolonii w Układach Terminusa. Miał świadomość, że to tymczasowy sojusz. Człowiek Iluzja wykorzystywał Sheparda tak jak wszystkich innych. A kiedy Cerberus nie miał już z kogoś pożytku, to ten ktoś często stawał się martwy.

– Zdajesz sobie sprawę, że dla niego może być już za późno – powiedział ostrożnie.

– Wiem – przyznała ledwie słyszalnym szeptem. – Ale nawet jeśli on nie żyje, to i tak chcę zniszczyć tych drani – dodała głośniejszym głosem. – Jestem mu to winna.

– Przymierze próbuje zniszczyć Cerberusa od trzydziestu lat – przypomniał jej. – Jak na razie bez większych sukcesów.

– Grayson wysłał mi plik. – Obejrzała się za siebie, jakby spodziewała się, że lada chwila Człowiek Iluzja stanie jej za plecami. – Nazwiska agentów. Tajne bazy i skrzynki kontaktowe. Konta bankowe i dane finansowe korporacji. Wszystko, czego potrzeba.

– Kahlee, chcę ci pomóc. Naprawdę. Ale to nie takie proste. Nawet jeśli te informacje są dobre, to nie jesteśmy w stanie wykorzystać ich w taki sposób, żeby nie zaalarmować Cerberusa. Mają ludzi w rządzie. W armii. Grayson mógł ci dać listę agentów, o których wiedział, ale co z tymi, których Człowiek Iluzja potajemnie trzyma w garści? Przywódca Cerberusa jest sprytny. Na pewno ma plan awaryjny na taki wypadek. Jeśli zaczniemy aresztować ludzi albo szykować się do nalotu na bazy, dowie się o tym, zanim zdołamy pomyśleć o nakazach aresztowania. Gdyby sprzyjało nam szczęście, to przy takiej operacji moglibyśmy schwytać garstkę agentów niższego szczebla. Ale nie zbliżymy się nawet do nikogo ważnego. A jeśli Grayson jeszcze żyje, to możemy ich sprowokować, żeby to zmienili.

– Mówisz mi, że NIC nie możesz zrobić? – w jej głosie po raz pierwszy słychać było złość i rozpacz.

– Jeśli zostaniesz w Cytadeli, mogę zapewnić ci bezpieczeństwo – zadeklarował. – Wybiorę czterech czy pięciu żołnierzy, którym ufam, żeby cię strzegli.

– To nie wystarczy. – Pokręciła głową w ten sam uparty sposób, jaki pamiętał sprzed dwudziestu laty. – Nie spędzę reszty życia, ukrywając się przed Cerberusem. I nie zostawię Graysona. Musi być sposób, żeby dopaść Człowieka Iluzję.

– Może jest – wykrzyknął Anderson, doznawszy nagłego olśnienia.

Idealnym rozwiązaniem byłoby wezwanie na pomoc Sheparda, ale to nie wchodziło w grę. Komandor był poza zasięgiem, robiąc Bóg wie co, Bóg wie gdzie. Ale była inna możliwość.

Anderson wstał i wyciągnął rękę, by pomóc Kahlee.

– Masz jakieś bezpieczne miejsce, gdzie możesz zostać kilka godzin?

– Mam kryjówkę w Okręgach – odpowiedziała. W jej oczach zalsniła nadzieja. – Ale po co? Jaki masz plan?

– Przymierze nie może nam pomóc. Ale znam kogoś, kto może.

* * *

– Musimy się zobaczyć z ambasadorem Orinią – powiedział Anderson recepcjoniście. – To pilne.

Rozpoznał młodego samca za biurkiem, choć nie pamiętał jego imienia. Na szczęście turianin również go rozpoznał.

– Powiem jej, że pan przyszedł, admirale – powiedział, wysyłając wiadomość z terminalu.

Było już dobrze po porze kolacji. Większość biur w ambasadzie była pusta. Ale Anderson

był pewien, że turiańska ambasador pracuje do późna.

– Wchodźcie – powiedział recepcjonista, choć na Kahlee spojrział w sposób, który zapewne wśród turian sugerował podejrzliwość.

Biuro Orinii było mniejsze niż Andersona – nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że w hierarchii Cytadeli to on zajmował wyższą pozycję – ale również urządzone po spartańsku. Biurko i trzy krzesła – jedno dla ambasador, dwa dla gości – stanowiły całe umeblowanie. Na ścianach wisiały trzy flagi. Największa nosiła emblemat Hierarchii Turian. Druga reprezentowała kolonię, w której urodziła się Orinia – jej barwy odpowiadały znakom na opancerzonej czaszce turianki. Trzecia była flagą oddziału, w którym Orinia służyła podczas swojej kariery wojskowej. Na balkonie stała samotna, straszliwie zaniedbana roślina. Gdyby Anderson miał zgadywać, obstawiałby, że ambasador dostała ją od kogoś w prezencie.

Orinia już wstała, by ich powitać. Uprowadzona przez asystenta, nie okazała zdziwienia na widok Kahlee.

– Przykro mi, że ominęły pana dzisiejsze negocjacje – powiedziała, wyciągając rękę. – Czyżby Din Korlak stał się dla pana trudny do zniesienia?

Anderson zignorował żarcik i ujął jej dłoń. Orinia chętnie przyjęła ludzki zwyczaj powitań i stosowała go w kontaktach z ludźmi, ale jeszcze nie opanowała go w pełni – uścisk jej ręki był dziwny i niezdarny.

– To jest Kahlee Sanders – przedstawił swoją towarzyszkę.

– Witam. – Ambasador nie podała Kahlee ręki.

Anderson nie wiedział, czy Orinia wyczuła jego reakcję na uścisk i postanowiła nie powtarzać gestu, czy wedle turiańskich obyczajów Kahlee była niegodna tego zaszczytu.

Wiedziałbyś to, gdybyś był dobry w tym, co teraz robisz.

– Zgaduję, że to nie jest wizyta towarzyska – ambasador od razu przeszła do sedna. – Usiądźcie i powiedzcie mi, co was tu sprowadza.

Kahlee i Anderson, tak jak uzgodnili wcześniej, nie usiedli, by podkreślić pilny charakter spotkania. Orinia, biorąc z nich przykład, też stała.

– Muszę prosić o przysługę – powiedział Anderson. – Jak żołnierz żołnierza.

– Już nie jesteśmy żołnierzami – odpowiedziała ostrożnie turianka. – Ale dyplomatami.

– Mam nadzieję, że to nieprawda. Kanałami dyplomatycznymi nie mogę tego przeprowadzić. Nikt z Przymierza nie może wiedzieć, że tu jestem.

– To niecodzienne – odrzekła.

Wyczuwał w jej głosie podejrzliwość i wahanie. Ale nie odmówił wprost ich prośbie.

– Wie pani, czym jest Cerberus?

– Proludzką organizacją terrorystyczną – odpowiedziała krótko. – Chcą nas zmieść z galaktyki, tak jak każdy inny gatunek poza własnym. Cerberus to główny powód, dla którego sprzeciwialiśmy się dołączeniu ludzkości do Rady – dodała twardo.

– Proszę nie postrzegać nas wszystkich przez pryzmat działań grupy kryminalistów –

ostrzegł ją Anderson. – Nie chciałaby pani, żeby wszyscy turianie byli uważani za odpowiedzialnych za to, co zrobił Saren.

– Po co przyszliście?

Pytanie zadała ostrym tonem. Najwidoczniej wspomnienie o Sarenie nie było najlepszym sposobem na wzbudzenie jej sympatii.

Raz w życiu próbujesz postępować dyplomatycznie i wszystko pieprzysz.

– Mamy informacje, które mogą zniszczyć Cerberusa – Kahlee wtrąciła się do ich rozmowy. – Ale potrzebujemy pani pomocy.

Ambasador przechyliła głowę na bok, spoglądając na ludzi bystrym ptasim okiem.

– Słucham...

Osiem

Z zacisza swojej prywatnej łoży Aria T'Loak otoczona wianuszkami krogańskich ochroniarzy obserwowała, jak Sanak przeciska się przez tłum gości w Pośmiertnym.

Po mistrzowsku odczytywała mowę ciała batarian, jak zresztą niemal każdego rozumnego gatunku w galaktyce. Przez wieki uczyła się dostrzegać drobne wskazówki zdradzające, kiedy ktoś kłamie, jest szczęśliwy, smutny albo – co często się przydarzało osobnikom stojącym przed Królową Piratów – przerażony. Patrząc na zbliżającego się Sanaka, już wiedziała, że nie przynosi jej dobrych wieści.

Przez ostatnie trzy dni jej ludzie badali zniknięcie Paula. Prowadzili śledztwo w sposób typowy dla Omegi, korzystając z różnych metod, od pogaduszek do brutalnych przesłuchań, ale nic nie znaleźli. Nikt nie wiedział nic o porwaniu, ani nawet o samym zaginionym. Był samotnikiem, poza pracą widywał się tylko z Liselle.

Ostatnią nadzieją Arii był terminal Extranetu. Komputer wyczyszczono, ale jej najlepsi technicy próbowali zebrać pozostałości danych z napędu optycznego. Drugi zespół przeszukiwał wiązki danych przesyłane przez boje przekaźnikowe, które łączyły Omegę z resztą galaktyki, by ustalić, z kim kontaktował się Johnson.

Śledztwo było niezwykle kosztowne, ale Aria mogła sobie pozwolić na rozrzutność. Choć robiła to przede wszystkim po to, by pomścić córkę, to rozsądek podpowiadał jej, że jeśli nie będzie żałować pieniędzy na wytropienie potencjalnego zdrajcy, jej podwładni na pewno to zauważą i wyciągną odpowiednie wnioski.

Niestety, wyglądało na to, że wszystko robiła na próżno.

– Technicy nic nie znaleźli – stwierdziła, gdy Sanak dotarł do jej łoży.

– Znaleźli masę rzeczy – odparł ponuro.

Aria zmarszczyła czoło. Odczytywanie mowy ciała miało jedną wadę – było nieprecyzyjne. Królowa Piratów wiedziała, że Sanak jest w złym humorze. Nie wiedziała dlaczego.

– Czego się dowiedzieliście?

– Naprawdę nazywa się Paul Grayson. Pracował dla Cerberusa.

– Cerberus próbuje zyskać wpływy na Omedze? – spróbowała odgadnąć.

Batarianin pokręcił głową, a Aria prychnęła z irytacją.

– Po prostu mów, co wiesz – rzuciła.

Lubiła sprawiać wrażenie, że kontroluje wszystko, co się dzieje wokół niej. Słyszała z tego, że zawsze wyprzedzała konkurencję, ponieważ wiedziała, co zamierzają, zanim to w ogóle zrobili. Nic jej nie zaskakiwało, zawsze była przygotowana. Zgadywanie i mylenie się raz za razem psuło jej wizerunek.

– Grayson kiedyś pracował dla Cerberusa. Potem ich zdradził. Miało to coś wspólnego z jego córką i kobietą o imieniu Kahlee Sanders. Nie mogliśmy zlokalizować jego córki. Zniknęła dwa lata temu. Ale znaleźliśmy Sanders. Technicy mówią, że Grayson kontaktował się z nią co kilka tygodni. I wysłał jej wiadomość tej nocy, kiedy zniknął.

– Gdzie ona jest? – Aria podejrzewała, że nie spodoba jej się odpowiedź.

– Pracowała w szkole dla ludzkich dzieci biotyków. Ale opuściła ją dzień po zniknięciu Graysona. Wytropiliśmy ją w Cytadeli. Jest pod ochroną admirała Davida Andersona.

Aria wiedziała bardzo dużo o polityce i sferach rządzących, nie tylko tych na Omedze, ale w całej galaktyce. Znała nazwisko Anderson: admirał był doradcą radnego Donnela Udiny, jednego z najwyższych rangą dyplomatów Przymierza.

Królowa Piratów żelazną ręką rządziła Omegą. Jej wpływy sięgały aż do granic Układów Terminusa. Miała nawet agentów działających w przestrzeni Rady. Ale Cytadela pozostawała poza jej zasięgiem.

Pod wieloma względami ta ogromna stacja kosmiczna w kształcie okręgu stanowiła lustrzane odbicie Omegi: była gospodarczym, kulturowym i politycznym centrum przestrzeni Rady. I jeśli rządzący tym centrum zorientują się, że Aria w jakikolwiek sposób próbowała wpłynąć na rozgrywające się tam wydarzenia, przyjdzie jej słono za to zapłacić.

Oficjalnie Omega znajdowała się poza strefą jurysdykcji Rady. Ale jeśli uznaliby, że Aria przekroczyła granicę – gdyby stwierdzili, że stanowi zagrożenie dla stabilności w przestrzeni Rady – zawsze mogli posłać na nią Widmo.

Widm nie obowiązywały prawa i traktaty intergalaktycznej polityki. Jedno z nich mogłoby przybyć na Omegę i podjąć próbę zlikwidowania Arii. Szanse powodzenia takiej misji były niewielkie, ale Aria przeżyła tysiąc lat dzięki temu, że nie ryzykowała własnego życia. Była ostrożna i cierpliwa i nawet śmierć córki tego nie zmieniła.

– Nic nie róbcie. Obserwujcie sytuację – nakazała Sanakowi. – Dajcie znać, jeśli coś się zmieni. I dalej próbujcie się dowiedzieć, gdzie się podział Grayson.

* * *

Grayson obudził się w marnie oświetlonej celi. Leżał w kącie na małej pryczy. Nie dostał koca, ale żaden nie był mu potrzebny – mimo że wciąż był nagi, nie było mu zimno. Pod jedną ścianą stała toaleta, w drugą wbudowano półkę, na której leżało dość racji wojskowych i butelek z wodą, by mógł na nich przetrwać kilka miesięcy. I tyle. Żadnej umywalki.

Żadnego prysznicza. Nawet krzesła.

Nie miał pojęcia, jak długo był nieprzytomny. Kończyny miał ociężałe, umysł zamroczony. Gdy usiadł, głowę przeszyło ostre ukłucie bólu od czubka aż po zęby. Odruchowo podniósł rękę, by potrzeć potylicę, ale opuścił ją zaskoczony, gdy dotknął nagiej skóry.

Musieli cię ogolić, gdy leżałeś przywiązany do tego stołu, odezwał się znajomy głosik w głowie. Pewnie po to, by móc wszczepić ci do mózgu technologię Żniwiarzy.

Cierpienie i straszliwe eksperymenty, jakim poddał go Cerberus, wciąż były świeżym wspomnieniem. Grayson pamiętał chwilę, gdy zdał sobie sprawę, że nie jest w swojej głowie sam, a w mózg wwierca mu się obca świadomość. Jednak w tej chwili nie wyczuwał jej obecności.

Zniknęła? Czy tylko jest uśpiona?

Powinien się bać, powinien być przerażony. Ale czuł tylko zmęczenie. Wycieńczenie. Nawet myślenie stanowiło jakiś gigantyczny wysiłek: myśli spowijała gęsta mgła, gdy próbował się skupić, czuł tylko kolejne ukłucia bólu. Jednak musiał jakoś poukładać sobie to, co się stało.

Dlaczego Cerberus umieścił go w celi? Możliwe, że eksperyment wciąż trwał. A może coś się nie udało i Cerberus porzucił wcześniejsze plany. Tak czy inaczej, Grayson wciąż był więźniem Człowieka Iluzji.

Zaburczało mu w brzuchu. Spojrzał na racje żywnościowe.

Ostrożnie. Mogą w nich być narkotyki. Albo trucizna. Albo może musisz jeść, żeby to, co ci wsadzili do mózgu, mogło rosnąć.

Ta myśl wystarczyła, by zignorował głód. Otworzył jednak butelkę i napił się. Mógł długo wytrzymać bez jedzenia, ale potrzebował wody, by przeżyć. Nie miał jeszcze zamiaru się poddawać.

Poświęcił kilka minut na staranne oględziny celi, ale nie znalazł niczego interesującego. Potem zmęczenie wzięło górę i znowu się położył. Chwilę później już spał.

* * *

Grayson nie wiedział, jak długo przebywał w maleńkiej celi. Na przemian zasypiał i budził się jeszcze pięć czy sześć razy. Siły całkiem go opuściły. Nie miał w sobie chęci działania. Ogromnym wysiłkiem było dla niego samo powstrzymywanie się przed zaśnięciem.

Nikt do niego nie przyszedł. Ale wiedział, że gdzieś tam są. Obserwują go. Badają.

Ci dranie wszczepili mu sondy, by móc śledzić to, co działo się w jego głowie. Gdy przesuwiał dłońmi po odrastających włosach, wyczuwał małe, twarde guzy pod skórą. Dwie wypukłości na czubku głowy. Dwie na czole. Po jednej za każdym uchem i pojedyncza,

większa u nasady karku.

Jakiś czas temu próbował je wyrwać, szarpiąc skórę na czole, aż lała się krew. Ale nie mógł dostać się wystarczająco głęboko.

A może po prostu nie chcesz. Oni mieszają ci w głowie, pamiętasz?

Donośne burczenie w brzuchu zagłuszyło natrętny głosik. Głód szarpał jego wnętrznościami, niczym bestia próbująca wydostać się z klatki.

Grayson zignorował wcześniejsze obawy i rozdarł jedno z opakowań z racjami. Przyssał się do tubki, łapczywie przelękając mdłą, ale odżywczą pastę. Sięgał po kolejne opakowanie, gdy żołądek zwinął mu się w supeł. Grayson ledwie zdołał powstrzymać wymioty na chwilę niezbędną, by dotrzeć do klozetu.

Spuściwszy wodę, otarł podbródek, próbując się doprowadzić do porządku bez pomocy umywalki czy lustra. Otworzył jedną z butelek z wodą i wypłukał usta.

Drugi posiłek zjadł wolniej. Tym razem żołądek już nie protestował.

* * *

Przypuszczał, że minął tydzień. Może dwa. Trzy chyba jeszcze nie. W celi nie dało się kontrolować upływu czasu. Nie miał nic do roboty poza jedzeniem i spaniem. Ale gdy spał, śnił koszmary. Nie pamiętał ich treści po przebudzeniu, ale i tak przyprawiały go o dreszcze.

Nadal nie miał kontaktu z nikim z Cerberusa. Ale z pewnością nie był już sam.

Siedzieli w jego głowie, szepcząc tak cicho, że nie mógł rozróżnić słów. To nie był ten ironiczny, natrętny głosik, który dotąd słyszał. Ten głos zniknął. Nowe uciszyły go na zawsze.

Próbował o nich nie myśleć, ale nie był w stanie zignorować nieustannego brzęczenia. Było w nich coś odrażającego i uwodzicielskiego jednocześnie. Ich obecność w jego umyśle była zarazem gwałtem i zaproszeniem: Żniwiarze wołali do niego przez nieskończoną pustkę.

Skądś wiedział, że jeśliby się na nich skupił, byłby w stanie zrozumieć, co mówią. Ale nie chciał. Bardzo się starał NIE rozumieć, bo wiedział, że gdy pojmie, co głosy do niego mówią, będzie to początek końca.

Z każdą godziną szepty stawały się coraz głośniejsze. Bardziej natarczywe. Jednak mimo że Cerberus wszczepił mu straszliwą technologię obcych, Grayson wciąż należał do siebie. Na razie był w stanie się im oprzeć. I zamierzał opierać się tak długo, jak to możliwe.

* * *

– Mówiła pani, że przemiana potrwa tylko tydzień – zarzucił Nuri Człowiek Iluzja.

Spoglądali na Graysona przez lustro fenickie w suficie jego celi. Kai Leng niemal niewidoczny czaił się w cieniu przy ścianie.

Na tyłach pomieszczenia członkowie zespołu doktor Nuri monitorowali odczyty na

ekranach holograficznych nad swoimi komputerami. Śledzili i nagrywali wszystko, co działo się w celi: oddech Graysona, tętno i aktywność mózgu, zmiany w temperaturze ciała i otoczenia, nawet odchylenia w odczytach elektryczności, grawitacji, pola magnetycznego i ciemnej energii emanujących z celi.

– Po tym jak prawie go straciliśmy przy implantacji, kazał mi pan działać ostrożnie – przypomniała mu.

– Chcę tylko mieć pewność, że wszystko idzie dobrze.

– Tylko szacowaliśmy długość procesu. Nasze badania każą przypuszczać, że indoktrynacja i przekształcenie przebiegają różnie w zależności od siły podmiotu.

– Opiera się – powiedział z uznaniem Człowiek Iluzja. – Walczy ze Żniwiarzami.

– Jestem zaskoczona, że wytrzymał tak długo – przyznała doktor Nuri. – Jego koncentracja i determinacja są większe, niż się spodziewałam. Nie doceniłam go w pierwotnych kalkulacjach.

– Ludzie zawsze go nie doceniali – odparł Człowiek Iluzja. – Dlatego był takim dobrym agentem.

– Moglibyśmy sztucznie przyspieszyć proces – zaproponowała Nuri. – Ale to zafałszowałoby wyniki. I przy okazji znowu mógłby dostać napadu.

– To zbyt ryzykowne.

– Napiaskujmy go – zaproponował Kai Leng, podchodząc bliżej. – Wciąż mamy czerwony piasek zabrany z Omegi.

– To mogłoby się udać – powiedziała po chwili zastanowienia doktor Nuri. – Nasze testy wykazują, że narkotyki nie mają wpływu na technologię Żniwiarzy. A mogłyby osłabić jego koncentrację. Sprawić, że będzie bardziej podatny na indoktrynację.

– Zróbcie to – polecił Człowiek Iluzja.

* * *

Grayson nie poruszył się, gdy drzwi celi się otworzyły. Leżał na pryczy, twarzą do ściany. Usłyszał kroki i próbował odgadnąć, ilu weszło ludzi. Wydawało mu się, że jeden, ale nawet gdyby był tam tuzin uzbrojonych strażników, to i tak nie robiłoby różnicy. Wiedział, że to zapewne jego jedyna szansa na ucieczkę.

Kroki ucichły. Grayson czuł, że ktoś stoi obok pryczy i patrzy na niego. Odczekał jeszcze pół sekundy – na tyle długo, by intruz pochylił się nad nieruchomym ciałem. Potem zaatakował.

Obracając się, kopnął obiema nogami, chcąc odepchnąć cel. Jednak jego cios chybił.

Mężczyzna stojący przy łóżku – średniego wzrostu, umięśniony, o azjatyckich rysach – przesunął się płynnym ruchem na bok i opuścił łokieć, wybijając Graysonowi rzepekę.

W normalnych okolicznościach tak bolesne obrażenie zakończyłoby walkę. Ale

Graysonem kierowała desperacja i pierwotny instynkt przetrwania. Krzycząc z bólu, zwinął kciuk, usztywnił dłoń, wyprostował palce i zadał cios w gardło przeciwnika.

Jednak jego atak znowu został z łatwością sparowany. Przeciwnik złapał go za nadgarstek i wykręcił mu rękę, podrywając Graysona z pryczy i rzucając boleśnie na podłogę. Więzień na chwilę stracił dech. Oszołomiony nie był w stanie się opierać, gdy wróg wbił mu igłę w ramię i coś wstrzyknął.

Mężczyzna puścił go, a Grayson próbował wstać. Otrzymał cios w wątrobę i ponownie upadł, zwijając się w kłębek.

Tamten zaś spokojnie odwrócił się i odszedł. Bezradny Grayson mógł tylko patrzeć, jak za mężczyzną zamykają się drzwi celi.

Kilka sekund później po ciele Graysona zaczęło rozlewać się znajome ciepło. W miarę jak spowijał go miękki koc czerwonego piasku, na twarz Graysona wpełzły rumieńce, a skóra zaczęła swędzieć.

Grayson zawsze pudrował nos piaskiem, ale niektórzy woleli iniekcje. Czerwony piasek można było rozpuścić i wstrzyknąć bezpośrednio do krwiobiegu, jeśli ktoś pragnął albo potrzebował mocniejszych doznań.

Więzień zwinął się w kłębek i zamknął oczy, rozpaczliwie próbując odciąć się od tego, co się działo. Był czysty od trzech lat. Przetrwał fizyczną torturę odstawienia i walczył z ogromną psychiczną potrzebą zażycia, wspomagając się wspomnieniem córki. Zmienił się dla Gillian. Pozostawanie czystym było symboliczne: oto stał się nowym człowiekiem.

A teraz za sprawą jednej igły wszystko, co sobie wywalczył, przepadło. Otworzył usta, by krzyczeć z powodu tego straszliwego okrucieństwa. Ale zamiast wrzeszczeć, zachichotał słabo, bo już zaczęła go ogarniać euforia.

Grayson zadrzał, gdy czerwony piasek popłynął jego żyłami. Wciągając narkotyk, nigdy nie zaznał aż takiej przyjemności. W chwilę po zażyciu pogrążył się w różowej ekstazie, ale już pragnął więcej. Każda komórka jego ciała pławała się w rozkoszy skoncentrowanego narkotyku, a on chciał jeszcze.

Z zamglonym spojrzeniem i głupkowatym uśmiechem na twarzy zdołał jakoś wstać. Przemieszczona rzepka wysyłała do mózgu sygnały bólu, ale piasek sprawiał, że Grayson się tym nie przejmował. Wciąż chichocząc, upadł na pryczę i zamknął oczy, delektując się przyjemnością.

A potem przez różową mgłę znowu usłyszał szepty. I tym razem doskonale je rozumiał.

Dziewięć

Nie po raz pierwszy Kahlee, uciekając przed Cerberusem, znalazła schronienie u obcych. Jednak tym razem nie musiała przez cały czas nosić kombinezonu, co było konieczne podczas pobytu w quariańskiej Flocie.

Na prośbę Andersona Orinia, by zapewnić Kahlee bezpieczeństwo, pozwoliła jej pozostać na terenie swojej ambasady, podczas gdy turiańscy żołnierze szykowali się do ataku na Cerberusa. Gdyby Kahlee wiedziała, iż oznacza to, że wszędzie, czy dzień czy noc, będzie za nią chodzić dwóch ochroniarzy i że nie wolno jej będzie opuścić budynku przez dwa tygodnie, może by zaprotestowała.

Na szczęście miała mnóstwo do roboty. Pliki, które wysłał jej Grayson, były szczegółowe, ale niekompletne i częściowo nieaktualne. Orinia zaś nie miała zamiaru podejmować żadnych działań, póki każda z informacji Graysona nie zostanie zweryfikowana, zaktualizowana i skonfrontowana z danymi zebranymi przez jej współpracowników.

Kahlee z początku była zaskoczona odkryciem, że turianie zbierają informacje o Cerberusie, ale jej zdziwienie trwało zaledwie chwilę. Celem Cerberusa było przecież zniszczenie, a przynajmniej zdominowanie każdego nieludzkiego gatunku w galaktyce, co czyniło z nich zagrożenie również dla Hierarchii Turian. A turianie nie lekceważyli żadnych zagrożeń. Dane o wrogu, które udało im się zebrać, robiły wrażenie. Jednak najpierw Orinię trzeba było długo przekonywać, nim pozwoliła Kahlee zajrzeć do plików objętych klauzulą tajności. Mimo że od Wojny Pierwszego Kontakt minęło trzydzieści lat, eksgenerał wciąż nie ufała ludziom. Ostatecznie turianka ustąpiła, ponieważ ilość informacji, które należało skonfrontować i zweryfikować, była naprawdę przytłaczająca. Kahlee była jednym z czołowych ekspertów w galaktyce w dziedzinie kompleksowej analizy danych. Dwadzieścia lat wcześniej używała swoich zdolności, by pomóc doktorowi Qianowi w jego kontrowersyjnych badaniach nad SI. Później w ramach Projektu Podniesienie jej umiejętności pomogły skonstruować ulepszoną wersję implantów biotycznych dla uczniów Akademii. Teraz używała swojego talentu, próbując ocalić Graysona.

W przypadku organizacji tak tajemniczej i niezbadanej jak Cerberus informacje nieustannie się zmieniały. Poszczególni agenci i komórki mieli w zasadzie pełną autonomię w realizacji swoich misji, co pozwalało im działać w szerokim spektrum możliwości. Dlatego

ich operacje były trudne do wytropienia, a margines błędu nie miały.

Przekazane przez Graysona materiały opatrzone były zastrzeżeniem, że niektóre tropy są z pewnością fałszywe. Tylko z kilkoma osobami z Przymierza współpracował osobiście i w ich przypadku mógł potwierdzić, że są agentami Człowieka Iluzji. Pozostałe dwa tuziny nazwisk na jego liście należały do podejrzanych o działanie w Cerberusie. Istniała możliwość, że część tych ludzi jest niewinnych.

Grayson podał też lokalizację kilku kluczowych laboratoriów, ale ostrzegął, że Cerberus co jakiś czas porzucał obiekty i przenosił się w inne miejsca, by mylić tropy. Firmy, które pomagały finansować działania Człowieka Iluzji, były legalnymi korporacjami zatrudniającymi tysiące pracowników, z których większość nie miała pojęcia, że ich praca służy zbieraniu funduszy na organizację terrorystyczną.

Jeśli turianie mieli zaatakować Cerberusa, potrzebowali dokładnych informacji. Nie mogli tak po prostu zatrzymywać i przesłuchiwać podejrzanych. Pomijając prawne i polityczne reperkusje takich działań, to natychmiast zaalarmowałyby one Cerberusa, a tym samym dałyby organizacji czas na ewakuację.

Nie mogli też posyłać żołnierzy do każdej podejrzanej placówki. Informacje były na tyle nierzetelne, że mogły doprowadzić do ataku na cywilną instytucję zupełnie niezwiązaną z Cerberusem, a coś takiego Przymierze mogło zinterpretować jako wypowiedzenie wojny. Poza tym Orinia miała pod swoim dowództwem ograniczoną ilość żołnierzy – musieli starannie wybrać cel. Mieli tylko jedną szansę, nie stać ich było w żadnym razie na marnowanie zasobów.

Jedyną odpowiednią strategią był błyskawiczny atak z zaskoczenia na wszystkich frontach: jednocześnie aresztować wszystkich znanych agentów Cerberusa w Cytadeli i zaatakować główne bazy. Analizując wyniki zestawienia plików Graysona z danymi turiańskiego wywiadu, Kahlee była w stanie stworzyć listę potwierdzonych kluczowych celów.

Byłoby łatwiej, gdyby mogli skorzystać z pomocy Przymierza, ale to wiązało się z ryzykiem przecieku – ktoś mógł poinformować o ich działaniach Człowieka Iluzję. Orinia zdecydowała się zachować tajemnicę – Kahlee i Anderson byli jedynymi nieturianami, którzy wiedzieli, co się dzieje.

Na szczęście mieli po swojej stronie Służbę Ochrony Cytadeli. Teoretycznie SOC była wielogatunkową siłą policyjną, ale głównodowodzący – i co najmniej połowa jego podwładnych – byli turianami. Egzekutor Pallin, dowódca SOC, służył kiedyś pod Orinią, więc z chęcią zgodził się stworzyć specjalny oddział, składający się wyłącznie z turian, mający wesprzeć działania pani ambasador.

Byłoby o wiele łatwiej, gdyby mogli po prostu aresztować Człowieka Iluzję. To on był duszą, sercem i umysłem Cerberusa: wyeliminowanie go podzieliłoby całą organizację na pograżone w chaosie, niezdolne do współpracy komórki.

Kahlee miała nadzieję, że Grayson ujawni prawdziwą tożsamość Człowieka Iluzji, ale on w swoich dokumentach wyjaśniał, że to niemożliwe. Człowiek Iluzja nie był jakimś mrocznym wcieleniem szanowanego i wpływowego obywatela. Cały swój czas poświęcał Cerberusowi. Nie miał innego życia. Gdy zachodziła potrzeba działań na płaszczyźnie bardziej oficjalnej, wzywał kogoś z proludzkiej partii politycznej Terra Firma albo korzystał z agentów zajmujących wysokie stanowiska w rządzie, by uzyskać pożądany bieg wydarzeń.

Dlatego tak istotne było stworzenie przemyślanej i dopracowanej listy celów. Jeśli nie zdołają pojmać Człowieka Iluzji, Cerberus się odrodzi. Musieli go ująć, zabić albo zadać Cerberusowi tak mocny cios, żeby odbudowanie organizacji zajęło dziesiątki lat.

Kahlee rozumiała to wszystko: dlatego akceptowała ostrożne i staranne podejście Orinii. Ale wiedziała też, że z każdym mijającym dniem malały szanse na to, że Grayson wciąż pozostaje wśród żywych.

Istniała możliwość, że Grayson już dawno nie żyje, ale Kahlee nie przyjmowała jej do wiadomości. Człowiek Iluzja był sprytny i okrutny, mało prawdopodobne, żeby po prostu zabił zdrajcę. Wymyśliłby jakiś skomplikowany plan zemsty.

Mimo że ta perspektywa była raczej ponura, to dawała Kahlee nadzieję, która ją podtrzymywała, gdy analizując dane, ściagała się z czasem.

* * *

Gdy Grayson się obudził, z przerażeniem odkrył, że jest więźniem we własnym ciele. Widział i słyszał wszystko, co się wokół działo, ale doznanie było surrealistyczne, jakby oglądał obraz odtwarzany na widzie ze zbyt mocno podkreślonym dźwiękiem i jasnością obrazu.

Przekręcił się na prycy, postawił nogi na podłodze, wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem po celi – ale żadnej z tych rzeczy nie zrobił z własnej woli. Jego ciało nie chciało słuchać poleceń, nie miał wpływu na swoje własne działania. Stał się marionetką, narzędziem podporządkowanym Żniwiarzom.

Zauważył, że uszkodzone kolano zagoiło się przez noc. Potem jego oczy spojrzwały w dół, na ciało, a umysł wzdrygnął się z odrazą.

Został odmieniony. Przekształcony. Implanty z jego mózgu rozeszły się po ciele. Samoreplikująca się nanotechnologia Żniwiarzy wżarła się w jego mięśnie, ścięgna i nerwy, zmieniając go w potworną organiczno-syntetyczną hybrydę. Jego ciało stało się rozciągnięte i na wpół przezroczyste. Pod skórą widział cienkie elastyczne rurki biegnące wzdłuż kończyn. Pulsowały w nich czerwone i błękitne iskry, na tyle intensywne, by było je widać przez nie całkiem matową skórę.

Chociaż nie kontrolował już swojego ciała, czuł że cybernetyka dodała mu siły i szybkości. Był też bardziej świadom otoczenia: jego zmysły zostały wyostrzone do

nadnaturalnego poziomu. Połączenie człowieka i maszyny stworzyło istotę fizycznie górującą nad wszystkim, co poczęło się w toku ewolucji.

Ale to nie była jedyna zmiana. Wykształcały się też u niego zdolności biotyczne, inne niż te, które zyskiwał na chwilę pod wpływem czerwonego piasku. Czuł, jak jego panowie, Żniwiarze, sprawdzają go i testują, chcąc wypróbować ograniczenia jego jeszcze słabej, ale wciąż rosnącej mocy.

Żniwiarze obrócili ciało Graysona w stronę półki z zapasami. Poczul, jak rośnie w nim energia, niczym zwiększone tysiąckrotnie wyładowanie statyczne. Jego ręka uniosła się, dłoń skierowała się w stronę racji pożywienia. Ramię drgnęło gwałtownie, na tyle mocno, by do bezradnej świadomości Graysona dotarł przebłysk bólu.

Starannie ułożony stos paczek został rozbity biotycznym ciosem. Pudełka wyleciały w powietrze, odbijając się od sufitu i ścian, nim upadły na podłogę.

Nie był to zbyt imponujący pokaz. Grayson widział, jak jego córka podnosi maszynę ważącą tonę i miażdży nią dwóch agentów Cerberusa. Paczki z racjami ważyły mniej niż kilogram każda, a cios nie był nawet na tyle mocny, by rozerwać opakowania. Ale Grayson wiedział, że jego moc będzie rosła, i czuł, że Żniwiarze są zadowoleni.

Opuścił rękę. Zajęło mu chwilę, nim zrozumiał, co się właśnie stało. OPUŚCIŁ rękę. On, nie Żniwiarze!

Użycie biotyki musiało ich na chwilę osłabić. Zrozumiawszy, że ich kontrola nad nim nie była jeszcze całkowita, odzyskał wolę walki.

Szepty w jego głowie zmieniły się we wściekły ryk. Odciał się od nich i skupił całą swoją energię na czymś tak prostym jak zrobienie kroku.

Jego lewa stopa uniosła się w górę, przesunęła kilkanaście centymetrów i opadła na podłogę. Potem to samo zrobiła prawa, rozpoczynając reakcję łańcuchową w ciele Graysona. Czuł, jak każdy mięsień kurczy się, a potem rozluźnia, w miarę jak jego umysł odzyskiwał władzę nad tym, co należało do niego.

Gdy już był cały swój, jego ciało zaczęło drżeć. W ustach czuł suchość, skóra go swędziała. Rozpoznał klasyczne symptomy odstawienia. Czerwony piasek wietrzał, pozwalając Graysonowi na odzyskanie skupienia i koncentracji, jego najcenniejszej broni w walce z obcymi w jego głowie.

Żniwiarze przypuścili kontratak: napierali na jego myśli, próbując je nagiąć do swojej woli. Ale Grayson nie zamierzał rezygnować z tego, co z takim trudem odzyskał. To była walka o jego jestestwo i wygrywał ją!

Poczul przyływ euforii i adrenaliny... i czegoś jeszcze. Ledwie zdążył się zorientować, co się dzieje, gdy rozlało się po nim ciepło kolejnej dawki czerwonego piasku.

Jego głowa zaczęła dryfować w oceanie narkotycznej rozkoszy, a Żniwiarze wykorzystali okazję, by odebrać mu ciało.

Mógł tylko z głębin swojego umysłu obserwować bezradnie, jak podchodzi do pryczy i

kładzie się. Leżąc otoczony czerwoną mgłą, z trudem pojmował, co się właśnie stało. Było tylko jedno sensowne wyjaśnienie.

Cerberus wciąż go obserwował. Badał. Wiedzieli, że opiera się Żniwiarzom. Podali mu skoncentrowany czerwony piasek, by osłabić jego opór. A podczas poprzedniego odlotu musieli mu wszczepić urządzenie do dawkowania, by nieprzerwanie utrzymywać go w stanie odurzenia.

To nie byłoby trudne: wystarczył mały, zdalnie sterowany dozownik pod skórą, podający kolejne dawki wprost do krwiobiegu. A w przypadku stuprocentowego koncentratu wystarczyłoby tylko kilka kropli, by go odurzyć. W końcu zawartość dozownika się wyczerpie. Niestety, Grayson nie miał wątpliwości, że Cerberus natychmiast uzupełni zapasy narkotyku.

Jego oczy się zamknęły, Żniwiarze chcieli, żeby odpoczął, przemiana wciąż trwała. Chcieli, by spał, więc zasnął.

* * *

Człowiek Iluzja i doktor Nuri obserwowali to wszystko przez fenickie lustro. Fizyczne zmiany w ciele Graysona były straszliwe. Ale Człowiek Iluzja nie pozwalał sobie na wyrzuty sumienia, był przekonany, że dane, które udało im się uzyskać, mogą mieć kluczowe znaczenie dla ocalenia przyszłych ofiar Żniwiarzy. Co ważniejsze, uczyli się, jakim ograniczeniom podlega technologia obcych.

Z początku wydawało się, że informacje, jakie uzyskają, będą zbliżone do tych pozyskanych z eksperymentów z tak zwanymi zombie. Byli to ludzie, których gethowie zamienili w bezmyślne automaty, kiedy to Saren próbował zdobyć Cytadelę. Ale Człowiek Iluzja znał prawdę o tej bitwie: Saren i jego gethowie byli sługami Żniwiarza zwanego „Suwerenem”. A technologia pozwalająca zmieniać ludzi w zombie nie pochodziła od gethów.

Jednak metamorfoza Graysona była czymś bardziej subtelnym i złożonym. Nie zmieniał się w bezmyślnego niewolnika. Stawał się naczyniem, awatarem Żniwiarzy – jak Saren. A Saren, nim zginął z rąk komandora Sheparda, był bardzo, bardzo potężny.

– Jego siła rośnie bardzo szybko – stwierdził Człowiek Iluzja. – Nie będziemy w stanie długo go utrzymać w celi.

– Starannie badamy jego przemianę – zapewniła go doktor Nuri. – Minie jeszcze co najmniej tydzień, nim wystąpi realna groźba ucieczki.

– Jest pani pewna tych szacunków?

– Mogę ręczyć za nie życiem.

– Już pani poręczyła – przypomniał jej Człowiek Iluzja. – Swoim i moim. – Przez chwilę panowała niezręczna cisza, nim dodał: – Dam wam jeszcze trzy dni na badanie go. Tyle

jestem skłonny zaryzykować. Czy to jasne?

– Trzy dni – obiecała doktor Nuri. – Potem usuniemy obiekt.

– Zostawcie to Kai Lengowi – rzekł Człowiek Iluzja. – Po to tu jest.

Dziesięć

– Moja analiza wskazuje, że musimy zaatakować sześć obiektów wymienionych na pierwszej stronie raportu.

Przez lata Kahlee wygłosiła niezliczoną ilość prezentacji, często przed ważnymi i wpływowymi osobami. Ale tak naprawdę była naukowcem, nie mówcą, i w takich sytuacjach nie mogła pozbyć się nieprzyjemnego uścisku w żołądku.

– Nazwiska wymienione pod lokalizacjami to potwierdzeni agenci Cerberusa, sądzimy, że posiadają szczegółową wiedzę na temat rozkładu i systemów obronnych danego obiektu.

Tego wystąpienia nie ułatwiał fakt, że publika, nie licząc Andersona, składała się z samych turiańskich oficerów. Patrzyli na nią niczym jastrzębie wypatrujące myszy – osiem par zimnych, nieruchomych oczu.

– Zespoły uderzeniowe będą musiały wyruszyć, zanim SOC aresztuje agentów, w ten sposób zminimalizujemy ryzyko, że ktoś ostrzeże Cerberusa. Nawet jeśli, to wyznaczone obiekty znajdują się w odizolowanych lokacjach, które nie zostały jeszcze bezpośrednio podłączone do galaktycznej sieci komunikacyjnej. Potrwa, nim wiadomość do nich dotrze.

– Ile będziemy mieli czasu między aresztowaniami a bezpośrednim uderzeniem? – zapytał jeden z turian. Ciężar medali przypiętych na jego piersi aż defasonował mundur.

Po wejściu do sali konferencyjnej Kahlee została przedstawiona wszystkim zebrany, a ich imiona i rangi zostały zaserwowane w takim tempie, że nawet nie starała się ich spamiętać.

– Cztery godziny – wtrącił się Anderson. – Mnóstwo czasu dla SOC, żeby przesłuchać więźniów i przesłać wam informacje.

– Każdy dowódca zespołu będzie upoważniony do zmiany planu ataku na cel w oparciu o uzyskane informacje – dodała Orinia.

– Czy te informacje są pewne? – zapytała inna turianka. Kahlee zdołała zapamiętać jej imię: Dinara. Być może dlatego, że poza Orinią była to jedyna osoba płci żeńskiej wśród publiki. A być może z uwagi na charakterystyczną białą bliznę na linii szczęki, kontrastującą z czerwonymi tatuażami – oznaczeniami kolonii, z której pochodziła turianka.

Kahlee mogła wygłosić długi wywód na temat analizy statystycznej, marginesów błędów i macierzy prawdopodobieństwa ekstrapolowanej z niekompletnych, szacunkowych i

przypuszczalnych danych. Jednak to tylko zwiększyłyby wątpliwości jej słuchaczy.

– Są pewne – potwierdziła.

– Większość celów znajduje się w granicach terytorium Przymierza – zaprotestował ten z medalami.

– Na chwilę, zanim Orinia da zielone światło zespołom uderzeniowym, autoryzuję międzygatunkową operację wojskową w przestrzeni Przymierza – wyjaśnił Anderson. – Wszystko, co zrobicie, pozostanie w zgodzie z obowiązującymi prawami Rady i traktatami.

– Takie działanie może pana kosztować stanowisko – zauważył trzeci turianin.

– I zapewne tak się stanie – zgodził się Anderson.

– Dwa cele znajdują się w Układach Terminusa – zauważyła Dinara. – Na atak tam nie możemy dostać pozwolenia.

– To są najważniejsze obiekty – upierała się Kahlee. – Cerberus lokuje bazy poza obszarem jurysdykcji Rady, żeby móc przeprowadzać nielegalne i nieetyczne badania bez obaw o konsekwencje.

– Atakowanie obiektu w Układach Terminusa oznacza śledztwo Rady – odparował turianin z medalami. – Które może doprowadzić do dymisji odpowiedzialnych dowódców.

Rozległo się kilka głosów poparcia i Kahlee już widziała początek końca swoich planów.

– Może do tego dojść – powiedział Anderson, na tyle głośno, by słyhać go było ponad szeptami i szmerami. – Ale Cerberus nie gra zgodnie z zasadami. My też musimy, jeśli chcemy ich zniszczyć. Jeśli to dla was problem – dodał – możecie wyjść.

Przez długą chwilę panowała cisza, ale nikt nie wstał od stołu.

– Obiekty w Układach Terminusa to orbitalne stacje kosmiczne w niezamieszkałych systemach – podjęła Orinia. – Jeśli zespoły uderzeniowe wykonają misję, nie będzie żadnych świadków mogących złożyć na was skargę.

– Zrozumiano. – Turianin z medalami skinął głową. – Nie brać jeńców.

– To nie dotyczy więźniów, których możecie znaleźć – dodała pośpiesznie Kahlee. – Jeśli Cerberus przetrzymuje kogoś wbrew jego woli, trzeba tę osobę uratować.

– To jest misja ratunkowa? – spróbowała doprecyzować Dinara.

Anderson i Orinia wymienili spojrzenia, nim turiańska ambasadorka odpowiedziała na pytanie.

– Nie możemy potwierdzić obecności więźniów w żadnym z obiektów. Jeśli jakichś znajdziecie, pomóżcie im, jeśli zdołacie. Ale nie ryzykujcie niepotrzebnie powodzenia misji ani życia.

Kahlee przygryzła wargę, by powstrzymać słowa protestu. Anderson ostrzegł ją, że pozyskanie turian do pomocy nie będzie łatwe. Musieli im zaproponować coś, czego turianie chcieli: zniszczenie Cerberusa. Gdyby Kahlee naciskała w kwestii więźniów, Orinia mogłaby zrezygnować z misji.

– A co z Człowiekiem Iluzją? – dopytywał turianin z medalami.

– Pochwycenie go byłoby idealnym ukoronowaniem misji – przyznała Orinia. – Ale nie wiemy, jak on wygląda. Mamy tylko podstawowy opis. Jeśli zobaczycie kogoś, kto mu odpowiada, spróbujcie sprowadzić go tu żywego.

Kahlee nie była pewna, co stanie się teraz. Oczekiwała głosowania albo pełnej emocji dyskusji. Spodziewała się, że pozostali chociaż zaznaczą swoje obiekcje albo zgłoszą wątpliwości. Co prawda turianie byli kulturą militarną i przywykli do przyjmowania i wypełniania rozkazów swoich przełożonych, ale to była niecodzienna sytuacja, a Orinia w zasadzie nie była już częścią łańcucha dowodzenia.

Jednak jeśli nawet istniały wątpliwości, to zostały przemilczane.

– Zespoły uderzeniowe wyruszają za cztery godziny – oznajmiła ambasador, wstając.

Za jej przykładem pozostali turianie też wstali i wyszli, zostawiając ją samą z dwojgiem ludzi.

– Żałuję, że nie możemy lecieć z nimi – mruknęła Kahlee.

– Każdy dowódca przez tysiące godzin treningów kształtował swój zespół, aż stworzył idealnie dostrojone narzędzie – przypomniała jej Orinia. – Przeszkadzałyby pani tylko.

– Zrobią, co w ich mocy, żeby pomóc Graysonowi, jeśli go znajdą – powiedział Anderson, trafnie odczytując myśli Kahlee.

– Wiem – rzekła, choć w głębi duszy miała wątpliwości.

* * *

Mięśnie Kai Lenga napięły się, gdy po raz ostatni podnosił brodę ponad drążek. Potem zeskoczył na podłogę i zakończył trening serią pięćdziesięciu pompek.

Skończywszy, podszedł do kontrolki grawitacji w siłowni i przestawił ją z dwustu procent na standardowe G.

Wytarł pot z nagiego torsu i zarzucił ręcznik na ramię. Szedł do szatni, ale gwałtownie zmienił kierunek, gdy zawyły syreny alarmowe.

Podbiegł do konsoli wbudowanej w ścianę i wpisał swój kod dostępu, by uzyskać aktualne informacje. Komunikat równie dobrze mógłby brzmieć: ROZPĘTAŁO SIĘ PIEKŁO.

Trzy niezidentyfikowane statki zbliżyły się do stacji. Były niewielkie, więc zdołały się prześlizgnąć pomiędzy czujnikami dalekiego zasięgu. To oznaczało, że nie miały na tyle mocnych dział, żeby zniszczyć tarcze kinetyczne stacji czy jej wzmocniony kadłub. Wszystko wskazywało na to, że będą stawiać na szybkość, by rozpocząć dokowanie, nim systemy obronne GARDIAN-a zdołają odpalić swoje działa ablacyjne.

Baza danych dopasowała ich sygnaturę energetyczną do lekkich fregat turiańskich, które mieściły po dwanaście osób załogi. Na stacji było około czterdziestu ludzi, ale w większości naukowcy i personel pomocniczy – tylko garstka miała doświadczenie wojskowe. Kalkulacja była prosta: turianie wygrają bitwę.

Kai Leng pognał do swojej szafki, ale nie po ubranie. Zabrał nóż i pistolet – modyfikowanego Razera z Kassa Fabrications. Uzbrojony wybiegł z siłowni.

Stacja zatrzęsa się, gdy rampa dokująca pierwszego ze statków przebiła się do jej wnętrza. Wstrząs niemal zwałił Kai Lenga z nóg. Pozostałe fregaty dokowały kilka sekund później.

Atakujący użyli laserów o wysokiej mocy, by wyciąć szczelinę w panczeru stacji, a potem skoncentrowanych ładunków wybuchowych, by wybić dziurę, przez którą mogli wejść do wnętrza. Biorąc pod uwagę reputację wytrawnych żołnierzy, jaką cieszyli się turianie, Kai Leng uznał, że ma mniej niż minutę, zanim korytarze zaanektuje wróg.

W głównym hangarze znajdowało się kilka promów, ale musiałby przejść całą stację, żeby tam dotrzeć. Zresztą ucieczka w tamtą stronę byłaby głupim błędem: turianie w pierwszej kolejności odetną drogi ewakuacji. Na szczęście było kilka małych kapsuł ewakuacyjnych umieszczonych w różnych miejscach stacji... chociaż nie dość, by ocalić cały personel.

Kai Leng wcześniej poświęcił trochę czasu na zapamiętanie lokalizacji każdej z nich. Wiedział, że najbliższa jest niedaleko. Ale nie mógł jeszcze uciec – miał coś ważnego do zrobienia.

* * *

Człowiek Iluzja spał, gdy rozdzwoniły się alarmy. Obudzony gwałtownie, potrzebował chwili, by zorientować się, co się dzieje. Gdy tylko oprzytomniał, włączył terminal stojący na biurku w jego prywatnej kwaterze.

Przeczytał informacje wyświetlające się na ekranie, oceniając szanse na zwycięstwo. Od razu uznał, że nie ma żadnych szans. Ale jeśli miałby szczęście – i działał szybko – to może zdążyłby wyeliminować Graysona i dotrzeć do jednej z kapsuł ratunkowych.

Minęło ponad trzydzieści lat, odkąd brał udział w akcjach wojskowych. Nie było wątpliwości, że zardzewiał. Najlepiej dla niego byłoby unikać kontaktu z wrogiem, ale nie zamierzał wychodzić z kwatery nieprzygotowany. Założył kombinezon bojowy Liberator, z szuflady w szafce nocnej wyciągnął pistolet typu Harpia, a potem wyszedł na korytarz.

Natychmiast ze wszystkich stron napłynęły dźwięki: wycie alarmów, krzyki przerażenia i paniki, tupot obutych stóp. Korytarzem biegł naukowiec ściskający jedną z Gorgon, najcięższego karabinu na wyposażeniu stacji. Dobrze, że ktoś otworzył zbrojownię. Źle, że niewyszkolony cywil dostał najlepsze wyposażenie.

Stacja była przede wszystkim placówką badawczą, brakowało jej wyposażenia i stosownego personelu, by bronić się przed bezpośrednim atakiem. Jako że orbitowała wokół nieważnej planetki okrążającej nieistotnego pomarańczowego karła w Układach Terminusa, Cerberus uznał, że utrzymanie lokalizacji w tajemnicy to dość, by ją ochronić.

Pokład zadrżał pod stopami Człowieka Iluzji, a do jego uszu dobiegło echo odległej eksplozji. Turianie przebili się przez kadłub. Kilka sekund później dotarł do skrzyżowania. Z korytarza po lewej usłyszał krzyki i echa wystrzałów. Natychmiast się zorientował, że będzie musiał wybrać dłuższą drogę, jeśli chce dotrzeć do celi Graysona i uniknąć przy tym konfrontacji z wrogiem.

Biegając, próbował w myślach ustalić, co mogło pójść nie tak. Lubił stwarzać wrażenie, że Cerberus wszystko wiedział i wszystko mógł, ale prawda była inna. Biorąc pod uwagę standardy galaktyczne, byli małą organizacją z ograniczonymi zasobami ludzkimi i finansowymi.

Choć Człowiek Iluzja był mistrzem w wykorzystywaniu tych zasobów tak, by osiągnąć jak najlepsze rezultaty, i miał talent do przewidywania działań swoich przyjaciół i sprzymierzeńców, w jego organizacji były wrażliwe punkty. Turianie w jakiś sposób znaleźli jeden z nich. Żaden z jego agentów w Cytadeli nie ostrzegł go o możliwym ataku, co oznaczało, że turianie działali na własną rękę. Ale jak odkryli lokalizację bazy?

Zobaczył nadbiegającą doktor Nuri, towarzyszyło jej dwóch ochroniarzy w ciężkich kombinezonach wojskowych i z Gorgonami w dłoniach.

– Za mną – rozkazał. – Do laboratorium.

Nuri pokręciła głową.

– Nie damy rady. Turianie przejęli całe skrzydło. Musimy się dostać do kapsuł.

Nuri była cennym pracownikiem Cerberusa, ale przeszła tylko najbardziej podstawowe szkolenie wojskowe. Zważywszy, że nie miała nawet pancerza, Człowiek Iluzja nie widział sensu, by ją ciągnąć ze sobą na siłę.

– Proszę iść do kapsuły – powiedział jej. – Przytrzymać ją, póki nie dołączymy. Wy dwaj idziecie ze mną – dodał pod adresem strażników.

Żaden z nich nie zaprotestował. Byli żołnierzami i w głowie by im nie powstało sprzeciwiać się bezpośredniemu rozkazowi. Nuri skinęła głową, a potem odbiegła w przeciwnym kierunku.

Prowadząc swój mały oddział, Człowiek Iluzja wciąż zastanawiał się nad tym, jak turianie ich znaleźli. Wiedział, że Grayson posiadał sporo informacji na temat Cerberusa. Założył, że zdrajca nie wiedział o tym obiekcie, ale przecież mógł jakoś zdobyć te dane. Jednak nawet jeśli Grayson był źródłem wiedzy, to jak trafiła ona w ręce turian?

Jego rozważania zostały gwałtownie przerwane, gdy za zakrętem natknęli się na sześciuosobowy turiański patrol. Obie strony natychmiast otworzyły ogień, turianie przykucnęły, a Człowiek Iluzja i jego ludzie wycofali się za róg, szukając tam schronienia.

Krótką wymianę ognia nie wystarczała, by uszkodzić bariery kinetyczne po którejś ze stron. Ale turianie mieli lepszy sprzęt i wyszkolenie, a także przewagę liczebną dwa do jednego. Walka z nimi to było samobójstwo.

– Wycofujemy się – krzyknął Człowiek Iluzja.

Strażnicy wycofali się na kłęczkach.

Przeszli niecałe dziesięć metrów, gdy dwóch turian zdecydowało się opuścić bezpieczną kryjówkę wychyliło się zza rogu, strzelając. Człowiek Iluzja przycisnął się plecami do ściany, kryjąc się za jednym z wystających stalowych żeber, które stanowiły dodatkowe wzmocnienie kadłuba. Po drugiej stronie korytarza strażnicy zrobili to samo.

Pierwsi dwaj turianie strzelali nieustannie, by utrzymać swoich przeciwników w miejscu i uniemożliwić im odpowiedzenie ogniem. W tym czasie pozostali czterej wyszli zza rogu i też ukryli się za stalowymi żebrami.

Człowiek Iluzja wyrżał i oddał kilka przypadkowych strzałów, ale ogień przeciwnika zmusił go do powrotu do kryjówki. Strażnicy skuleni po drugiej stronie korytarza też wpadli na taki pomysł, ale byli lepiej uzbrojeni. Działając razem, wyrzeli zza belki – jeden u góry, drugi nad podłogą – i zasypali turian gradem kul.

Jeden z obcych stanął tak, że metalowy wręg nie zasłaniał jego ramienia. Obaj strażnicy wzięli go na cel, a ich strzały przebiły się przez barierę kinetyczną i kombinezon w niecałą sekundę.

Turianin zaczął krzyczeć, gdy pociski rozerwały mu ramię na strzępy, niemal je amputując. Jego kompani odpowiedzieli ogniem, a ranny padł na ziemię, brocząc krwią. Strażnicy Cerberusa przycisnęli się do ściany, chroniąc się przed gradem kul, nadziei, że belka osłoni ich przed atakiem.

Gdy cały turiański ogień skupił się na nich, Człowiek Iluzja skorzystał z okazji, by się wychylić, i strzelił do rannego turianina, nim bariery kinetyczne tamtego zdołały się naładować. Ciało obcego podskakiwało, gdy zagłębiało się w nim sześć pocisków z Harpii, i znieruchomiało, a Człowiek Iluzja ukrył się za filarem.

Kątem oka zauważył coś w powietrzu. Podążył za tym wzrokiem i gdy odwrócił głowę, zobaczył mały czarny dysk wielkości pięści, przyczepiony do ściany obok strażników.

Człowiek Iluzja padł na podłogę i zwinął się w kłębek, zakrywając rękami głowę, w chwili gdy granat eksplodował. Siła wybuchu poderwała strażników jak szmaciane lalki, rzucając ich na ścianę, a potem na środek korytarza. Jeśli nawet przeżyli upadek, to i tak natychmiast zginęli od turiańskich kul.

Człowiek Iluzja wiedział, że jego pistolet nie ma wystarczającej siły ognia, by powstrzymać turian. Ale nie miał zamiaru się poddać.

Wytoczył się zza filaru i chwycił upuszczoną przez jednego ze strażników Gorgonę.

Zacisnął palce na karabinie, już niemal czuł, jak kule wroga przebijają jego bariery kinetyczne. Uklęknął i przymierzył się do strzału, ale go nie oddał.

Przed sobą miał pokaz mistrzowskiego i zabójczo skutecznego chaosu.

Poza turianinem postrzelonym przez strażników na podłodze leżało dwóch następnych. Jednemu podcięto gardło tak głęboko, że niemal stracił głowę. Tył czaszki drugiego został odstrzelony. Najwyraźniej ktoś przyłożył turianinowi pistolet do głowy.

Pozostałych trzech obcych zajętych było walką z Kai Lengiem. Mimo że człowiek nie miał pancerza – nawet koszulki – najlepszy specjalista Cerberusa od brudnej roboty dawał nieźle popalić przeciwnikom.

Ciężkie turiańskie karabiny nie zdawały egzaminu w walce na krótki dystans – były zbyt powolne i nieporęczne, by wymierzyć nimi w cel tak szybki i zręczny jak rzeźnik, który ich atakował. Kai Leng nie miał takich kłopotów ze swoją bronią.

Najbliższemu przeciwnikowi zadał od dołu cios nożem. Ostrze wbiło się tuż pod ochronny wizor turianina, przebijając podbródek i przedzierając się przez tkanki i kości do mózgu, zabijając wroga na miejscu.

Broń utkwiła w ciele ofiary, ale Kai Leng już wypuścił z dłoni rękojeść. Któryś z turian odrzucił swoją bezużyteczną broń i obiema rękami złapał Kai Lengą za nadgarstek, próbując złamać mu rękę albo przynajmniej zmusić go do wypuszczenia pistoletu. Ale przez kombinezon jego ruchy były niezdarne i niezgrabne, a grube rękawice utrudniały mocny chwyt.

Kai Leng wyslizgnął mu się z rąk i opadł na ziemię, kopniakiem podcinając jednemu z przeciwników nogi, podczas gdy drugi właśnie oddał strzał w miejsce, gdzie Lengą już nie było.

Przykucnięty Kai Leng przytknął lufę pistoletu do kolana ostatniego stojącego turianina. Łączniki kombinezonów były słabiej opancerzone, by umożliwić większą swobodę ruchów. Cienka warstwa materiału nie była w stanie powstrzymać wystrzelonego pocisku. Krzyżąc, turianin upadł na podłogę, wypuszczając z rąk karabin.

Wszystko trwało krócej niż sekundę. Gdy Człowiek Iluzja zorientował się, co się dzieje, i odrzucił Gorgonę, by podnieść swój pistolet, Kai Leng chwycił hełm rannego turianina. Jedną rękę wsunął pod brodę, drugą oparł mu na czubku głowy. Mięśnie pod wytatuowaną skórą klatki piersiowej napięły się, gdy zabójca wykręcił głowę turianina pod nienaturalnym kątem, łamiąc mu kręgosłup i przerywając rdzeń kręgowy.

Ostatni żywy turianin próbował wstać, ale Człowiek Iluzja zaczął strzelać mu w plecy. Pierwsze pięć pocisków z Harpii odbiło się od bariery kinetycznej, następne pięć zostało zatrzymanych przez pancerz kombinezonu. Ostatnie pięć dotarło do ciała, uszkadzając kilka kluczowych organów.

Turianin upadł na kolana, potem na twarz. Kai Leng wystrzelił jeszcze jeden pocisk z bliska w tył jego głowy, potem wstał.

– Droga, którą przyszedłeś, jest czysta? – zapytał Człowiek Iluzja, też wstając.

Kai Leng pokręcił głową.

– Nasza jedyna szansa to dotrzeć do kapsuły w sektorze trzecim.

Człowiek Iluzja skinął głową.

– Doktor Nuri już tam jest.

Razem pobiegli korytarzem skazanej na zagładę stacji, świadomi, że w każdej chwili

mogą się natknąć na kolejny turiański patrol. Poprzednie starcie przeżyli tylko dlatego, że Kai Leng zdołał zająć wrogów od tyłu. Gdyby teraz wpadli na turian, skończyłoby się to zupełnie inaczej.

Na szczęście nie spotkali nikogo, ale pięćdziesiąt metrów od kapsuły znaleźli ponury dowód na to, że turianie byli tu wcześniej. Na podłodze leżało ciało doktor Nuri, w jej piersi ziała ogromna dziura.

Żaden z uciekinierów nie skomentował tego widoku. Kilka sekund później byli już w kapsule. Jednostka mogła pomieścić cztery osoby, ale nie mieli zamiaru czekać, aż ktoś pojawi się jeszcze.

Kai Leng zamknął drzwi. Jak tylko to zrobił, Człowiek Iluzja uderzył pięścią w przycisk, który powodował wystrzelenie kapsuły. Gdy wylecieli ze stacji, starszy mężczyzna opadł na fotel, oddychając ciężko.

Od dawna nie brał bezpośredniego udziału w walce. Jego ciało nie było przyzwyczajone do tak intensywnego wysiłku fizycznego. Z trudem chwytając powietrze, był boleśnie świadom, że oddech Kai Lenga nawet nie przyspieszył.

Po kilku minutach doszedł do siebie na tyle, że był w stanie mówić.

– Zakładam, że wyeliminowałeś Graysona – powiedział.

Kai Leng pokręcił głową.

– Nie było czasu. Mogłem zabić jego albo ocalić ciebie. Wybrałem ciebie.

Człowiek Iluzja już miał powiedzieć: „Źle wybrałeś”, ale ugryzł się w język. Mógł równie dobrze zapytać o to Kai Lenga na stacji, gdy jeszcze mieli szanse coś zmienić.

Spotkanie z turianami wstrząsnęło nim. Myślał, że zginie. Stanąwszy twarzą w twarz z własną śmiertelnością, zdecydował się nie pytać o Graysona, bo nie chciał znać odpowiedzi. Nie jeśli mogła go kosztować życie. Był patriotą, ale w głębi duszy nie był gotowy zostać męczennikiem.

Przyjął do wiadomości fakt, że to wyłącznie jego wina. Nie musiał przybywać osobiście do bazy, by nadzorować eksperyment. Mógł zostać na swojej zabezpieczonej stacji i odbierać regularne raporty. Ale chciał patrzeć, jak Grayson cierpi. Pozwolił, by pragnienie zemsty zdominowało jego zdrowy rozsądek, i to prawie go zabiło.

Prawda nie była przyjemna, ale Człowiek Iluzja był prawdziwym profesjonalistą w stawianiu czoła nieprzyjemnym prawdom. Nie chciał powtarzać tego błędu nigdy więcej. I nie zamierzał karcić jednego ze swoich najlepszych agentów za zrobienie czegoś, co w głębi ducha pochwalał.

– Ta operacja była zbyt dobrze zaplanowana, jak na pojedynczą misję – powiedział do Kai Lenga. – Połącz się przez bezpieczne kanały. Sprawdź, kogo jeszcze zaatakowano.

Kontrola szkód była w tej chwili jego priorytetem. Musiał ocenić sytuację, sprawdzić stan swoich zasobów. Potem mógł skupić się na Graysonie.

Grayson nie mógł zostać przy życiu. Tu już nie chodziło o zemstę. Zmienili go w

potwora, w bluźnierstwo. Stał się awatarem Żniwiarzy i był na wolności. Znalezienie go i zniszczenie było jedynym sposobem ocalenia ludzkości.

Jedenaście

Grayson obudził się, gdy usłyszał wyjące alarmy. A dokładniej, gdy cybernetycznie ulepszony słuch wychwycił odległe echo syren alarmowych, które uruchomiły się gdzieś poza celą, Żniwiarze kontrolujący jego ciało sprawili, że usiadł i otworzył oczy.

Znowu był więźniem we własnym ciele. Doskonale wszystko widział i słyszał, jego zmysły przekazywały informację przez sieć syntetycznych synaps przebiegających przez materię szarą jego mózgu. Czuł temperaturę otoczenia, lekki chłód muskający skórę. Nozdrza wypełnił odór własnego niemytego od tygodni ciała. Nawet zmysł smaku był nienaturalnie wyostrzony: wciąż czuł na języku ostry sos z racji, które zjadł poprzedniego wieczoru.

Ale choć był w pełni świadom otoczenia, wszystko było w jakiś sposób odległe, jakby docierało do niego przez filtr. To już nie była przyjemna mgiełka wywołana czerwonym piaskiem, choć wciąż odczuwał efekty ostatniej dawki. To było coś innego. Zupełnie jakby z równania usunięto świadomość, niezbędny łącznik między ciałem a jaźnią.

Żniwiarze stawali się coraz silniejsi: nie było innego wyjaśnienia. Na tę myśl serce Graysona zaczęło mocniej bić. Ta instynktowna reakcja organizmu dała mu nadzieję. Strach uruchomił reakcję chemiczną. Jeśli stan emocjonalny wciąż mógł wywierać wpływ na ciało, to może nie wszystko było stracone.

Próbował odzyskać kontrolę, a zmagania z wewnętrznym wrogiem pochłonęły go tak bardzo, że zignorował dochodzące z zewnątrz odgłosy walki. Gdy odpychał Żniwiarzy, oni odpychali jego. Byli świadomi jego obecności i wysiłków, tak samo jak on był świadom ich w o wiele głębszy, bardziej intymny sposób niż wcześniej.

Grayson przerażony próbował zerwać tę więź, wypełniając swój umysł czystymi emocjami: strachem, nienawiścią, desperacją. Miał nadzieję, że to w jakiś sposób wytrąci Żniwiarzy z równowagi lub wzbudzi w nich odrazę, ale od razu zrozumiał, że do tego nie dojdzie. Zdał sobie sprawę, że jest bezsilny – w tej walce nie miał skutecznej broni.

W przeciwieństwie do Żniwiarzy.

Nagle poczuł, jak tysiące rozżarzonych igieł wbijają się w jego głowę. Zawył z bólu, a cierpienie było tak wielkie, że natychmiast zrezygnował z prób odzyskania swojego ciała.

Zwycięstwo wroga nie było jednak całkowite. Udręczona fizyczna skorupa Graysona wydała z siebie ledwie słyszalny jęk... kolejny dowód na to, że ich kontrola nie była

absolutna. Wspomnienie rozdzierającego bólu było zbyt świeże, by próbował im się znowu sprzeciwić, przynajmniej na razie. Pozwolił, by jego świadomość wycofała się, zostawiając maszyny u władzy.

Zdegradowany do roli obserwatora, patrzył, jak Żniwarze podchodzą jego ciałem do drzwi, tak by przycisnąć do nich ucho. Czuł, że coś się w nim dzieje, zmienia, i nagle jego słuch stał się tak wyostrzony, że był w stanie rozróżnić dźwięki mimo wyjących syren. Słyszał wystrzały i nawet krzyki dochodzące z bliska i z daleka, którym okazjonalnie towarzyszyły eksplozje i wrzaski. Żniwarze chłonęli to wszystko, każdą informację.

Grayson też nie miał pojęcia, co się wydarzyło. Miał kilka teorii, ale bał się rozważać je szczegółowo. Nie sądził, by Żniwarze mogli czytać mu w myślach – jeszcze nie – ale nie chciał ryzykować.

Przez kilka minut jego ciało trwało nieruchomo, choć szyję i ramiona zaczął wykręcać bolesny skurcz. Grayson przeklinał w duchu ironię losu: choć nie kontrolował swojego ciała, wciąż cierpiał, gdy ono cierpiało.

Kilka minut później strzały stały się rzadsze, potem w ogóle zamilkły. Chwilę później usłyszał kroki, do drzwi zbliżała się mała grupka, ktoś zaczął natychmiast majstrować przy zamku.

Sądził, że Żniwarze desperacko rzucą się ku wolności, gdy tylko otworzą się drzwi. Mięśnie w jego nogach zdrząły lekko, gdy obcy rozważali tę możliwość, jednak szybko z niej zrezygnowali. Cofnęli jego ciało o kilka kroków, by wydawało się mniejszym zagrożeniem.

Uwaga Graysona była skupiona na wszystkim, co robili jego wrogowie, na wszystkim, co kazali jemu robić. Staranna obserwacja była jedyną nadzieją na odkrycie ich słabości. Prosty ruch, odstępianie od drzwi, zdradził mu, że maszyny rzadko postępowywały impulsywnie. W każdych okolicznościach stosowały chłodną logikę, analizę sytuacji, podejmując takie decyzje, które zapewniają najkorzystniejsze rezultaty. Uświadomił sobie, że Żniwarze będą preferowali rozwiązania wymagające cierpliwości i ostrożności.

Kilka minut później drzwi otworzyły się, ukazując troje ciężko uzbrojonych turian. Zobaczywszy w celi człowieka, wszyscy zrobili krok w tył i wycelowali w dzikusa, w jakiego zmienił się Grayson.

Włosy mu odrosły, twarz miał zarosniętą. Ale wiedział, że nie to ich zaskoczyło. Był zupełnie nagi i pod jego skórą widać było zmiany cybernetyczne. Podejrzał, że nie przypominał już człowieka.

– Kim jesteś? – zapytał jeden z turian.

Po głosie dało się poznać, że to kobieta. Wzdłuż jej podbródka biegła długa biała blizna, widoczna przez wizjer hełmu, tak samo jak czerwone tatuaże.

– Więźniem – odpowiedzieli Żniwarze. – Torturowali mnie. Eksperymentowali na mnie.

W uszach Graysona jego głos brzmiał pusto, zupełnie jakby odsłuchiwał nagrania.

– Jak się nazywasz? – Turianka wciąż mierzyła w jego pierś.

Pod pewnym względem Grayson miał nadzieję, że strzeli. Nie miał wątpliwości, że widok cybernetycznej hybrydy przepelnia ją odrazą. Może wyczuwała w nim obecność obcych. Może dobrze zachowany instynkt przetrwania skłoni ją do naciśnięcia spustu i zakończenia tego wszystkiego.

Żniwiarze pokręcili jego głowę.

– Ja... nie wiem. Podali mi narkotyki...

– Dinara, spójrz na jego oczy – odezwał się jeden z pozostałych. – Całkowicie napiaskowany.

– Proszę, pomóżcie mi – błagali Żniwiarze.

Nie! – krzyczał w ciszy Grayson.

Na sygnał dowódcy turianie opuścili broń. Grayson był rozczarowany że podstęp zadziałał, ale fakt, że Żniwiarze nie znali jego imienia, upewnił go, iż obcy panowie nie są w stanie przeniknąć jego myśli... chociaż nie wiedział, ile to jeszcze potrwa.

– Chodź z nami – powiedziała Dinara.

Turianie wyprowadzili go z celi, co pozwoliło mu po raz pierwszy przyjrzeć się miejscu, w którym był więziony. Za drzwiami znajdował się mały korytarz, na jego końcu schody prowadzące w górę. Na ich szczycie było pomieszczenie obserwacyjne, ogromne lustro fenickie nie pozostawiało żadnych wątpliwości w kwestii przeznaczenia pokoiku.

Dalej znajdowało się coś, co wyglądało na laboratorium. Ogromna konsola składająca się z kilku terminali komputerowych wypełniała je całe. Krzesła były puste, ale Grayson bez trudności mógł sobie wyobrazić, jak jego dręczyciele z Cerberusa zasiadają tu, monitorując zmiany zachodzące w jego ciele.

– Sprawdźcie, czy znajdziecie dla niego jakieś ubranie – rozkazała Dinara.

Jeden z jej podwładnych wyszedł i wrócił po chwili z paroma sztukami odzieży.

Podał je Graysonowi, a Żniwiarze powoli go ubrali. Spodnie były za duże, tak samo koszula. Buty były o rozmiar za małe i gniotły go w stopy. Żniwiarze nie narzekali.

Dinara położyła dłoń na swoim hełmie, aktywując wbudowany odbiornik.

– Raport – powiedziała.

Dzięki swoim wyostrzonym zmysłom Grayson był w stanie słyszeć obie strony biorące udział w rozmowie.

– Obiekt zabezpieczony – odpowiedział głos w odbiorniku. – Trzydzieści sześć ofiar po stronie wroga. Żadnych jeńców.

– Wyłączcie alarmy – rozkazała dowódca i kilka sekund później syreny gwałtownie zamilkły.

– Straciliśmy jedenastu naszych – mówił o wiele poważniejszym tonem głos w odbiorniku. – Siedmiu z drugiego zespołu, po dwóch z pierwszego i trzeciego. Brakuje dwóch kapsuł ratunkowych.

– Znaleźliście kogoś pasującego do opisu Człowieka Iluzji?

– Nie. Jeśli tu był, wyślizgnął nam się.

– Zespoły pierwszy i trzeci zostają w obiekcie – powiedziała Dinara. – Drugi spotka się z nami na naszym promie. Mamy uwolnionego więźnia Cerberusa do przetransportowania.

– Zrozumiałem.

Opuściła dłoń i przekaźnik się wyłączył.

– Chodź z nami – powiedziała do Graysona. – Zabierzemy cię w bezpieczne miejsce.

Troje turian poprowadziło go korytarzami czegoś, co jak szybko sobie uświadomił Grayson, było stacją kosmiczną. Nie rozpoznał jej, ale miała charakterystyczny utylitarny wygląd baz Cerberusa.

Zorientował się, że Żniwiarze nieustannie obracają jego głowę, próbując zobaczyć jak najwięcej. Maszyny zbierały dane, zapisując je w swoich nieskończonych bankach pamięci, na wypadek gdyby ich kiedyś potrzebowały.

Turianie nie komentowali tego zachowania. Albo nie wiedzieli dość o ludziach, by zorientować się, że zachowuje się dziwnie, albo uznali, że to wpływ czerwonego piasku.

Grayson spodziewał się, że zaprowadzą go do doków. Ale za kolejnym zakrętem natknęli się na ogromną wyrwę w pancerzu stacji. Na podłodze leżał kawałek metalu o powierzchni mniej więcej dwóch metrów kwadratowych. Jego krawędzie były osmalone w miejscach, gdzie przeciął je promień tnący, a całość była powyginana za sprawą eksplozji, która dokończyła dzieła.

Przez dziurę widać było turiański prom, połączony ze stacją platformą prowadzącą wprost do śluzy. Kolejnych trzech turian – pozostali przy życiu członkowie zespołu drugiego – wyszło ze śluzy, by ich powitać i oddać honory dowódcy.

– Powiedźcie, co się stało z pozostałymi – rozkazała Dinara.

– Ledius, Erastian i ja oddzieliliśmy się od pozostałych, żeby zająć większy obszar – odpowiedział jeden z żołnierzy. – Natknęli się na uzbrojone jednostki wroga. Gdy do nich dotarliśmy, było już po walce, a oni nie żyli.

– Cała szóstka? – w głosie dowódcy słychać było niedowierzenie.

– Większość zginęła od ciosów z bliska. Wyglądało to, jakby zaskoczyło ich od tyłu trzech, może czterech napastników.

– Ich ciała powrócą na Palaven – zapewniła ich Dinara – a ich dusze dołączą do legionu dusz.

Wszyscy turianie opuścili głowy i pograżyli się w ciszy. Potem Dinara aktywowała przekaźnik na swoim hełmie.

– Jesteśmy gotowi do odlotu. Odetnijcie ten sektor.

– Potwierdzam, komandorze.

Po chwili zawył alarm, a potem rozległ się huk grodzi odcinających obie strony korytarza wokół uszkodzonego miejsca, by cała stacja nie uległa dekompresji, gdy turiański prom

odleci.

Turianie usatysfakcjonowani wsiedli na statek. Żniwiarze i Grayson razem z nimi. Prom nie był duży, ale mieścił dziesięciu pasażerów, nie licząc dwóch pilotów. Pod każdą ścianą znajdowało się pięć miejsc, oba rzędy były zwrócone twarzami do siebie.

Dwóch turian zajęło miejsca pilotów. Trzech siadło po jednej stronie, a Grayson i dowódca po drugiej.

– Nie możemy zaproponować ci nic do jedzenia ani picia – powiedziała przeprasząco Dinara, pomagając Graysonowi usiąść. Fotel nie był zbyt wygodny, zaprojektowano go dla turiańskiego ciała. – Mamy tylko nasze zapasy, dla twojego gatunku mogą być trujące.

Żniwiarze w imieniu Graysona skinęli głową.

– Zabierzcie nas z powrotem do Cytadeli – rozkazała pilotom. – I wyślijcie wiadomość, że uratowaliśmy więźnia. Wygląda na to, że potrzebna mu będzie pomoc medyczna. Lepiej wyślijcie skan siatkówki – dodała. – Jest zbyt naćpany, żeby pamiętać swoje imię.

Silniki odpaliły i uaktywnił się napęd masy. Pilot wprowadził współrzędne i Grayson poczuł znajomy nacisk, gdy statek przyspieszał do prędkości nadświatłowej, zmierzając do najbliższego przekaźnika.

Do chwili powrotu do prędkości podświatłowej byli całkowicie odizolowani, niewykrywalni przez skanery i urządzenia śledzące, nie mogli też odbierać ani wysyłać wiadomości – idealna chwila, by wróg mógł zaatakować.

Grayson czuł, jak Żniwiarze zbierają moc, i walczył z nimi jak umiał. Nie był miłośnikiem turian, ale nie chciał, by jego wybawcom stała się krzywda... zwłaszcza że wina miała spaść na niego.

Wszyscy na pokładzie poza nim mieli pancerze i broń. Możliwe było wyeliminowanie dwóch czy trzech turian, ale pozostali szybko by się z nim rozprawili. W zamkniętej przestrzeni promu strzelanie było niebezpieczne. Mogli użyć noży albo po prostu zatłuc go kolbami. To byłaby brzydka, brutalna i brudna śmierć. Nie chciał tak skończyć.

Żniwiarze byli zbyt skupieni na turianach, by dręczyć Graysona kolejnym atakiem paraliżującego bólu, ale jego wysiłki zmierzające do powstrzymania ich spowodowały, że jego twarz wykrzywiła się groteskowo.

– Wszystko w porządku? Co się dzieje? – zaniepokoiła się turianka.

W odpowiedzi Żniwiarze uderzyli. Rozbili wizjer hełmu i wbili pięść głęboko w środek jej twarzy. Zginęła natychmiast. Grayson bezgłośnie zawył z bólu, gdy kości w jego dłoni popękały od siły uderzenia.

Żniwiarze, obojętni na jego cierpienie, potraktowali trzech siedzących naprzeciwko turian silną falą biotyczną. Siła ciosu poderwała obcych z siedzeń i uderzyła nimi o ścianę, odbierając im dech. Leżeli na podłodze, walcząc o oddech.

Używając nieuszkodzonej ręki Graysona, Żniwiarze wyciągnęli pistolet z pasa martwej komandor, wstali i trzema strzałami wykończyli tę trójkę.

Kompletnie zaskoczeni atakiem piloci dopiero wstawali z foteli, by pomóc towarzyszom. Grayson wypuścił pistolet i skoczył ku nim, tak szybko, że wszystko wokół się rozmyło.

Zdrowa ręka chwyciła najbliższego turianina za nadgarstek i poderwała go w powietrze, rzucając nim na tył promu, gdzie z ciężkim łupnięciem wylądował na ciałach pozostałych.

Ta chwila wystarczyła drugiemu na podniesienie karabinu. Ale gdy nacisnął spust, Grayson pchnął lufę w dół. Grad kul odbił się od podłogi i zaczął rykoszetować o ściany kabiny.

Kilka pocisków trafiło Graysona – jeden w ramię nad zranioną ręką, drugi w kolano, kolejne dwa w udo. Rozległ się krzyk bólu, gdy oszołomiony turianin z tyłu też został trafiony.

Grayson sprawną ręką wyrwał przeciwnikowi karabin, robiąc to z taką łatwością jak rozszoszczony rodzic zabierający zabawkę nieposłusznemu dziecku. Potem zamachnął się karabinem jak kijem i uderzył nim w hełm turianina. Rozległo się zduszone chrząknięcie i nieprzytomny przeciwnik upadł.

Ignorując ból, jaki sprawiały tkwiące w ciele pociski, Żniwiarze obrócili ciało Graysona i jednym susem posłały go na tył promu, gdzie turianin próbował wstać. Grayson wylądował na nim, powalając go z powrotem na podłogę. Potem Żniwiarze ciężkim butem zaczęli kopać turianina raz za razem, łamiąc kręgosłup, rozrywając rdzeń i sprawiając, że spieniona ciecz w kolorze indygo rozlała się po podłodze, gdy obrażenia wewnętrzne spowodowały u tamtego wylew krwi do płuc.

Gdy obcy pod buciorami Graysona zmienił się w pozbawioną życia pulpę, Żniwiarze przestali go kopać. Poruszając się precyzyjnie, ale bez pośpiechu, przenieśli ciała – w tym wciąż nieprzytomnego ogłuszonego turianina – do śluzy.

Gdyby Grayson panował nad swoim ciałem, pewnie by zwymiotował. Ale za sprawą Żniwiarzy nie przejawiał już żadnych fizycznych reakcji.

Najbardziej przerażająca była zimna precyzja, z jaką mordercza napaść została zaplanowana i przeprowadzona. Grayson nie wyczuwał u Żniwiarzy ani gniewu, ani furii, gdy używali go jako narzędzia. Masakry nie spowodowała nienawiści, ani nawet sadystyczne pragnienie niszczenia życia organicznego. Żniwiarze zanalizowali sytuację, wybrali sposób działania i bez żadnych emocjonalnych odczuć wykonali plan.

To bardziej niż cokolwiek przeraziło ich ludzkiego nosiciela. Wydawało się symbolizować nieuchronność nadejścia Żniwiarzy, jakby nic nie mogło stanąć im na drodze, którą podążali niestrudzenie i bez emocji.

Gdy wszystkie ciała były w śluzie, Żniwiarze i Grayson zajęli miejsce w fotelu pilota. Używając jego zdrowej ręki, wstukali serię poleceń, które wpięrow odłączyły przekaźnik statku, a potem wyprowadziły ich z prędkości nadświatłowej.

Grayson był doświadczonym pilotem, ale nigdy nie uczono go obsługi turiańskich statków. Gdyby był sam, pewnie grzebałby w systemie, ale Żniwiarze postępowali pewnie i

precyzyjnie. Znali doskonale turiańską technologię, a Graysonowi przychodziło na myśl tylko jedno prawdopodobne wyjaśnienie.

Żniwiarze zbierali informacje o nim i jego otoczeniu, nagrywając wszystko, z czym się zetknął. Nie wiedział, ilu obcych miał w głowie, czasem wydawało mu się, że jest tam jednostka, czasem że cały bilion Żniwiarzy. W obu przypadkach rozsądne było założenie, że zebranymi informacjami dzielili się z innymi osobnikami swojego gatunku. A zatem jeśli kiedyś na dłużej opętali turianina, mogli nauczyć się od niego naprawdę wszystkiego, co wiedział o swoim gatunku. A teraz używali Graysona, by dowiedzieć się wszystkiego o ludzkości.

Żniwiarze nacisnęli przycisk otwierający służbę i wyrzucili ciała w zimną pustkę kosmosu. Wprowadzili nowy kurs – zbyt szybko, by Grayson zdołał go odczytać – i ponownie weszli w nadświatłą. Wreszcie, mimo że starał się ze wszystkich sił sprzeciwić ich woli, zamknęli mu oczy i sprawili, że zasnął.

Dwanaście

Podczas ćwiczeń na bieżni Kahlee skupiała się na technice. Nie dla niej było banalne przebieranie nogami do utraty tchu, aż całe ciało spłynie potem. Istniała sztuka biegania, forma wypływająca z funkcji. Kahlee utrzymywała optymalną długość kroków, kontrolowała oddech i ruchy ramion w rytm biegu. Tempo pozostawało niezmiennie, a kilometry – i minuty – szybko mijały.

Turiańskie zespoły uderzeniowe wyruszyły ledwie dwanaście standardowych godzin wcześniej. Cztery godziny po ich odlocie SOC wkroczyła do akcji i aresztowała głównych agentów Cerberusa, w tym wielu wysokich rangą oficerów Przymierza, by ich przesłuchać. Gdy tylko aresztowania zostały zakończone, Orinia udała się nadzorować dochodzenie. Jeszcze nie wróciła. Andersona też nie było, pochłonął go wir spotkań z przedstawicielami Przymierza i Hierarchii Turian, starał się zminimalizować ryzyko katastrofy politycznej. Kahlee została sama w turiańskiej ambasadzie i mogła jedynie czekać na ich powrót. Nie lubiła czekać.

Cierpliwość nigdy nie była jej mocną stroną. Sanders przywykła do zajmowania się jednocześnie wieloma sprawami. Gdy odczuwała nudę lub znużenie, gdy dochodziła do wniosku, że świat, jak na jej gust, kręci się za wolno, rzucała się w wir pracy.

Teraz też próbowała zastosować tę sprawdzoną metodę i jeszcze raz przejrzeć dane na temat Cerberusa, ale szybko uświadomiła sobie, że to nie miało sensu. Nie w chwili, gdy zespoły uderzeniowe były już w drodze. Szukała sobie innych zajęć, próbowała surfować po Extranecie, przeglądać dane zebrane od dzieci z Projektu Podniesienie, nawet oglądać komedię romantyczną – ale to nic nie dało. Świadomość, że plan zniszczenia Cerberusa został wprowadzony w życie, nie pozwoliła jej skupić się na czymkolwiek.

W końcu zdecydowała się na prosty, lecz efektywny sposób rozładowania frustracji – wysiłek fizyczny. Turianie byli tak mili, że pozwolili jej korzystać z siłowni w ambasadzie, i przez ostatnie trzy godziny, czekając na wieści od zespołów uderzeniowych, Kahlee oddawała się wycieńczającym ćwiczeniom.

Poczuła ukłucie bólu w lewym kolanie i niechętnie zwolniła tempo do marszu. Jak większość ludzi o osobowości typu A, pozwalała, by rozmaite czynności pochłaniały ją w nadmiernym stopniu. Odcierpiawszy w młodości swoje za sprawą bolesnych kontuzji w

wyniku przetrenowania, nauczyła się, końcu zwracać uwagę na znaki ostrzegawcze, które dawało jej ciało.

Jednak gdy zwolniła, jej myśli znowu skupiły się na temacie, którego starała się unikać. Czy turianie zdołali wreszcie zniszczyć Cerberusa? Pojmali Człowieka Iluzję? Znaleźli Graysona? A jeśli, to czy on wciąż żyje?

Znów zwiększyła tempo. Ale gdy kolejne pytania zaczęły już formować się w jej głowie, nawet wysiłek fizyczny nie zepchnął ich z powrotem do podświadomości. Po dwudziestu minutach wyłączyła bieżnię.

Obiecała nie wchodzić nikomu w drogę, póki misja się nie skończy, ale nie miała siły dłużej czekać. Nadszedł czas, by wkroczyć do gabinetu turiańskiej ambasador i zażądać odpowiedzi!

Kiedy Sanders już podjęła decyzję, nawet chwila zwłoki niezbędna, by się odświeżyć, była nieznośną torturą. Zdecydowanym krokiem podeszła do drzwi, otworzyła je gwałtownie i stanęła twarzą w twarz z Andersonem i Orinią.

– Rany, Kahlee! – wykrzyknął Anderson. Instynktownie unióś ręce, by chwycić ją za nagie ramiona i uniknąć zderzenia.

Jego uścisk był mocny, ale nie brutalny. Kahlee nagle uświadomiła sobie, że jest cała pokryta potem, i cofnęła się szybko.

– Właśnie po panią szliśmy – wyjaśniła Orinia. – Wszystkie zespoły uderzeniowe już się zameldowały.

Mimika turianki stanowiła dla Kahlee tajemnicę, zerknęła więc na Andersona, by sprawdzić, czy jego oblicze coś jej zdradzi. Admirał właśnie dyskretnie ocierał ręce, próbując usunąć z nich wilgoć potu. Zaczerwieniła się ze wstydu i miała nadzieję, że Anderson uzna jej rumieniec za wynik aktywności fizycznej.

– Udina był wkurzony – powiedział Anderson, a Kahlee od razu się zorientowała, że jest tak samo zażenowany jak ona. – Mówi, że wywołałem polityczne tornado czystego gówna i sprzątanie potrwa miesiącami.

Unikał wspomnienia o szczegółach misji, ale po wyrazie jego twarzy można było poznać, że nie wszystko poszło zgodnie z planem.

– Powiedźcie mi, co się stało.

– Wszystkie bazy Cerberusa zostały zneutralizowane – poinformowała ją Orinia. – Niestety, ofiary po stronie turian to prawie dwadzieścia procent naszych żołnierzy, prawie dwa razy więcej, niż zakładaliśmy. I nie udało nam się pojmać Człowieka Iluzji.

– A co z Graysonem? – zapytała Kahlee, bojąc się, że już zna odpowiedź.

– Zespół Dinary znalazł go na stacji w Układach Terminusa – powiedziała Orinia.

– Żywego – dodał pośpiesznie Anderson. – Wysłali nam skan siatkówki, żeby potwierdzić jego tożsamość.

Sanders powinna poczuć ulgę na tę wieść, ale ton, jakim Anderson to powiedział,

natychmiast ją zaniepokoił.

– Po co skan siatkówki? Dlaczego nie powiedział im po prostu, kim jest? Coś się stało, prawda?

– Dinara i jej żołnierze zabrali Graysona na pokład swojego promu i przesłali wiadomość, że wracają do Cytadeli. Od tamtej pory się nie odezwali.

– Muszą przejść przez co najmniej trzy przekaźniki masy, żeby wrócić – przypomniała Kahlee, nie chcąc dopuścić do siebie myśli, że coś mogło pójść nie tak. – To mogło zająć im więcej niż trzy godziny.

– Za każdym razem, gdy przechodzą przez przekaźnik, muszą wyjść z nadświatłej – wyjaśniła Orinia. – Standardowe turiańskie procedury wymagają, żeby za każdym razem się zameldowali i podali planowany czas przybycia. Od pierwszej wiadomości nie mieliśmy z nimi kontaktu.

– Co mogło się stać? – zapytała Kahlee, próbując poukładać sobie w głowie nowe informacje.

– Nie wiemy – przyznał Anderson. – Możliwe, że po prostu mają problemy komunikacyjne.

Kahlee doskonale wiedziała, jaką ilość zapasowego wyposażenia ma najprostszy nawet statek kosmiczny. Każda usterka mechaniczna, która uniemożliwiłaby załodze wezwanie pomocy, musiałaby być katastroficzną w skutkach. Jeśli to był problem techniczny, szansa na to, że zespół Dinary i Grayson jeszcze żyją, była bliska zeru.

– Są inne możliwości – przypomniała Orinia. – Układy Terminusa to raj dla piratów i łowców niewolników.

– Czy którykolwiek z nich byłby na tyle głupi, żeby atakować wojskowy wahadłowiec turian?

– Zapewne nie – zgodził się Anderson. – Musimy wziąć pod uwagę możliwość, że ich zniknięcie ma coś wspólnego z Cerberusem. Może to jakiś odwet za ataki.

– Nie znaleźliśmy dowodów na to, że mają statki i zasoby, które pozwoliłyby im na tak błyskawiczną akcję odwetową – sprzeciwiła się Kahlee. – Nawet jeśli Człowiek Iluzja dalej jest na wolności.

– Chyba że mieli kogoś na pokładzie wahadłowca – powiedziała ponuro Orinia.

Dopiero po chwili Kahlee zrozumiała, co turianka miała na myśli, i energicznie pokręciła głową.

– Nie! To niemożliwe. Grayson nie jest zdrajcą.

– Musimy rozważyć taką możliwość – upierała się Orinia. – Żadne inne wyjaśnienie nie ma sensu.

– To dzięki Graysonowi mamy te dane! – zaprotestowała Kahlee. – Dlaczego miałby nam pomagać w zniszczeniu Cerberusa, jeśli dla nich pracował?

– Może próbuje obalić Człowieka Iluzję – podsunęła Orinia. – Użycie turian do

wykonania za niego brudnej roboty byłoby mistrzowskim posunięciem.

– Znam Graysona – zarzekała się Kahlee. – Ufam mu. Nie zrobiłby tego.

Odwróciła się do Andersona, szukając u niego wsparcia.

– Wierzysz mi, prawda?

– Kahlee – powiedział ponuro – czy Grayson jest narkomanem?

Kompletnie nie rozumiała, czemu miało służyć to pytanie.

– Dlaczego pytasz?

– Skan siatkówki, który przesłała Dinara, był przekolorowany. Różowy. Jakby Grayson zażył czerwony piasek.

– Dranie! – syknęła Kahlee, a jej twarz wykrzywiła wściekłość. – Był czysty od dwóch lat. Dwa lat! Musieli go naćpać, gdy był ich więźniem, żeby móc jakoś na niego wpłynąć. Sadystyczne sukinsyny!

– Skąd możesz wiedzieć, że tak właśnie było? – naciskał Anderson. – Nałogowcy nie słyną z lojalności. Może Grayson znowu zaczął brać. Cerberus musiał tylko zaczekać, aż dostanie zespołu odstawienia, i zaproponować mu działkę w zamian za informacje.

– On już taki nie jest! – zaprotestowała Kahlee. – Zmienił swoje życie.

Anderson nic nie powiedział, ale wyczuwała jego wątpliwości.

– Jestem tego absolutnie pewna – powiedziała mu. – Więc czemu tak ciężko ci to zaakceptować?

– Nie zawsze dobrze sobie radzisz z ocenianiem ludzi – odrzekł, ostrożnie dobierając słowa. – Długo trwało, nim uznałaś, że praca doktora Qiana jest na tyle niebezpieczna, że należy donieść na niego do Przymierza.

– To było dwadzieścia lat temu. Byłam młoda i naiwna – wyjaśniła.

– A co z Jiro Toshiwą?

Kahlee nie miała pojęcia, że Anderson wie o jej byłym współpracowniku z Projektu Podniesienie, chociaż to, że raporty trafiały na jego biurko, nie było w sumie dziwne. Jiro był nie tylko kochankiem Kahlee, ale również szpiegiem Cerberusa wewnątrz programu.

– To co innego – mruknęła, spoglądając na Andersona spode łba. – Grayson nie jest już członkiem Cerberusa. Zerwał z nimi dla dobra swojej córki. Nigdy by nie wrócił.

– Może nie z własnej woli – powiedziała Orinia – ale znaleźliśmy w bazie dowody na to, że na więźniu przeprowadzano eksperymenty medyczne. Dane są bardzo dobrze zaszyfrowane, ale podejrzewamy, że Cerberus badał jakiś sposób na kontrolę umysłów.

– To szaleństwo! – krzyknęła Kahlee. – Grayson jest ofiarą, nie wrogiem.

– Orinia martwi się o swoich żołnierzy – Anderson próbował ją uspokoić. – Nie chce stracić ani jednego więcej, a mamy zbyt wiele pytań pozostających bez odpowiedzi.

– Więc pozwól mi pomóc wam ich szukać – podchwyciła natychmiast Kahlee. – Wyślijcie mnie do bazy Cerberusa. Pozwólcie mi obejrzeć wyniki ich badań, a dowiem się, co zrobili Graysonowi.

– Wyślemy na stację naszych ekspertów – powiedziała Orinia, odrzucając jej propozycję.

Kahlee przygryzła wargę, by nie wykrzyknąć turiance w twarz czegoś, co bardziej by zaszkodziło, niż pomogło. Chciała powiedzieć, że ma dwadzieścia lat doświadczenia w analizowaniu zaawansowanych eksperymentów naukowych we wszystkich dziedzinach mieszczących się pomiędzy sztuczną inteligencją a zoologią. Przypomnieć Orinii, że jest powszechnie uważana za najzdolniejszą i najbardziej doświadczoną specjalistkę od złożonej analizy statystycznej w Przymierzu. Wytknąć, że przez ostatnie dziesięć lat badała bezpośrednio wpływ syntetycznych implantów biotycznych na ludzki mózg i system nerwowy. Oraz że szanse na znalezienie w przestrzeni Rady drugiej osoby z taką wiedzą, jaką ona posiada, były bliskie zera. I wykrzyknąć, że w ciągu godziny może osiągnąć więcej niż cały zespół turiańskich tak zwanych ekspertów w tydzień. Ale atakowanie ambasador wcale by jej nie pomogło. Zamiast wybuchnąć gniewem, starała się być rozsądna i racjonalna.

– Mam doświadczenie w tej dziedzinie...

– My też – przerwała jej Orinia.

Kahlee wzięła głęboki oddech, by się uspokoić, i mówiła dalej:

– Naukowcy Cerberusa to ludzie. Myślą jak ludzie, używają metodologii i procesów typowych dla mojej kultury, ale zapewne różnych od tego, z czym wasi naukowcy mają do czynienia. Biologia i społeczeństwo wspólnie tworzą podobne, rozpoznawalne wzorce w umysłach wszystkich jednostek danego gatunku. Sposób, w jaki dane są zakodowane – nawet to, jak zostały zorganizowane i posegregowane – będzie łatwiejszy do rozgryzienia dla mnie niż dla turianina, nieważne jak genialnego.

Orinia nie odpowiedziała od razu. Bez wątpienia rozważała plusy i minusy.

– Jeśli istnieje szansa na znalezienie Dinary i jej zespołu żywych, musimy działać szybko – zauważył Anderson, wykorzystując lojalność Orinii wobec żołnierzy. – Twoi podwładni mogą to wszystko rozgryźć, ale szybciej będzie, jeśli Kahlee się tym zajmie.

Orinia skinęła głową i Kahlee prawie była skłonna wybaczyć Andersonowi, że nie chciał jej wierzyć w sprawie Graysona.

– Mój wahadłowiec wylatuje za godzinę. Kiedy będzie pani gotowa?

– Proszę mi tylko powiedzieć gdzie, a będę tam – zapewniła ją Kahlee.

– Ja też – dodał Anderson.

– Myślałam, że musisz tu zostać i naprostować sprawy w Przymierzu – Kahlee była zaskoczona.

– Właściwie to zrezygnowałem ze stanowiska – powiedział Anderson. – Udina groził, że rozpocznie śledztwo w sprawie, jak to nazwał, moich „niewłaściwych stosunków politycznych” z turianami. Ta konserwa zamierzała mnie zawiesić do chwili, gdy wszystko zostanie wyjaśnione, więc powiedziałem mu, żeby sobie wsadził to całe śledztwo, i zrezygnowałem.

– Davidzie – Kahlee położyła mu rękę na ramieniu – tak mi przykro.

– Nie ma powodu. – Wzruszył ramionami. – Mam dość bycia politykiem. Kiedyś byłem dumny z tego, co robię. Czuję, że naprawdę mam na coś wpływ. A potem stałem się urzędasem i wszystko, co próbowałem osiągnąć, ginęło przygniecione stosem papierów. Może to moja szansa na to, żeby zrobić coś, co ma znaczenie, zanim zwinę manatki.

– Uprzedzę dowódcę wahadłowca, że przyjdziecie oboje – powiedziała Orinia. – Nie spóźnicie się – ostrzegła, gdy szli do drzwi. – Punktualność to podstawowa cecha turiańskiego charakteru.

Trzynaście

Człowiek Iluzja siedział w fotelu w swoim gabinecie, otoczony ciemnością, wpatrzony w umierające czerwone słońce. Teraz gdy był już w znajomym – i bezpiecznym – miejscu, uspokoił się, odzyskał pewność siebie i poczucie kontroli nad sytuacją. Turianie mogli zaatakować Cerberusa ze wszystkich stron, ale na szczęście nie dotarli do serca organizacji.

W odniesieniu do agentów i przeprowadzanych operacji Człowieka Iluzję cechowała nadmierna ostrożność, ale gdy chodziło o ukrycie przed wszechświatem tej stacji, popadał wręcz w paranoję.

Tylko sześciu agentów terenowych, w tym Kai Leng, który był tu i teraz, znało położenie bazy. Jeśli na stację zawitał jakiś gość, to ledwie ją opuścił, załoga na polecenie Człowieka Iluzji przenosiła bazę do innego systemu. Ta mobilność zapewniała utrzymanie tajemnicy, tak samo jak ostra selekcja potencjalnych członków załogi. Dwa tuziny agentów stanowiących stały personel sanktuarium Człowieka Iluzji wywodziły się spośród jego najbardziej lojalnych i oddanych zwolenników. To byli fanatycy, najgorliwsi z gorliwych.

Wybrano ich spośród szeregowych członków organizacji za pomocą całego zestawu testów psychologicznych i logicznych, a częścią ich szkolenia był subtelny, ale skuteczny program propagandowy, który sprawił, że ich żarliwa wiara w sprawę i przywódcę rozgorzała jeszcze większym płomieniem. Ci, którzy pracowali na stacji, nie tylko szanowali Człowieka Iluzję: wielbili go. Czcili. Każdy z nich na rozkaz bez wahania oddałby za niego życie.

Niekiedy Człowiek Iluzja zastanawiał się, czy nie przekroczył pewnej granicy. Czy zrobienie z siebie kogoś na kształt boga było konieczne ze względów bezpieczeństwa, czy po prostu karmił w ten sposób własne ego?

Wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin udzieliły mu odpowiedzi na to pytanie. Turianie zadali Cerberusowi straszliwy cios. Wielu z kluczowych agentów działających w Przymierzu zostało aresztowanych. Niektórzy odmówią składania zeznań, nawet w obliczu kary śmierci za zdradę Rady. Inni jednak chętnie zaczną sypać, by się ratować. Gdy wszystko zacznie się walić, część tych agentów, którzy jeszcze nie zostali odkryci, sama zgłosi się do władz, licząc na złagodzenie kary. A część porzuci swoje fałszywe tożsamości i zacznie uciekać.

Ogromna sieć firm i korporacji, które pomagały finansować Cerberusa – niektóre

świadomie, inne nie – lada chwila miała zostać odkryta i zlikwidowana. Człowiek Iluzja wciąż posiadał większy majątek, niż potrzebował, by zaspokoić swoje osobiste potrzeby, ale koszty działania organizacji takiej jak Cerberus były astronomiczne. Ograniczenie źródeł finansowania oznaczało ograniczenie działalności.

O wiele bardziej niepokojące niż strata majątku i wyciek w Przymierzu było zniszczenie tak wielu obiektów o niemałym znaczeniu strategicznym. Turianie przejęli dwie wojskowe bazy szkoleniowe i cztery laboratoria. Z informacji, które udało się zebrać Człowiekowi Iluzji, wynikało, że napastnicy nie brali jeńców, co oznaczało, że stracił nie tylko wart tryliony dolarów sprzęt, broń i zasoby, ale też kilka czołowych umysłów.

Jednak mimo takich zniszczeń Cerberus przetrwał. Sieć zwolenników Człowieka Iluzji była większa, niż Przymierze mogłoby przypuszczać. Mieli inne bazy szkoleniowe i laboratoria w systemach zarówno w przestrzeni Rady, jak i poza nią. Sieć niezależnych komórek szpiegowskich działających w całej galaktyce pozostała nietknięta.

Ze swojej niedostępnej stacji kosmicznej Człowiek Iluzja dalej mógł dowodzić organizacją. Powoli odzyska to, co mu zabrano. Zbierze środki i odbuduje finansowo-polityczne imperium, które ukradkiem go wspierało. Zdobędzie nowych zwolenników i zbuduje nowe bazy. Już zajął się szukaniem agentów, których mógłby umieścić na kluczowych pozycjach w Przymierzu.

Potrwa trochę, nim zinfiltrowuje je całe, ale ludzkość w dalszym ciągu potrzebowała Cerberusa, by ją ochraniał i walczył za nią. Mimo tego, co go spotkało, Człowiek Iluzja nie zamierzał odwrócić się od ludzi.

Ale to były plany na przyszłość. Na razie musiał zająć się kwestią niefortunnie uwolnionego Graysona. Wiedział, że Kai Leng chciał ruszyć w pościg, ale potrzebował pomocy i wsparcia, by wytropić i zniszczyć potwora, którego wspólnie stworzyli.

Jednak Cerberus nie mógł za bardzo wspierać swojego czołowego agenta. W tej chwili organizacja była bardzo krucha. Musiał postępować ostrożnie. Wrogów nie zadowolili osłabienie Cerberusa, nie spoczną, póki nie wyeliminują Człowieka Iluzji. Po udanym ataku będą obserwować i czekać, aż spróbuje odrobić straty i odbudować organizację. W tej chwili kontakt z potencjalnymi sojusznikami oznaczałby wystawienie ich na niebezpieczeństwo, rozwiązania należało szukać gdzie indziej.

Aby zgładzić Graysona, musiał szukać pomocy poza ludzkim gatunkiem, a nawet poza przestrzenią Rady. Dla dobra ludzkości będzie musiał wyzbyć się dumy i szukać pomocy u tych, którzy uosabiali sobą wszystko, czym Cerberus gardził, u obcych.

Wszystko zaczęło się na Omedze. I jeśli Człowiek Iluzja chciał to zakończyć, musiał znowu wysłać tam Kai Lenga.

* * *

Kahlee i Anderson opuścili wahadłowiec, schodząc po kładce za turiańskim żołnierzem wysłanym, by ich powitał i zaprowadził do laboratorium. Sześciu naukowców wyznaczonych przez Orinię szło z tyłu.

Dok bazy Cerberusa był na tyle duży, że zmieścił się w nim nie tylko ich prom, ale też statki zespołów uderzeniowych, które przejęły stację. A i tak zostało dość miejsca na ciała.

Turianie nie skończyli jeszcze sprzątać po ataku. Kilku poległych żołnierzy zostało ułożonych z szacunkiem, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, z bronią u boku.

Poległych ludzi potraktowano w sposób kontrastowo odmienny, ciała zrzucano na stos. Grupa turian systematycznie obdzierała je ze wszystkiego, co wartościowe. Gdy kończyli, dwóch z nich łapało nieboszczyka za nadgarstki i kostki i rzucało na kupę.

Cerberus był wrogą organizacją, ale Kahlee i tak poczuła gniew, patrząc, jak obcy obchodzą się z ciałami. Spojrzała na Andersona i zauważyła, że celowo odwraca wzrok.

– Myślałam, że będą mieli więcej szacunku dla zmarłych – szepnęła, tak by nie słyszał ich turiański przewodnik.

– Turianie nie mają litości dla wroga – odparł ściszym głosem Anderson. – Przypomnij sobie, co zrobili kroganom.

Kahlee skinęła głową. Wiedziała, że turianie zrzucili na ojczystą planetę krogan genofagium – broń biologiczną, która wysterylizowała dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiątych procent mieszkańców. Cerberus sam ściągnął na siebie taki los, gdy postanowił dopilnować, by ludzkość wyeliminowała lub zdominowała inne gatunki. Z punktu widzenia turian to była walka o przetrwanie.

Poza tym nie mieli przecież zamiaru wyrzucić ciał w przestrzeń. Wszyscy martwi mieli zostać odesłani do Przymierza celem zidentyfikowania. Ta koncepcja przygnębiła Kahlee – nie mogła przestać myśleć o tych, którzy będą się musieli zająć powiadomianiem rodzin. Przekazanie wiadomości o śmierci kogoś bliskiego było samo w sobie wyjątkowo trudne, przekazanie informacji, że ktoś kochany i bliski był zdrajcą, musiało być straszne.

Na szczęście ich przewodnik narzucił szybkie tempo i wkrótce zostawili za sobą straszliwy widok. Żołnierz prowadził ich korytarzami bazy Cerberusa. Wciąż dobrze było widać ślady niedawnej bitwy: plamy krwi na ścianach i podłodze, osmalenia i dziury po pociskach.

Przechodząc obok otwartych drzwi, Kahlee dojrzała coś kątem oka.

– Chwileczkę – zawołała. – Zatrzymajmy się. Co to za pokój?

Przewodnik przystanął i odwrócił się powoli. Widać było, że nie w smak mu przyjmowanie rozkazów od człowieka. Ale Orinia obiecała Andersonowi, że turianie na stacji będą współpracować, a podwładni respektowali jej polecenia.

– To jakaś sala operacyjna – powiedział.

– Chcę ją obejrzeć.

Przewodnik skinął głową. Anderson i Kahlee weszli do środka. Turiańscy naukowcy

zaciekawieni poszli za nimi.

Pomieszczenie było urządzone surowo i praktycznie. Ogromna lampa, pod nią stół wyposażony w skórzane pasy. Wszystko schlapane krwią, której nie brakło też na podłodze.

– Nie korzystali z narkozy – mruknęła Kahlee, czując mdłości.

Sprzęt medyczny, umieszczony na wózkach na kółkach, został ustawiony pod ścianą. Niektóre urządzenia Kahlee rozpoznawała – EEG, endoskop, wiertło czaszkowe. W przypadku innych, robiących o wiele groźniejsze wrażenie, mogła tylko zgadywać.

Obejrzała dokładnie każdy z nich, próbując odgadnąć, do czego mogły być przeznaczone. Jednocześnie starała się nie myśleć o Graysonie poddawanych owym medycznym torturom.

Gdy skończyła, wraz z innymi wyszła na korytarz, gdzie czekał przewodnik.

– Muszę zobaczyć miejsce, gdzie trzymano Graysona – powiedziała.

– Musimy przejść przez laboratorium – odparł żołnierz. – Za mną.

Przemierzali dalej korytarze stacji, aż dotarli do pomieszczenia, które musiało pełnić funkcję głównego laboratorium. Pośrodku stał rząd terminali komputerowych. Przy kilku siedzieli turianie, starali się usunąć kolejne warstwy zabezpieczeń.

Analiza informacji zostawionych przez Cerberusa miała się dopiero zacząć. Wpierw zaszyfrowane dane trzeba było ostrożnie uzyskać z bazy. Potem odszyfrować. Dopiero na końcu Kahlee i inni naukowcy będą mogli otrzymać je do analizy.

Jeden z techników chodził od terminalu do terminalu, koordynując pracę zespołu.

– Doktor Sanders, jak przypuszczam – powiedział, wyciągając rękę. – Jestem Sato Davaria.

Kahlee uściśniła jego dłoń, tak samo Anderson.

– Admirał David Anderson – przedstawił się.

– To zaszczyt pana poznać – odpowiedział szczerze turianin.

Turianie byli społeczeństwem wojskowym. Nic dziwnego, że ktoś o tak wspaniałej karierze militarnej jak Anderson był wśród nich znany.

– Muszę zobaczyć miejsce, gdzie trzymano Graysona – powiedziała Kahlee.

Sato spojrział na przewodnika, który skinął głową na znak, że prośbę należy spełnić.

– Tędy – powiedział technik, prowadząc ich do drzwi na tyłach laboratorium. Pozostali naukowcy poszli za nimi. Najwyraźniej uznali tymczasowe zwierzchnictwo Kahlee.

Drzwi prowadziły do sali obserwacyjnej. Ogromne okno – zapewne jednostronne – pozwalało na obserwację wnętrza niewielkiego pomieszczenia.

Sato poprowadził ich do małego korytarza, który kończył się przy drzwiach celi. Kahlee pchnęła drzwi i weszła do środka.

W zatęchłym powietrzu unosił się nieprzyjemny odór: mieszanina zapachów potu, uryny i ekskrementów. W jednym kącie stała prycza, w drugim toaleta. Wyposażenia dopełniała półka na butelki z wodą i racje żywnościowe. Kilka paczek z jedzeniem leżało rozrzuconych na podłodze.

– Żadnej umywalki. Lustra. Pysznica – zauważyła Kahlee. – Traktowali go jak zwierzę. Próbowali odczłowieczyć.

– Był nagi, gdy został znaleziony – poinformował Sato.

– Chodźmy na górę – powiedziała Kahlee. – Chcę zobaczyć, co już zdołaliście wydobyć z bazy danych.

– Robimy postępy – wyjaśnił Sato, gdy wchodzili schodami na górę – ale powoli.

Gdy wrócili do laboratorium, Sato usiadł przed jednym z terminali. Zaczął przeskakiwać pomiędzy ekranami, aż znalazł pliki, których szukał. Nagle wszystkie wyświetlane ekrany wypełniły się tabelami, wykresami i cyframi.

Wstał z krzesła, ustępując miejsca Kahlee, i stanął za nią, gdy zaczęła przeglądać pliki. Anderson podszedł bliżej, by okazać jej swoje wsparcie.

– Spójrzcie na ten wykres – powiedziała, dotykając jednego z ekranów, który rozwinął się i wyświetlił z przodu. – Coś takiego obserwujemy u dzieci, którym niedawno wszczepiono wzmacniacze bioniczne.

– Co to znaczy? – zapytał Anderson.

– Potwierdza, że Cerberus coś wszczepił Graysonowi. Zapewne jakieś eksperymentalne urządzenie cybernetyczne.

Przeglądała dalej dane, aż rozpoznała coś jeszcze. Wspomnienie sprawiło, że przeszedł ją dreszcz.

– To też już widziałam – powiedziała cicho. – Zaawansowane badania nad SI. Nad czymś takim pracował na Sidonie doktor Qian.

– Jesteś pewna? – zapytał Anderson.

– Tak.

– To musi mieć coś wspólnego ze Żniwiarzami.

– Kim są Żniwiarze? – Kahlee nie знаła tej nazwy. Anderson zawahał się, jakby zbierał myśli. Albo zastanawiał się, ile może powiedzieć.

– To gatunek ogromnych, hiperinteligentnych statków uwięzionych w przestrzeni. Pięćdziesiąt tysięcy lat temu zniszczyli Protean. Teraz szukają sposobu, żeby powrócić i po raz kolejny zniszczyć inteligentne życie organiczne.

Kahlee zamrugła.

– Nigdy nie słyszałam o niczym podobnym.

– Wiem, jak to brzmi – przyznał Anderson. – Ale to prawda. Gdy Saren poprowadził armię na Cytadelę, to nie za nim podążali gethowie. Byli posłuszni Żniwiarzom. Saren pozostawał pod ich kontrolą.

– Saren Arterius był zdrajcą – wtrącił ostro i z goryczą w głosie Sato. – Nie próbuj go usprawiedliwiać jakąś szaloną historią.

Kahlee wiedziała, że Saren był drażliwym tematem dla turian. Początkowo otaczany czcią bohater okazał się zdrajcą i przyniósł wstyd całej swojej rasie. Ale Anderson też za nim nie

przepadał. Nie miał powodu, by coś takiego mówić, chyba że naprawdę w to wierzył.

– Jeśli to prawda – powiedziała, próbując jakoś to ogarnąć – to dlaczego o tym wcześniej nie słyszałam?

– Rada zataiła sprawę. Uznano, że nie ma przekonujących dowodów, i nie chciano wywoływać paniki. Ale pracowałem z komandorem Shepardem. Widziałem nieocenzurowane raporty. Żniwiarze istnieją.

– To nie wyjaśnia, co oni mają według ciebie wspólnego z Qianem – zauważyła Kahlee.

– Mówiłaś, że Qian miał obsesję na punkcie jakiejś starożytnej, niezwykle zaawansowanej technologii SI. Sądzę, że musiał znaleźć coś związanego ze Żniwiarzami. Musiało to wpaść Sarenowi w ręce podczas misji w Camali.

– Rozumiem. Ale nie widzę związku z Cerberusem.

– Kilka miesięcy temu Cerberus odkrył, że Zbieracze porywają ludzi z odizolowanych kolonii w Układach Terminusa, powstrzymał ich i dowiedział się, że pracują dla Żniwiarzy... tak jak kiedyś Saren!

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytał Sato.

– Widziałem raporty z misji – wyjaśnił Anderson. – Rozmawiałem z ludźmi, którzy tam byli. Nie zmyślam. Cerberus musiał pozyskać od Zbieraczy technologię Żniwiarzy. To właśnie tu robili: eksperymentowali na Graysonie, tak jak Zbieracze eksperymentowali na kolonistach!

– To idiotyzm – stwierdził technik, a naukowcy zdawali się przyznawać mu rację.

– Spójrz na dane – upierał się Anderson. – Zobaczysz, że mam rację.

Wszyscy odwrócili się do Kahlee, czekając, aż wyrazi swoją opinię. Nie miała zamiaru odrzucać teorii Andersona, ale nie była jeszcze gotowa jej zaakceptować. Nie bez dowodów.

– Dane powiedzą nam, jak było naprawdę – przypomniała im. – Cokolwiek Cerberus tu robił, musimy to odkryć.

Czternaście

Idąc krętymi uliczkami Omegi, Kai Leng nie martwił się, że ktoś go może rozpoznać. Podczas ostatniego pobytu na stacji starannie odmienił swój wygląd. Teraz zgodnie z zaleceniem Człowieka Iluzji nie nosił przebrania.

Jednak zachował wzmożoną ostrożność. Chociaż z pozoru wydawał się spokojny, jego zmysły pracowały na podwyższonych obrotach. Podczas pobytu na Omedze zawsze lepiej było mieć się na baczności. Ten przybytek bezprawia był pełen najemników i kryminalistów, każde spotkanie z nimi mogło skończyć się brutalną konfrontacją.

Kai Leng zmierzył wzrokiem dwóch zbliżających batarian, oceniając potencjalne zagrożenie. Czterookie dziwadła zauważyły to spojrzenie. Dojrzał niezdecydowanie w ich oczach: czy warto dążyć do konfrontacji, czy lepiej było odejść? W końcu dokonali właściwego wyboru i przeszli na drugą stronę ulicy.

Gdy Człowiek Iluzja po raz pierwszy wyjawiał mu, jakie będzie jego następne zadanie, Kai Leng był sceptyczny.

– Wątpię, żeby Aria T'Loak była fanką Cerberusa.

– Jest kobietą interesu – zapewnił go Człowiek Iluzja. – Przynajmniej wysłucha naszej propozycji.

– A jeśli odmówi?

– Nie szukamy zwady – przypomniał mu Człowiek Iluzja. – Próbujemy nawiązać współpracę. Potrzeba mi do tej misji kogoś zaufanego – dodał. – Mów i rób to, co ci kazałem, a wszystko się uda.

Kai Leng wyszedł zza rogu i zobaczył przed sobą Pośmiertnego. Jak zawsze kolejka ciągnęła się wzdłuż całego budynku i znikwała w sąsiedniej uliczce. Jednak tym razem nie Kai zamierzał w niej stawać.

Podszedł do krogańskiego bramkarza i oznajmił:

– Muszę się zobaczyć z Arią T'Loak.

– Nazwisko? – zapytał kroganin, gotów przekazać je komuś w środku, by uzyskać potwierdzenie, że gość jest oczekiwany.

– Nie ma mnie na liście – przyznał Kai Leng.

– To nie wchodzisz.

W dłoni zabójcy nagle pojawił się warty tysiąc kredytów czip. Wcisnął go w wielką łapę kroganina.

– Nie da się kupić wejścia do Pośmiertnego – zaśmiał się kroganin, zwracając czip.

– Powiedz jej, że mam informacje o człowieku zwanym Paul Grayson – upierał się Kai Leng, wzbraniając się przed przyjęciem pieniędzy. – Ona mogła go znać jako Paula Johnsona – dodał.

Oczy kroganina zwęziły się, ale podniósł rękę, by aktywować ukryty w kołnierzu komunikator.

– Przekaż wiadomość Aarii – powiedział do kogoś w klubie. – Jest tu jakiś człowiek i chce się z nią widzieć w sprawie Paula Graysona. Albo Paula Johnsona. Nie ma go na liście.

Przez trzydzieści sekund, podczas których czekał na odpowiedź, kroganin milczał niewzruszony. Potem wytrzeszczył oczy, słysząc w słuchawce polecenia.

– Tak. Jasne. Już go wpuszczam. – Odwrócił się do człowieka. – Aria posyła kogoś po ciebie. Idź do recepcji.

Po raz kolejny wyciągnął rękę z kredytami.

– Zatrzymaj je – powiedział mu Kai Leng, zgodnie z wytycznymi Człowieka Iluzji pozując na kogoś łaskawego.

Kroganin pokręcił głową.

– Aria powiedziała, że nie płacisz dziś w nocy za nic. W tym za wejście.

Kai Leng wziął od niego czip i schował go do kieszeni. Przeszedł krótkim korytarzem do recepcji. Poza dwoma uzbrojonymi kroganami i parą dziwek asari za ladą, których widział już przy okazji poprzedniej wizyty w klubie, czekał tam na niego batarianin.

– Połóż broń na kontuarze – powiedział.

– Sądziłem, że klientom wolno wносить broń do klubu – zaprotestował Kai Leng.

– Nie jeśli chcesz się spotkać osobiście z Aarią – odparł batarianin.

Kai Leng zawahał się, nie chcąc wchodzić do jaskini lwa nieuzbrojony.

– Zawsze możesz wpisać się na listę i wrócić, jak cię sprawdzimy – zadrwił batarianin. – Potrwa to tydzień czy dwa.

Kai Leng położył na ladzie recepcji pistolet i nóż. Jedna z asari zabrała jego broń i zniknęła na zapleczu. Druga wręczyła mu pokwitowanie i mrugnęła uwodzicielsko. Kai Leng ją zignorował.

– Stój nieruchomo podczas skanu – burknął jeden z krogan.

Wreszcie batarianin wprowadził go do klubu. Przepychał się przez tłum, torując człowiekowi drogę. Kai Leng był zadowolony, że nie musiał przeciskać się pomiędzy śmierdzącymi, spoconymi obcymi.

Klub był taki, jakim go zapamiętał: jaskinia obrzydliwej rozpusty, pełna pijanych i naćpanych gości, wirujących na zatłoczonym parkiecie w rytm nieustannego dudnienia głośników.

Weszli po schodach na wyższy poziom, gdzie muzyka nie grała już tak nieprzyjemnie głośno, a tłok łatwiej było znieść. Batarianin poprowadził go do łoży, w której za stołem siedziała Aria T'Loak.

Po obu stronach miała asaryjskie służące. Obok stał największy kroganin, jakiego Kai Leng kiedykolwiek widział. Mierzył ponad osiem stóp i musiał ważyć co najmniej pięćset funtów.

Cała menażeria była uzbrojona, a na dodatek wszystkie asari były potężnymi biotyczkami. Bardzo możliwe, że kroganin także: wśród gatunków gadopochodnych biotycy byli rzadkością, ale nie byli niczym niezwykłym. A nawet jeśli nie posiadał żadnych zdolności, to z pewnością był potężniejszy niż ktokolwiek w klubie.

Batarianin wszedł po schodkach do łoży, a potem usunął się na bok. Aria nie zaproponowała gościowi, by usiadł. Nawet gdyby to zrobiła, Kai Leng by odmówił. Może wiedziała o tym, dlatego milczała.

Kai Leng w jednej chwili zrozumiał, dlaczego Człowiek Iluzja upierał się, by szczegółowo zaplanować wszystko, co jego wysłannik miał zrobić i mówić. Jeszcze nawet się sobie nie przedstawili, a negocjacje już się zaczęły.

– Masz informacje o Graysonie? – Aria przerwała ciszę.

– Chcesz go znaleźć – odparł Kai Leng zgodnie ze scenariuszem, którego nauczył się na pamięć. – My też. Sądzę, że możemy sobie pomóc nawzajem.

Zauważył, że kroganin i batarianin przesunęli się tak, by stanąć za jego plecami. Słudzy Aarii otoczyli go.

– Nie zadaję się z ludźmi, których nie znam – poinformowała go Królowa Piratów. – Więc zacznij od przedstawienia się.

– Wiesz, że nie podam prawdziwego nazwiska – odparł Kai Leng. – Mogę coś wymyślić, jeśli chcesz, ale to strata czasu.

– Może chociaż powiesz mi, dla kogo pracujesz?

Zgodnie z instrukcją odpowiedział szczerze:

– Pracuję dla Cerberusa. Grayson był jednym z nas.

Wszyscy obcy w łoży, poza Arią, zeszywnieli.

– Co robi Cerberus w moim klubie? – zapytała zimno.

– Mój szef chce ci złożyć propozycję – odparł Kai Leng.

– Dlaczego miałabym pomóc organizacji, która chce zniszczyć mój gatunek? – zapytała Aria. – Może powinnam po prostu od razu cię zabić.

– Zabrałbym ze sobą co najmniej trzech twoich – ostrzegł Kai Leng, zapominając, że ma trzymać się scenariusza. – Może nawet ciebie, gdyby mi się poszczęściło.

Batarianin stojący za jego plecami wybuchnął śmiechem.

– Nie jesteś nawet uzbrojony. Co niby zrobisz?

Aria przechyliła głowę na bok, a na jej wargach pojawił się zamyślony uśmiech.

– Sanak, nie bądź głupi – powiedziała. – Widać, że nasz przyjaciel nie potrzebuje broni do zabijania.

– To spotkanie może się skończyć walką – rzucił Kai Leng głosem tak spokojnym, jakby rozmawiali o pogodzie. – Albo zyskiem.

– Teraz mówisz z sensem – przyznała Aria.

* * *

Aria przyglądała się uważnie człowiekowi, który wszedł do jej loży. Smukły, wytatuowany mężczyzna był z pewnością wyszkolonym zabójcą. Nie okazywał strachu ani nadmiernej brawury, idąc przez tłum z wdziękiem polującego drapieżnika. Jednak dostrzegła w jego mowie ciała odrazę. Czuł obrzydzenie, pozostali goście klubu budzili w nim wstręt. Gdyby zaszła konieczność, nie zawahałby się zabić kogokolwiek z nich i była pewna, że nie żałowałby tego.

– Człowiek Iluzja chce z tobą osobiście porozmawiać – oznajmił. – W jakimś bardziej prywatnym miejscu.

– Wolę robić interesy w klubie – poinformowała go. – Może tu do mnie przyjść, jeśli chce negocjować.

– Nie jest na tyle głupi, żeby postawić stopę na Omedze. Możesz się z nim skontaktować za pośrednictwem bezpiecznego kanału komunikacyjnego. Jeśli jesteś zainteresowana, to czeka na połączenie.

Aria musiała przyznać, że ją zaintrygował. Chciała dowiedzieć się więcej o człowieku, którego znała pod nazwiskiem Paul Johnson, i jego roli w morderstwie Liselle. Poza tym nienawiść Cerberusa do obcych była dobrze znana. Ciekawiło ją, czemu zwrócili się do niej tak otwarcie. A okazji porozmawiania z Człowiekiem Iluzją nie miała zamiaru przepuścić. To zadziwiające, ile można się dowiedzieć o przeciwniku podczas jednej rozmowy.

– Chodź ze mną – zgodziła się.

Służące wyszły z za stołu, robiąc dla niej miejsce. Poprowadziła człowieka przez klub do prywatnych pomieszczeń na tyłach. Większość z nich można było wynajmować na godziny, dni, a nawet tygodnie. Ale były i takie, które Aria zachowywała dla siebie, na te rzadkie okazje, gdy chciała robić interesy w miejscu bardziej ustronnym.

Weszli do pokoju i Aria zajęła miejsce za terminalem. Leng stanął obok, a jej służdy rozproszyli się po sali.

– Macie tu przekaz holograficzny? – zapytał.

Arii nie zirytowało to oczywiste pytanie, ale stojący w kącie Sanak prychnął:

– Nie jesteśmy dzikusami.

– Połącz mnie – poleciła gościowi Aria, ignorując batarianina i aktywując projektor.

Zrobił, co kazała, i kilka sekund później na środku pokoju pojawiła się postać dobrze

ubranego starszego człowieka z siwymi włosami i błękitnymi oczami. Siedział na fotelu i oczywiście było, że znajduje się na stacji kosmicznej. Przez okno było widać niezidentyfikowany wir mgławicy. W prawej ręce jej rozmówca trzymał papierosa.

– Aria T’Loak. – Skinął jej lekko głową. – Jestem Człowiek Iluzja.

– Szkoda, że brak ci odwagi, żeby spotkać się ze mną osobiście – powiedziała, podpuszczając go delikatnie w nadziei na reakcję.

– Jesteśmy tu po to, żeby bawić się w gierki czy rozmawiać o interesach? – zapytał niewzruszony.

Aria nie odpowiedziała od razu. Chciała, by zaczął się pocić.

Trójwymiarowy hologram wystarczył, by odczytać subtelne wskazówki mowy ciała rozmówcy. Podczas długiej chwili ciszy obserwowała, jak Człowiek powoli zaciąga się papierosem.

Ku swojemu rozczarowaniu szybko zorientowała się, że nie jest w stanie dojrzeć niczego przydatnego. Jego zachowanie było mieszaniną fałszywych sygnałów i celowej dezinformacji połączonych starannie w całość, by ukryć prawdziwe uczucia.

– Powiedziano mi, że chcesz ze mną rozmawiać – powiedziała w końcu, rozpoczynając negocjacje.

– Grayson zdradził naszą organizację – Człowiek Iluzja wyłożył karty na stół. – Ścigamy go od dwóch lat. Jestem gotów ci zapłacić za zabicie go.

– Ktoś dopadł Graysona, gdy pracował dla mnie – odparła Aria. – Zabili moją podwładną. Sądzę, że to był Cerberus.

– Nikt nie dopadł Graysona – poprawił ją rozmówca. – Uciekł, bo jego przykrywka została spalona, i sfingował porwanie, żeby zyskać na czasie.

– Przykrywka? Chcesz powiedzieć, że mnie szpiegował?

– Grayson miał zinfiltrować twoją organizację. Awansować. Stać się niezastąpionym. Ale pracując dla ciebie, przez cały czas zbierał informacje dla swoich nowych pracodawców.

Aria skupiła się na rozmówcy, zwracając uwagę na modulację głosu, sposób, w jaki siedział na fotelu, wyraz jego twarzy i mimowolne ruchy gałek ocznych. Jednak wciąż nie potrafiła wyczytać z tego żadnych dodatkowych informacji.

Tylko kilka osób w całej galaktyce było w stanie okłamać Arię T’Loak. Z niechęcią przyjęła do wiadomości, że Człowiek Iluzja jest jedną z nich. Ale to, że MÓGŁ ją okłamać, nie oznaczało, że w tej chwili to ROBIŁ.

Rozważyła to, co dotąd usłyszała. Grayson pracował dla Cerberusa, potem ich zdradził. Teraz organizacja chciała się za to zemścić. To było prawdopodobne. Co innego mogłoby skłonić Człowieka Iluzję do wysłania agenta na Omegę i na pertraktacje z nią?

Biorąc pod uwagę, że Paul zdradził poprzedniego pracodawcę, łatwo było uwierzyć, że zrobił to samo z Arią. Jednak Królowej Piratów wciąż brakowało zbyt wielu elementów układanki, aby była skłonna zaakceptować wersję Człowieka Iluzji.

– Dla kogo pracował Grayson? – zapytała.

– Dla grupy turiańskich lojalistów. Nie podobają im się rosnące wpływy ludzi w Radzie. Chcą rozwoju turiańskich interesów. Planują rajdy na Układy Terminusa.

Scenariusz był dość prawdopodobny. Chociaż turianie i ludzie byli teoretycznie sojusznikami, wszyscy wiedzieli, że nie pałali do siebie sympatią. Jeśli grupa nacjonalistów chciała poszerzenia turiańskich wpływów, Układy Terminusa byłyby logicznym początkiem ekspansji. A każdy, kto chciał się panoszyć w Układach Terminusa, wcześniej czy później musiał stawić czoła Arii.

Może Liselle odkryła tajemnicę Graysona. Mógł ją zabić, żeby go nie wydała. Ale Grayson był na tyle sprytny, by wiedzieć, że to morderstwo nie ujdzie mu na sucho. Wszyscy wiedzieli, że on i Liselle sypiali ze sobą. Gdyby znaleziono ją martwą – albo gdyby nagle zniknęła – byłby pierwszym podejrzanym. Więc uciekł z Omegi, fingując porwanie, by zmylić tropy.

Im więcej o tym myślała, tym bardziej wydawało jej się to prawdopodobne.

– Nie rozumiem jednego – powiedział Sanak, podchodząc bliżej i wtrącając się do rozmowy w typowy dla siebie grubiański sposób. – Dlaczego Grayson miałby pracować dla proludzkiej grupy, takiej jak Cerberus, a potem nagle sprzymierzyć się z bandą turiańskich nacjonalistów?

* * *

Holograficzny obraz w gabinecie Człowieka Iluzji pokazywał Arię T'Loak siedzącą w czymś, co wyglądało na bogato urządzone apartament. Asari stanowiła centrum obrazu, ale na skraju dało się dostrzec kilku innych obcych. Kai Lenga nie było widać, ale Człowiek Iluzja założył, że również jest obecny.

Gdy batarianin podszedł do Arii i wepchnął się w obraz, by zadać pytanie, Człowiek Iluzja nie odpowiedział od razu. Tworzył skomplikowaną sieć kłamstw i jeśli chciał, by Aria w nią wpadła, musiał pozwolić jej samej przeinaczyć kilka faktów.

– Nie bądź głupi – jakby na dany znak asari skarciła swojego pomagiera. – Grayson to najemnik. Nie jest lojalny wobec żadnej sprawy. Pracuje dla tego, kto da więcej.

Człowiek Iluzja był świadom istnienia nader interesującej prawidłowości. Im ktoś był mądrzejszy, tym łatwiej było sprawić, by uwierzył w skomplikowane kłamstwo. Prostolinijni osobnicy skupiali się na lukach w historii, potrzebowali wyjaśnienia w przypadku każdej z nich. Inteligentni sami łatali dziury, korzystając z logiki, rozsądku i kreatywności, by połączyć luźne nici w idealną sieć oszustwa.

Jednak bardzo ważne było dokładanie do splotu kawałków prawdy, by wzmocnić te elementy, które były fałszywe. Człowiek Iluzja wiedział, że Aria z pewnością kazała zbadać zniknięcie Graysona. Jeśli udało jej się namierzyć jego kontakty, to z pewnością natknęła się

na jedno konkretne nazwisko.

– Grayson nie pracuje sam – oznajmił. – Ma partnerkę. Kobieta o imieniu Kahlee Sanders.

Miał nadzieję, że to nazwisko wywoła u Arii jakąś reakcję, ale wyraz jej twarzy się nie zmienił. Niechętnie musiał przyznać, że była tak dobra w ukrywaniu prawdziwych uczuć jak on sam.

– Sanders to klucz do odnalezienia Graysona – kontynuował. – Nie zna prawdy. Myśli, że porzucił Cerberusa, bo uświadomił sobie niewłaściwość swojego postępowania. Sądzi też, że turianie, z którymi współpracują, służą Radzie. Jest tylko pionkiem w jego grze. Grayson ją wykorzystuje. Ale my też możemy. Jest jedyną osobą, na której mu zależy – wyjaśnił Człowiek Iluzja, doprawiając swoje olbrzymie kłamstwo drobinami prawdy. – Wcześniej czy później spróbuje się z nią skontaktować. Zmuscie ją, żeby w odpowiedzi wezwała go na pomoc, a przybędzie.

Zrobił przerwę, wiedząc, że monolog to najmniej skuteczny sposób sprzedaży kłamstw. Zawsze lepiej było, jeśli rozmowa polegała na wymianie. Aria i jej słudzy musieli się zaangażować w konwersację, jeśli jego słowa miały na nich wyrzucić pożądany wpływ.

Na szczęście batarianin grzecznie zrobił to, czego od niego oczekiwano.

– Sanders jest nietykalna – zaprotestował, potwierdzając podejrzenia Graysona, że Aria już odkryła istnienie Kahlee. – Ukrywa się w ambasadach Cytadeli.

Podczas przygotowań do porwania Graysona Kai Leng opracował wyczerpujące raporty na temat Arii i jej podwładnych.

Wygląd i zachowanie batarianina kazały Człowiekowi Iluzji przypuszczać, że ma do czynienia z Sanakiem, jednym z najdłużej służących u Arii poruczników.

– Sanders nie jest już w ambasadzie – wyjaśnił. – Turianie zabrali ją do tajnej placówki badawczej. Baza jest mocno chroniona, ale dobrze uzbrojona grupa mająca przewagę zaskoczenia zdoła ją przejąć i pojmać Sanders.

– Twoje informacje są wiarygodne? – zapytała Aria.

– Moje źródła są zawsze godne zaufania – zapewnił ją Człowiek Iluzja.

– Więc sam leć i ją porwij – zaproponował Sanak.

– Turiańscy nacjonałści wiedzą, że jesteśmy ich wrogami. Starają się śledzić nasze poczynania. Nie uda nam się przeprowadzić takiej operacji tak, by o niej wcześniej nie wiedzieli. Ale – dodał pod adresem Arii – ciebie się nie spodziewają.

– Ile to jest dla ciebie warte? – zainteresowała się Aria.

– Cztery miliony kredytów – stwierdził Człowiek Iluzja. – Jeden milion z góry. Pozostałe trzy po potwierdzonym zgonie Graysona.

– Grayson jest wart cztery miliony? – zdziwił się batarianin.

– Nie on, ale to, co wie o Cerberusie – odparła Aria. – Zna tajemnice, których Cerberus nie chce ujawniać. Może powinnam spróbować pojmać go żywcem.

Człowiek Iluzja był pod wrażeniem. Choć jego oferta była wręcz szalenie wysoka, spodziewał się, że Królowa Piratów będzie się targować choćby dla zasady. Ale była na tyle bystra, by zrozumieć, że kluczowa nie była suma kredytów, ale sam Grayson.

– Może uda ci się sprzedać jego informacje, ale nie znajdziesz kupca, który zapłaci tyle, co ja – powiedział. – Dla nas obojga Grayson jest więcej wart martwy.

Aria przemyślała to, a potem skinęła głową.

– Przyjmuję propozycję. Twój wysłannik może zostać na Omedze jako mój gość, póki nie skończymy sprawy.

– Nie – Człowiek Iluzja obojętnie odrzucił jej propozycję. – Cerberus poda ci miejsce pobytu Sanders, gdy mój człowiek bezpiecznie opuści bazę.

– Próbujesz mnie obrazić? – zapytała Aria. – Wszyscy wiedzą, że moje słowo jest święte.

– Nie dobijemy targu, póki nie skontaktujemy się z wami ponownie – upierał się Człowiek Iluzja. – Gdy podamy wam miejsce pobytu Sanders, przekażesz instrukcje dotyczące przelewu kredytów na wskazane konto i prześlemy zaliczkę.

Aria rozważała propozycję przez kilka minut, po czym skinęła głową.

– Zgoda.

Obraz zniknął, gdy Aria się rozłączyła, chcąc upewnić się, że do niej będzie należało ostatnie słowo.

Gdy Człowiek Iluzja obracał fotel, by dopalając papierosa, podziwiać widok za oknem, na jego twarzy pojawił się uśmiešek zadowolenia.

* * *

Kai Leng ugryzł się w język, by nie skomentować sposobu, w jaki Aria zakończyła rozmowę. Podejrzewał, że zrobiła to, by go zirytować, i nie zamierzał dać jej tej satysfakcji.

– Gdy opuszczę stację, jeden z naszych agentów skontaktuje się z tobą – powiedział, przypominając o ustaleniach. – Dopilnuje też przekazania pieniędzy.

– Dlaczego chcesz tak prędko nas opuścić? – zapytała Aria. – Powinniśmy uczcić nasz sojusz. Zostań chociaż na drinka. Ja stawiam.

– Skończyliśmy interesy. Jestem gotów do odlotu – upierał się Kai Leng.

Nie zamierzał spędzać w jej towarzystwie ani chwili dłużej, niż to było konieczne, i nie martwiło go, że jego szczerą odpowiedź może ją urazić. Aria zdroworozsądkowo postanowiła przyjąć ofertę. Nie zmieniałaby zdania z powodu jego nieuprzejmości. Była zbyt inteligentna, by pozwolić emocjom wejść sobie w drogę.

Asari wzruszyła obojętnie ramionami, potwierdzając jego teorię.

– Jak chcesz. Sanak, odprowadź naszego anonimowego gościa.

Batarianin wyprowadził go z prywatnego pokoju i przez klub do wyjścia. Kai Leng z radością odebrał pozostawioną w depozycie broń i opuścił dudniący muzyką klub,

zapuszczając się w zatłoczone ulice Omegi.

Przeszedł kilka przecznic, kierując się w stronę najbliższego portu, pilnując, czy ktoś go nie śledzi. Gdy upewnił się, że nie ma ogona, zmienił kierunek marszu.

Wbrew temu, co Człowiek Iluzja powiedział Aarii, nakazał Kai Lengowi pozostać na stacji.

– Miej oko na Arię i jej świętę – powiedział. – Upewnij się, że dotrzymają umowy. A jeśli nie – dodał – weź sprawy w swoje ręce. Zrób, co trzeba. Grayson nie może pozostać przy życiu.

Piętnaście

Grayson oprzytomniał w fotelu pilota turiańskiego wahadłowca, gdzie siedział z podbródkiem wspartym na piersi.

Powoli podniósł głowę.

Mięśnie karku miał zeszywniałe i obolałe. W ustach mu zaschło, straszliwie bolała go głowa i mocno się pocił: znajome pierwsze stadium odstawienia narkotyku. Cerberus nie uzupełniał już dawek w dozowniku i ciało zaczęło się oczyszczać.

Ostrożnie wstał z fotela i wyciągnął ramiona w stronę sufitu, by rozciągnąć obolałe plecy. Dopiero wtedy przypomniał sobie o odniesionych podczas walki obrażeniach: złamanej ręce, pociskach w ramieniu i nodze... Wszystko zagoiło się, gdy spał.

Dopiero po chwili dotarło do niego, co to oznacza. Żniwiarze naprawili go, gdy był nieprzytomny, ale teraz to on wstał i przeciągnął się! Znowu miał kontrolę nad swoim ciałem!

Żniwiarze wciąż w nim byli. Czuł ich głęboko w umyśle, drzemiących niczym ogromna bestia. Korzystanie z biotycznej i fizycznej siły zmusiło ich do wycofania się do mroków jego podświadomości, by tam odpoczęli.

To dowodziło, że ich moc nie była nieograniczona, ale Grayson wiedział, że gdy znowu spróbują przejąć nad nim kontrolę, będą silniejsi niż przedtem. Cybernetyka w jego ciele rozwijała się... rosła. Niedługo Żniwiarze całkiem go opanują. Nie będzie miał wielu szans.

Nagły skurcz wnętrzości zgiął go wpół. Kolejny skutek odstawienia czerwonego piasku. Pośpiesznie, ale ostrożnie przeszedł do toalety na tyłach statku. Fizjologia ludzi i turian była na tyle zbliżona, że mógł z niej skorzystać, co wielce go ucieszyło, jako że jego ciało próbowało oczyścić się z obu końców.

Minęło z dziesięć minut, nim jego żołądek uspokoił się na tyle, że Grayson mógł normalnie funkcjonować. Mimo że Żniwiarze pozostawali wycofani, wyczuwał echo ich odrazy na widok takich przejawów organicznej słabości. Jemu też się to nie podobało, ale syndrom odstawienia dał mu nadzieję. Bez czerwonego piasku miał szansę stawić czoło Żniwiarzom, gdy znów spróbują przejąć kontrolę.

Nie wiedział, czego chcą. Nie był w stanie zrozumieć czy poznać ich celów. Jednak nieważne, do czego dążyli, i tak zamierzał stanąć im na drodze.

Samobójstwo było, rzecz jasna, najprostszym rozwiązaniem. Zakończ swoje życie, a

wyeliminujesz zagrożenie. Najlepszy byłby strzał w głowę, ale Żniwiarze wyrzucili broń w próżnię razem z ciałami turian. Grayson zastanawiał się, czy to zbieg okoliczności, czy przewidzieli jego plany.

Były jednak inne możliwości. Podeszedł do apteczki umieszczonej na tyłach wahadłowca.

Objawy niepożądane.

Żniwiarze za pośrednictwem syntetycznej sieci monitorującej aktywność umysłową nosiciela wykryli zmianę w falach mózgowych. Rozpoznali wzór przemykający przez synapsy: brak nadziei, autodestrukcja. Stracili już kiedyś przez to jednostkę. Tym razem byli przygotowani.

Grayson otworzył apteczkę i zbadał jej zawartość. Medizel: końska dawka wprowadziłaby go w śpiączkę, z której mógłby się już nie obudzić. Ale czy to by powstrzymało Żniwiarzy? Czy po prostu kierowaliby jego ciałem i posłali go w kosmos jak jakiegoś zombie?

Zrezygnowawszy z leków, Grayson dostrzegł kolejną możliwość: długi, wyszczerbiony nóż. Ale podcięcie sobie żył nie wchodziło w grę z uwagi na niezwykle zdolności regeneracyjne jego ciała. Musiałby przeciąć sobie gardło na tyle głęboko, by wykrwawić się, nim Żniwiarze zorientują się, co jest grane.

Nie można pozwolić, by awatar się skrzywdził.

Żniwiarze pojęli, że Grayson stawia im coraz większy opór. Jego umysł adaptował się do sytuacji, znajdował nowe sposoby, by obronić się przed ich panowaniem. Można było kontrolować awatar różnymi metodami.

Tym razem Żniwiarze użyli układów pozostających poza świadomą kontrolą człowieka – zwiększyli poziom hormonów we krwi Graysona, nieznacznie przy tym zmieniając przepływ prądu w mózgu, by wpłynąć na jego stan emocjonalny.

Serce Graysona zaczęło mocniej bić. Próbował nie myśleć o tym, co ma zamiar zrobić, żeby nie spanikować. Gdy podnosił nóż, ręce mu drżały. Uniósł trzęsące się ostrze na wysokość szyi i zamknął oczy.

Był dziwnie zmieszany. Spodziewał się strachu i rzeczywiście bał się bardzo. Ale też przepełniały go nadzieja i radość. Czuł się silny. Zbuntowany. Triumfował!

Rzucił nóż i otworzył oczy. Nie zamierzał tego tak zakończyć. Samobójstwo było rozwiązaniem dla tchórza, stać go było na coś lepszego.

Usiadł na powrót w fotelu pilota i przyjrzał się systemom nawigacyjnym, próbując ustalić, gdzie się znajduje. Gdyby udało mu się odkryć, dokąd chcą się udać Żniwiarze, może domyśliłby się, co zamierzają.

Ku swojemu zdumieniu stwierdził, że statek jest w głębi przestrzeni Rady, orbituje wokół przekaźnika masy i tylko jeden skok dzielił go od Cytadeli... i od Kahlee.

Wiedział, że tam była, na wielkiej stacji stanowiącej serce galaktyki. Tylko tak turianie mogli go znaleźć. Musiała przekazać dane, które jej przesłał, komuś zaufanemu. A ta osoba

zaangażowała turian do pomocy.

Szybko wprowadził nowy kurs – dokładnie w przeciwną stronę. Jak najdalej od Cytadeli. Jak najdalej od Kahlee. Nie chodziło mu o jakiś konkretny kierunek. Planował po prostu wysłać wahadłowiec w najbardziej odległy, najrzadziej zaludniony region galaktyki. Przy odrobinie szczęścia byłaby to podróż w jedną stronę – skończyłoby mu się paliwo i zostałby uwięziony w dryfującym na obrzeżach kosmosu statku, pozbawiony szansy powrotu.

To był tylko inny sposób popełnienia samobójstwa, ale teraz kierowała nim potrzeba oddalenia się od Kahlee najbardziej jak mógł. Musiał ją chronić.

Dla bezpieczeństwa postanowił wysłać jej wiadomość. Zrezygnował z wizji – nie chciał, żeby zobaczyła, jakim stał się potworem. Wysłał jej przekaz audio.

Musiał ją ostrzec, by trzymała się z dala od niego, nieważne, co się będzie działo. Że nie może go szukać i starać się mu pomóc.

Coś do niej czuje.

Żniwiarze znowu wprowadzili drobną korektę. W jednej chwili Grayson zmienił się z rozsądnego mężczyzny, kierującego się moralnością i względami etycznymi, w istotę targaną najprymitywniejszymi żądzami i potrzebami.

– Kahlee, tu Grayson. Słuchaj uważnie. Muszę się z tobą zobaczyć. Natychmiast. Wyślij mi odpowiedź, jak tylko odbierzesz wiadomość.

Zakończył nagrywanie i wysłał wiadomość, całkowicie nieświadomy poczynań Żniwiarzy.

* * *

– Słuchajcie! – krzyknął Sanak do załogi zebranej w ładowni fregaty. – Lądujemy za pięć minut. Spodziewajcie się zorganizowanego i uzbrojonego oporu.

Cerberus oszacował, że będą mieli do czynienia z około dwudziestoma żołnierzami. Na wszelki wypadek Aria wysłała na tę misję czterdziestu swoich najlepszych najemników – batarian, krogan i asari.

– Turianie nie wierzą w poddawanie się – ostrzegł ich Sanak. – Więc będzie ostro.

Jego podwładni zachichotali. Nie mogli się już doczekać walki. Mieli przewagę zaskoczenia i liczebności i zwycięstwo prawie w kieszeni.

Nie tym martwił się Sanak.

– Pamiętajcie o naszym celu: pojmać człowieka żywcem! Czy to jasne? Pojmać człowieka żywcem!

Odpowiedziało mu chóralne potwierdzenie, ale to go nie zadowoliło. Wiedział, że sprawy łatwo mogą się wymknąć spod kontroli, zwłaszcza że w misji brali udział kroganie.

– To nie jest sugestia. To nawet nie jest mój rozkaz. To polecenie Arii. Jak człowiek zginie, to my też.

Poznał po wyrazach ich twarzy, że dotarło. Na wszelki wypadek powtórzył to po raz kolejny:

– Łapcie człowieka żywcem!

* * *

Prycza w pokoju, który wybrał na swoją kwaterę Anderson, była wygodna, ale nie udawało mu się zasnąć.

Nie chodziło tylko o to, że sytuacja była raczej nietypowa, chociaż pobyt w bazie Cerberusa opanowanej przez turian dostarczał dość mocnych wrażeń. Było też coś niepokojącego w zajęciu kajuty kogoś, kto teraz zapewne leżał pod ścianą w ładowni.

Tak naprawdę nie mógł zasnąć z powodów bardziej osobistych. Martwił się o Kahlee.

Obsesyjnie przeglądała dane badań Cerberusa, próbując ustalić, co zrobili Graysonowi. Turiańscy naukowcy i technicy ze wszystkich sił starali się jej pomóc, pracując na zmiany po dziesięć godzin. Ale Kahlee od przybycia na stację zrobiła sobie tylko kilka dziesięcio-, dwudziestominutowych przerw. Za bardzo się obciążała i jeśli nie przestanie, to z pewnością jej organizm podda się z wyczerpania.

Anderson przypominał jej, by zwolniła, tłumacząc, że z każdą godziną staje się coraz mniej produktywna, za to bardziej prawdopodobne jest, że popełni jakiś błąd. Zwrócił jej uwagę, że turianie mogą przeszukiwać pliki, gdy ona będzie odpoczywała, przekazując jej potem zgromadzone dane. Tak jak się spodziewał, uprzejmie wysłuchiwała tego, co miał do powiedzenia, i zapewniła go, że zna swoje ograniczenia i obiecuje przestać, gdy osiągnie kres swoich możliwości.

Wiedząc, że nie ma szans jej przekonać, Anderson sam poszedł się przespać. Ale zamiast uciąć sobie drzemkę, której tak bardzo potrzebował, leżał na plecach w zaciemnionej kabinie, wpatrując się w sufit.

Nie byłoby tak źle, gdyby nie czuł się taki bezyteczny. Na nic nie mógł się przydać analitykom, był żołnierzem.

Chwilę później, gdy zawyły alarmy, pożałował tej myśli.

Poderwał się z pryczy i wypadł na korytarz ubrany tylko w podkoszulek i bokserki. Z sąsiednich kabin wybiegło kilku turian.

Nie wiedział, co się dzieje, więc pobiegł do laboratorium. Został tam Kahlee z kilkoma uzbrojonymi żołnierzami, nie było natomiast techników i analityków.

– Co z Sato i pozostałymi? – zapytał, przekrzykując alarmy.

– Poszli po swój sprzęt – wyjaśnił jeden z żołnierzy. – Zostaliśmy zaatakowani!

Anderson z niejaką ulgą przypomniał sobie, że wszyscy turianie odbywali służbę wojskową, a biorąc pod uwagę charakter ich misji, prawdopodobnie każdy na pokładzie był żołnierzem.

– Co wiemy? – zapytał Anderson, chcąc rozeznaczyć się w sytuacji.

– Zbliży się jeden statek. Średnia fregata. Nie odpowiada na wywołanie. Wygląda na to, że szykują się do abordażu.

Ironia tego, że teraz to turianie są tymi napadanymi, nie umknęła Andersonowi. Miał tylko nadzieję, że tym razem obrońcy stacji odniosą zwycięstwo.

– Myślisz, że to Cerberus? – zapytała Kahlee.

Anderson pokręcił głową.

– Wątpię, żeby byli w stanie tak szybko przeprowadzić kontratak. Nie po ciosie, jaki mu zadaliśmy.

– Kimkolwiek są, będą tu lada chwila – ostrzegł turianin. – Trzymajmy się razem i działajmy jak jeden oddział.

– Zrozumiano – powiedział Anderson. – Gdzie mamy zająć pozycję?

Turianin pokręcił głową.

– Wy zostajecie tutaj, zamykacie drzwi i czekacie, aż bitwa się skończy.

– Oboje przeszliśmy przeszkolenie wojskowe – zaprotestowała Kahlee. – Możemy pomóc!

– Nie macie pancerzy ani kombinezonów bojowych – przypomniał jej turianin. – Nie znacie naszej taktyki. Tylko byście przeszkadzali.

– Ma rację – wtrącił się Anderson, nim Kahlee zdążyła zaprzeczyć.

Nie do końca zgadzał się z turianinem, ale wiedział, że kwestionowanie rozkazów to pewny sposób na porażkę.

– Możecie nam na wszelki wypadek zostawić jakąś broń? – zapytał.

Turianin wręczył mu swój karabin i pistolet, a potem wyszedł. Anderson podał pistolet Kahlee, nacisnął panel ścienny i wprowadził kod, by zamknąć ich dwoje w środku.

Dopiero wtedy spojrzał na karabin: standardowe turiańskie wyposażenie wojskowe. To była dobra broń, wydajna i niezawodna... Chociaż jeśli dojdzie do sytuacji, kiedy będzie musiał jej użyć, to walka i tak będzie przegrana.

– Co teraz? – zapytała Kahlee.

– Czekamy i mamy nadzieję, że kiedy znowu ktoś przejdzie przez te drzwi, będą to nasi.

Wsluchiwali się przez chwilę w wycie alarmów. Potem korytarz wypełnił huk kanonady. Przez kilka minut strzelano nieustannie, przy akompaniamencie słabych okrzyków żołnierzy wydających rozkazy i okazjonalnych eksplozji granatów.

W końcu wszystko umilkło, ale nie stopniowo. Odgłosy walki urwały się gwałtownie.

– Kryj się – szepnął Anderson.

Skulił się za ogromną konsolą na środku pokoju, opierając na jej rogu karabin i mierząc w drzwi. Kahlee z pistoletem w dłoni zajęła taką samą pozycję po drugiej stronie konsoli.

Usłyszeli ciężkie kroki, chwilę później ktoś zaczął grzebać przy zamku. Gdy drzwi rozsunęły się, ukazując kroganina w ciężkim pancerzu, Anderson i Kahlee otworzyli ogień.

Bestia, zamiast się wycofać, zaatakowała. Kroganin zdołał zrobić trzy kroki, nim pociski przebiły jego tarcze kinetyczne. Siłą bezwładu przeszedł jeszcze dwa, zwałił się jakiś metr od konsoli.

Anderson odemknął pochłaniacz ciepła, by uchronić karabin od przegrzania. Dwoch batarian wychyliło się zza przeciwległych framug i otworzyło ogień, zmuszając ludzi do ukrycia się na chwilę wystarczająco długą, by asari zdołała wejść do pomieszczenia i wywołać falę biotyczną.

Konsola przewróciła się pod wpływem ciosu, a Anderson i Kahlee polecili do tyłu. Anderson zdołał uklęknąć na jednym kolanie i wymierzyć. Kątem oka zobaczył, jak Kahlee przetacza się na brzuch i obie dłonie zaciska na kolbie, żeby móc wystrzelić z tej pozycji.

Żadne z nich nie zdążyło oddać strzału. Otoczyło ich biotyczne pole stazy wytworzone przez drugą asari. Przeciwnie siły grawitacyjne i magnetyczne unieruchomiły ich całkowicie na kilka sekund, co dało batarianom dość czasu, by wpaść do środka i ich rozbroić.

Jeden zaatakował Andersona, uderzając go w twarz kolbą strzelby, w chwili gdy pole stazy zniknęło. Admirał ogłuszony upadł na podłogę. Usłyszał krzyk Kahlee, gdy drugi batarianin z całej siły nadepnął na pistolet, który trzymała, miażdżąc jej palce swoim ciężkim buciorem.

Anderson mimo zawrotów głowy próbował wstać i walczyć. Ale nim udało mu się podnieść, batarianin rzucił się na niego, kolaniem kopiąc go w pierś i zmuszając do pozostania na podłodze. Obróciwszy głowę, Anderson dojrzał zwiniętą w kłębek Kahlee, wijącą się z bólu i przyciskającą zmasakrowane palce do podłoża.

Ku jego zaskoczeniu napastnicy ich nie zabili. Zamiast tego zmusili do wstania i skuli im ręce za plecami.

– Sanak czeka przy statku – powiedziała jedna z asari.

Anderson czuł, jak krew spływa mu po twarzy. Cios kolbą złamał mu nos i rozerwał górną wargę. Ale bardziej martwił się o Kahlee – była blada i miała nieprzytomne spojrzenie. Nagły ból spowodowany wielokrotnym złamaniem wszystkich dziesięciu palców w połączeniu z jej fizycznym i psychicznym zmęczeniem wywołał szok. Niestety, Anderson nie był w stanie w żaden sposób jej pomóc.

Wyciągnęli ich na korytarz. Wszędzie leżały ciała – w większości turian, ale wśród trupów było też kilku batarian, paru krogan i nawet jedna asari.

Prowadzono ich przez stację aż do wyrwy w kadłubie.

Wokoło kręciło się kilku żołnierzy różnych gatunków, wykonując rozkazy wykrzykiwane przez batarianina, który najwyraźniej dowodził operacją.

Stał plecami do nich, ale odwrócił się, gdy podeszli. Zobaczywszy więźniów, zaskoczony zamrugał wszystkimi czterema oczami.

– Co z nim robicie? – zapytał, wskazując karabinem na Andersona.

– Kazaleś brać ludzi żywcem – odparła jedna z asari.

– Ją, nie jego! – wykrzyknął batarianin.

– Jesteś pewny, że tego chciała Aria? – upewniła się asari.

Teraz Anderson przynajmniej wiedział, dla kogo pracuje ta banda, chociaż nie miał pojęcia, dlaczego legendarna Królowa Piratów z Omegi miałyby atakować stację.

– Dobra. Ładujcie oboje na statek.

Anderson postanowił skorzystać z okazji i się odezwać.

– Ona jest w szoku – powiedział, wskazując ruchem głowy na Kahlee. Złamany nos i puchnąca gwałtownie warga sprawiały, że mówił dziwnie i brzmiał obco nawet dla siebie. – Jeśli Aria chce nas żywych, lepiej ją opatrzcie.

– Na pokład z nimi i podajcie obojgu medyzel – rozkazał batarianin. – Potem zgrajcie dane z laboratorium i zamontujcie ładunki. Chcę stąd zniknąć, zanim przybędzie kawaleria.

Batarianie pociągnęli ich za sobą po rampie. Zostali siłą posadzeni na dwóch fotelach pod ścianą. Anderson drgnął, gdy cały ciężar jego ciała spoczął przez chwilę na unieruchomionych za plecami rękach. Ramiona przeszył mu ból. Kahlee załkała. Mógł sobie tylko wyobrazić, jaki ból sprawiały jej połamane palce miażdżone oparciem siedzenia.

– Lepiej ją rozkujcie – powiedział.

– Martw się o siebie – zasugerowała jedna z asari, wbijając mu długą igłę w ramię.

Kilka sekund później wszystko ogarnęła ciemność.

Szesnaście

Odzyskawszy przytomność, Anderson ze zdziwieniem stwierdził, że leży na ogromnej, wygodnej kanapie w luksusowo umeblowanym salonie.

Wstał, otrząsając się z sennałości spowodowanej medyzalem. Był nagi, ale podkoszulek i bokserki leżały nieopodal złożone na krześle. Zostały wyprane, nie było na nich śladu po krwi ze złamanego nosa. Obok bielizny leżały spodnie, koszula, skarpetki i nawet para butów.

Ubrał się, wciąż oszołomiony, jednocześnie rozglądając się po pomieszczeniu. Na jednym końcu znajdowały się staroświeckie dwuskrzydłowe drzwi na zawiasach, odrobinę uchylone. Przez szparę widać było duże, luksusowe łóżko. Po przeciwnej stronie drzwi były bardziej współczesne, rozsuwane i sądząc po czerwonym świetelku na panelu, zamknięte na cztery spusty.

Chociaż ubrania nie należały do niego, nawet pasowały. Starając się być cicho, podszedł do zamkniętych drzwi i na wszelki wypadek nacisnął panel. Zapiszczały, ale nie otworzyły się. Był więźniem, tyle że w luksusowym więzieniu.

Ale gdzie jest Kahlee?

Szybko, ale ostrożnie podbiegł do uchylonych drzwi i delikatnie je pchnął. Ulżyło mu, gdy zobaczył ją na łóżku, przykrytą kołdrą. Kahlee też chyba była naga, ktoś ułożył jej ubrania na krześle przy łóżku. Pochrapywała cicho, efekt stosowania medyzelu nałożył się najwyraźniej na niedobory snu.

Kiedy Anderson podszedł bliżej, z ulgą zauważył, że usztywniono jej palce. Pewnie potrwa około tygodnia, nim kości się zrosną i Kahlee odzyska pełnię władzy w dłoniach, ale przynajmniej ktoś ją opatrzył.

Zaciekawiony zerknął w lustro. Nos mu nastawiono, a warga już się zagoiła. Poza kilkoma siniakami i lekką opuchlizną nie było śladu, że coś mu się stało.

Zastanowił się, czy nie obudzić Kahlee, ale postanowił, że pozwoli jej spać. W tej chwili nie mieli żadnej możliwości ucieczki z tej złotej klatki, a Sanders potrzebowała odpoczynku. Wrócił na kanapę, położył się i przymknął powieki, tylko na chwilę.

– Hej, żołnierzu – szepnął mu ktoś do ucha. – Baczność.

Anderson natychmiast otworzył oczy. Zobaczył nad sobą Kahlee, już ubraną i w pełni przytomną.

- Musiałem przysnąć – mruknął, siadając.
- Chrapiesz jak astmatyczny elkor – powiedziała.
- Nie moja wina – zaprotestował. – Ci dranie złamali mi nos.

Kahlee uniosła w górę usztywnione szynami palce.

- Powiedziałabym, że tobie się poszczęściło.
- Jak ci się udało ubrać? – zapytał.
- Z trudnością – przyznała. – Gdybyś nie spał, mógłbyś mi pomóc – dodała.

Sytuacja była ponura, ale Anderson wysilił się na uśmiech.

– Wyglądasz, jakbyś potrzebował czegoś mocniejszego – powiedziała Kahlee. – Wiem, że ja bym się napiła. W kącie jest barek, ale ktoś inny musi nalewać.

Anderson wstał i poszedł we wskazanym kierunku.

– Tam. Otwórz kredens.

Posłuchał jej i znalazł zestaw wysokiej jakości trunków, od krogańskiego rykolu po asaryjską elasę.

Nie miał nastroju na nic egzotycznego, więc nalał im obojgu brandy.

- Z lodem? – zapytał.
- Czystą – odparła Kahlee.

Wzięła od niego szklankę oburącz, niezdarnie.

– Jakież pomysły co do tego, gdzie jesteśmy? – zapytała, napiwszy się.

– Sądzę, że Aria chce się z nami spotkać – odparł, wciąż stojąc, Anderson. – Ale nie wiem, ile będziemy musieli na nią czekać.

– Więc możesz się rozgościć. – Kahlee poklepała kanapę obok siebie.

Anderson usiadł i jednym haustem opróżnił szklankę.

– Czy to ma coś wspólnego z Graysonem? – zapytała Kahlee, gdy odstawiał naczynie na stolik.

– Jeśli nie, to mamy tu cholernie wielki zbieg okoliczności.

Kahlee sączyła swoją brandy. Anderson zdał sobie sprawę, że siedzą bliżej siebie, niż to konieczne – kanapa była szeroka. Ale kiedy próbował się przesunąć, znalazł się jeszcze bliżej.

Wiedział, że są sprawy, o których Kahlee może nie zechcieć teraz rozmawiać, ale po zastanowieniu uznał, że musi zapytać.

– Ile zdołałaś się dowiedzieć w laboratorium?

– Miałaś rację – przyznała. – Cerberus wszczepił Graysonowi jakąś technologię Żniwiarzy. Podobną do cybernetyki, ale o wiele bardziej inwazyjną. I o wiele bardziej zaawansowaną. Eksperyment był w fazie wstępnej, ale w jakiś sposób ODMIENILI Graysona. Zmienili go w... chyba sami nie wiedzieli w co.

– Czy to się da zatrzymać? – zapytał Anderson. – Odwrócić?

– Nie wiem – powiedziała cicho. – Przykro mi, że cię w to wszystko wpłatałam – dodała po kilku następnych łykach brandy. – Gdyby nie ja, nie byłoby cię tutaj.

– Bywałem w gorszych hotelach – odparł, próbując rozładować napięcie.

– Ale przynajmniej mogłeś się wymeldować – odpowiedziała ponuro.

Anderson otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Gdy to zrobił, obróciła się, by móc wtulić się w jego bok, opierając mu głowę na ramieniu.

– Damy sobie radę – obiecał jej. – Jakoś. Damy sobie radę.

Zadarła głowę, a on spojrzał jej w oczy, pochylił się powoli ku jej ustom.

Rozsuwane drzwi otworzyły się z ostrym sykiem, sprawiając, że oboje wyprostowali się gwałtownie.

– Chryste! – jęknęła Kahlee, gdy szklanka wysunęła jej się z rąk, oblewając ją resztką brandy.

Od strony drzwi dobiegł ich grubiański rechot, do pokoju weszły trzy asari, kroganin i dwóch batarian. Nim drzwi się zamknęły, Anderson dojrzał jeszcze dwóch krogan na progu.

Batarianie i kroganin uśmiechali się szeroko, Anderson podejrzewał, że to oni śmiali się przed chwilą. Rozpoznał jednego z nich, Sanaka, batarianina dowodzącego atakiem na stację. Dwie z asari były prawie identyczne, chociaż nie był w stanie ocenić, czy są bliźniaczkami, czy tylko w ludzkich oczach tak wyglądają. Trzecia, stojąca w centrum grupy, musiała być Arią T'Loak.

– Przeszkadzamy? – zapytała, uśmiechając się z lekkim rozbawieniem.

Anderson i Kahlee wstali, ale żadne nic nie powiedziało. Anderson czuł, że rumieni się ze wstydu, ale Kahlee patrzyła na intruzów z nienawiścią.

– Wiecie, kim jestem? – zapytała Aria.

– Wiemy – odpowiedziała Sanders twardo i zimno. – Czego chcesz?

– Graysona, oczywiście.

– Po co?

– To moja sprawa.

– Nie wiemy nawet, gdzie jest Grayson – zaprotestował Anderson, dołączając do rozmowy.

– Nie, ale możecie mi pomóc go znaleźć.

– O czym ty mówisz? – zapytała Kahlee.

– Włamaliśmy się na twoje konto extranetowe. Jest tam wiadomość od Graysona. Chce się z tobą zobaczyć. Wyślesz mu wiadomość, że jesteś tutaj.

– Skąd pomyśł, że on tu przyleci?

– Moje źródła twierdzą, że łączy cię z nim szczególna więź.

– Może nie aż taka specjalna, jak myśleliśmy – wtrącił się z krzywym uśmiechem Sanak. – Chyba że wpychasz język do gardła każdemu, kogo akurat masz pod ręką.

Widać było, że liczył na jakąś reakcję zakładniczki. Anderson z zadowoleniem spostrzegł, że Kahlee nic nie powiedziała, ku wyraźnemu rozczarowaniu batarianina.

– Twoje źródła mogły cię oszukać – ostrzegł Anderson, dodając dwa do dwóch. –

Cerberus zwykle tak robi.

Aria nie zadała sobie trudu zaprzeczenia, że ma coś wspólnego z Człowiekiem Iluzją.

– Cerberus miał rację co do miejsca twojego pobytu – powiedziała do Kahlee. – Mieli rację co do tego, że Grayson się z tobą skontaktuje. Dlaczego nie miałabym im wierzyć, gdy twierdzą, że przybędzie, gdy mu odpowiesz?

– Dlaczego w ogóle pracujesz z proludzką organizacją? – zapytała Kahlee.

– Mamy wspólny obszar zainteresowań: Graysona – przyznała Aria. – Zdradził i ich, i mnie.

– Chcesz go zabić! – wykrzyknęła Kahlee.

– Taki jest plan. – Sanak wyszczerzył się w uśmiechu.

– Oszaleliście, jeśli sądzą, że wam pomogę.

– Naprawdę poświęciłabyś swoje życie... wasze życia, żeby chronić Graysona?

Anderson wtrącił się, nim Kahlee zdążyła odpowiedzieć:

– A skąd mamy wiedzieć, że na końcu i tak nie zginiemy?

– Będziecie musieli zaryzykować. – Aria uśmiechnęła się przebiegle.

– Pomogę ci pod jednym warunkiem – powiedziała Kahlee. – Spróbuję tu sprowadzić Graysona, jeśli obiecasz go nie zabijać.

– Nie ty ustalasz warunki – przypomniała Aria.

– Grayson jest sprytny. Jeśli chcesz, żeby twój plan zadziałał, potrzebujesz mojej współpracy.

– I tak w końcu będziesz współpracować – powiedział Sanak, a pozostali batarianie zarechotali domyślnie.

– Nie wiem, co Cerberus ci powiedział – Kahlee zignorowała Sanaka i mówiła do Arii. – Ale wiem, że nie wszystko. Cokolwiek ci zaproponowali, nie wiesz, czego naprawdę chcą.

– Może. Ale wątpię, czy jesteś w stanie przebić ich ofertę.

– Tu masz rację – przyznała Kahlee, ale Anderson od razu wiedział, że wcale się nie wycofuje. – I nie wiem, co zaszło między tobą a Graysonem. Ale proszę tylko o to, żebyś przed podjęciem ostatecznej decyzji pozwoliła mu przedstawić swoją wersję. Możesz być zaskoczona tym, czego się dowiesz.

– Przemyślę to, co powiedziałaś – obiecała Aria. – Proponuję, żebyś zrobiła to samo. Za godzinę przyślę tu kogoś po ciebie, żebyś nagrała wiadomość dla Graysona. Niezależnie od mojej decyzji lepiej dla ciebie będzie współpracować – dodała tak lodowatym tonem, że Andersona przeszedł dreszcz.

Królowa Piratów odwróciła się i wyszła, a za nią jej świta. Drzwi zasunęły się i na panelu zapaliło się znajome czerwone światelko.

Kiedy zostali sami, Kahlee odwróciła się do Graysona.

– Dla twojej informacji – powiedziała. – To wszystko był bluff. Nie pozwolę im cię skrzywdzić. Gdy Aria wróci, zrobię, co zechce.

– Nie martw się o mnie – uspokoił ją Anderson.

– Batarianin miał rację. – Kahlee pokręciła głową. – I tak w końcu zrobię, czego chcę. Równie dobrze mogę współpracować od początku i oszczędzić nam obojgu wiele bólu i cierpienia.

Anderson wiedział, jakim Kahlee była człowiekiem. Gdyby była sama, opierałaby się aż do końca. Ale to, że on również by ucierpiał w takim przypadku, zmusiło ją do kompromisu. Wiedział jednak, że Kahlee nie poddawała się łatwo. Nadal wierzyła, że uda się uratować Graysona.

– Wciąż masz nadzieję, że zgodzi się go nie zabijać – powiedział. – Że Aria dowie się, co zrobił Cerberus, i pozwoli ci spróbować mu pomóc.

– Wiem, że to szaleństwo. Ale jeśli masz lepszy plan, to słucham.

– Dlaczego nie powiedziałaś jej wszystkiego? – zastanawiał się Anderson. – O tym, jak Cerberus wszczepił Graysonowi technologię Żniwiarzy?

– Naprawdę sądzisz, że by uwierzyła? Widziałam dane, a sama z trudem uwierzyłam. Poza tym – dodała – uznałam, że lepiej nie odkrywać wszystkich kart.

Anderson wiedział, że Kahlee potrzebuje jego wsparcia. Ale nie mógł pozbyć się uczucia, że to wszystko nie skończy się dobrze.

– Nawet jeśli powie, że go nie skrzywdzi – ostrzegł – to nie masz pewności, że mówi prawdę.

– Wiem. Ale lepsze to niż nic. I przynajmniej zasiałam ziarno wątpliwości. Teraz musimy czekać, czy wyrośnie.

Nie zostało wiele więcej do powiedzenia, więc po prostu usiedli na kanapie i w milczeniu czekali na wysłanników Aarii.

Zgodnie z obietnicą przyszli po Kahlee równo po godzinie. Anderson sądził, że Aria wysłał Sanaka, który z pewnością był w tym stadzie jednym z samców alfa. Ale przysłała wielkiego kroganina i jedną z bliźniaczek asari.

– Co Aria mówiła o Graysonie? – zapytała Kahlee, gdy weszli. – Weźmie go żywcem?

– Rozważa to – odparła asari. – A ty się namyśliłaś? Będziesz współpracować?

Kahlee skinęła głową.

– Mądra dziewczynka – mruknął kroganin, wyprowadzając ją z pokoju.

Kahlee nie było pół godziny i było to najdłuższe trzydzieści minut w życiu Andersona. Wiedział, że Sanders jest w takim samym niebezpieczeństwie i z nim, i bez niego, ale serce mu podpowiadało, że mógłby ją chronić, gdyby tylko przy niej był.

Gdy drzwi się w końcu otworzyły, Kahlee weszła do środka sama. Anderson poderwał się i podbiegł do niej.

– Co się stało? Zrobili ci coś?

Wyglądało na to, że fizycznie nic jej nie jest, ale po wyrazie jej twarzy poznał, że jest zmartwiona.

– Zrobiłam, co chcieli – powiedziała cicho. – Wysłałam Graysonowi wiadomość.

– Nie miałś wyjścia – szepnął Anderson, obejmując ją i pocieszając. – Dokonałeś najlepszego możliwego wyboru.

– Tak, dla nas – odpowiedziała. – Ale co z nim?

Siedemnaście

Wahadłowiec dryfował w przestrzeni, a Grayson na przemian tracił i odzyskiwał przytomność. Co kilka godzin zaczynał odczuwać niesamowite zmęczenie i przepadał dla świata. Gdy się budził, nie był w stanie stwierdzić, jak długo spał. Nie miał pewności, ale podejrzewał, że Żniwiarze są odpowiedzialni za te utraty przytomności.

Za każdym razem, gdy odzyskiwał zmysły, sprawdzał systemy nawigacyjne statku, by upewnić się, że Żniwiarze nie wprowadzili nowych współrzędnych, gdy on był nieprzytomny. Ale kurs pozostawał niezmienny.

Zupełnie jakby na coś czekali, oszczędzając siły na właściwą chwilę. Nie miał pojęcia, co to miałyby być za chwila.

Po szóstym czy siódmym przebudzeniu ujrzał migające na konsoli światelko sygnalizujące nadejście wiadomości. A jednak był pewien, że żadna wiadomość nie mogła nadejść. Odłączył wszystkie częstotliwości komunikacyjne, nie było sposobu, by ktoś skontaktował się bezpośrednio z wahadłowcem. Chyba że on sam zalogowałby się do sieci komunikacyjnej... On sam albo ktoś używający jego ciała.

Nagle utraty przytomności zyskały sens. Zastanowił się przelotnie, czemu przez cały czas nie utrzymywali go w stanie uśpienia. Na podstawie dotychczasowych doświadczeń wysnuł wniosek, że potrzebują go przytomnego, by prawidłowo funkcjonować. Przejmując kontrolę nad ciałem, nakładali na siebie ograniczenie jego fizycznej formy. Grayson podejrzewał, że gdy jego umysł był uśpiony, ciało stawało się powolne i niezdarne, jak u lunatyka poruszającego się we śnie.

Mogło to też być bardziej męczące dla samych Żniwiarzy. Jak już wcześniej zauważył, całkowite kontrolowanie ciała było dla nich męczące, a to tłumaczyło, dlaczego odzyskiwał przytomność i cieszył się względną swobodą.

Jeśli jego wnioski były słuszne, to właśnie pogłębił swoją wiedzę o pasożytach zasiedlających jego ciało. Oczywiście ta wiedza mogła okazać się bezużyteczna, ale na razie Grayson wierzył, że im lepiej ich pozna, tym większe będzie miał szanse w walce przeciwko nim.

Lampka wciąż mrugała. W pierwszej chwili chciał skasować wiadomość bez odsłuchiwania, być może tym samym torpedując plany Żniwiarzy.

To może być coś ważnego. Coś, co można wykorzystać w walce z wrogiem.

Gdy już wyciągał rękę, by usunąć przekaz, nowa myśl wpadła mu do głowy. Wiedza była jego jedyną bronią przeciw Żniwiarzom. Z wiadomości mógł się dowiedzieć czegoś użytecznego. Gdyby wiedział, czego chcą Żniwiarze, łatwiej by mu było ich powstrzymać. Wcisnął odtwarzanie. Był zaskoczony, gdy na ekranie pojawiła się twarz Kahlee.

– Paul. Potrzebuję twojej pomocy. Spotkajmy się na Omedze. Wysyłam ci adres. Proszę, pośpiesz się. To pilne.

Było coś dziwnego w sposobie, w jaki mówiła. Jej głos był bez wyrazu, niemal monotony. Nie było w nim typowej dla niej energii i iskry. To wzbudziło jego podejrzenia.

Może jest przerażona. Albo ranna.

Zaczynał popadać w paranoję. Tę zmianę można było wyjaśnić na milion sposobów. Możliwe było wręcz, że to nie Kahlee, ale on się zmienił. Żniwiarze głęboko ingerowali w procesy zachodzące w jego ciele, teraz już na wpół cybernetycznym.

Czuł się rozdarty. Chciał zobaczyć Kahlee i pomóc jej, jeśli miała jakieś kłopoty. Ale nie mógł narażać jej na kontakt z tym, czym się stał. Na kontakt ze Żniwiarzami.

Nie ma do kogo się zwrócić. Jest zdesperowana. Nie odtrącaj jej.

Odtworzył wiadomość jeszcze raz, skupiając się na ostatnich słowach.

– Proszę, pośpiesz się. To pilne.

Kahlee nie miała w zwyczaju dramatyzować. Jeśli powiedziała, że to pilne, musiało to być coś poważnego. W jej oczach widział rozpacz, może był jej ostatnią nadzieją. Potrzebowała go, nie mógł się od niej odwrócić.

Zdecydowawszy, co robić, Grayson wysłał odpowiedź.

– Kahlee, lecę – powiedział.

Omega jest niebezpieczna. Kiedy tam dotrzesz, będziesz potrzebował wszystkich swoich sił.

Wprowadził do komputera kurs na Omegę, a potem usiadł wygodnie i zamknął oczy. Potrzebował odpoczynku, zanim stawi czoła wszystkiemu, co mogło na niego czekać w tej otchłani bezprawia.

* * *

– Po kolei – zachęcał ją Anderson. – Rozciągaj te palce.

– Byłaby z ciebie świetna pielęgniarka – odparła Kahlee.

Siedzieli twarzami do siebie na kanapie w pokoju, którego wciąż nie wolno im było opuszczać. Kahlee trzymała przed sobą ręce, spodem dłoni do góry. Anderson podtrzymywał jej nadgarstki. Pomógł jej zdjąć łubki, żeby mogła zacząć rehabilitację. Po zakończeniu ćwiczeń miał pomóc założyć jej opatrunki z powrotem.

Siedzieli trochę bliżej siebie, niż było trzeba, ale nie na tyle blisko, by można było mówić

o intymności. Kahlee wiedziała, że oboje mają się na baczności, na wypadek gdyby znowu wtargnęła do ich więzienia Aria ze swoją świtą. Ani ona, ani David nie mieli zamiaru być obiektem kpin.

Zauważyła jednak, że po każdej rozmowie o Graysonie – na przykład tej, którą poprzedniego dnia odbyła z Arią – Anderson staje się bardziej zdystansowany i oddala się od niej. Wątpiła, by miało to coś wspólnego z zazdrością, nie bezpośrednio. Raczej wyglądało na to, że David czeka, aż ona ustali, co czuje do Paula, nim sam zanadto się do niej zbliży.

– Jesteś rozkojarzona – zauważył Anderson, wrywając ją z zamyślenia. – Skoncentruj się.

Kahlee skinęła głową i skupiła się na swoich uszkodzonych dłoniach. Po kolei zaciskała i prostowała palce. Stawy były sztywne i kruche, niemal słyszała, jak chrzęszczą przy każdym ruchu.

Byli w połowie rehabilitacji, gdy otworzyły się drzwi i do środka weszła Aria. Za nią podążała jej świta: asari, kroganin i batarianie. Kahlee odruchowo wyrwała dłonie z uścisku Andersona, a potem przeklęła się w myślach za przejmowanie się opinią bandy przestępców.

– Grayson odpowiedział na twoją wiadomość – poinformowała Aria.

– Chcę ją zobaczyć. – Kahlee wstała.

Asari pokręciła głową.

– Nie ma nic do oglądania. Zgodził się na spotkanie. Wtedy go zobaczysz.

Kahlee była pewna, że Aria coś ukrywa. Przypomniała sobie, co odkryła w danych z laboratorium Cerberusa: fizyczne anomalie, szeroki zakres mutacji, przekształcanie nosiciela.

Jak jest źle? Jak bardzo jego stan się pogorszył?

– Co teraz? – zapytał Anderson.

– Zostanę poinformowana, gdy przybędzie na stację. Wtedy moi podwładni zaprowadzą Kahlee na spotkanie.

– Też chcę iść – powiedział Anderson, stając obok Kahlee, by okazać jej wsparcie.

– To, czego chcesz, nie ma znaczenia – przypomniała Aria.

– Gdzie się z nim spotkam? – zapytała Kahlee.

– Chcę to przeprowadzić dyskretnie. W jednym z moich magazynów w dokach.

Kahlee nie podobało się, jak to zabrzmiało. Wolałaby bardziej publiczne miejsce.

– Dlaczego nie w Pośmiertnym?

– Za dużo widzów – powiedział ponuro Anderson. – Ona myśli, że dojdzie do walki.

– Obiecałaś mi, że go nie skrzywdzisz! – wrzasnęła Kahlee, robiąc krok w stronę Królowej Piratów.

W ułamku sekundy kroganin ochroniarz znalazł się pomiędzy nimi. Anderson zrobił to samo, stając przed Kahlee. Patrzyli na siebie, kroganin jaszczurze cielsko górowało nad Andersonem, ale admirał się nie cofnął.

Kroganin w końcu się odsunął, gdy Aria położyła mu dłoń na ramieniu, dając znak, że nie

martwi ją zagrożenie ze strony dwójki ludzi.

Usatysfakcjonowany Anderson zrobił krok w tył i ponownie stanął za plecami Kahlee.

– Niczego ci nie obiecywałam – przypomniała Aria. – Powiedziałam, że rozważę to, co mówiłaś o Cerberusie. Grayson prawdopodobnie już zabił jedną z moich podwładnych – dodała złowrogo. – Nie zamierzam ryzykować.

– Chcę zapewnienia, że po tym spotkaniu Kahlee i ja będziemy mogli odejść wolno – naciskał Anderson.

– Każdy chce czegoś, czego nie może dostać.

– Będziesz nas tu więziła w nieskończoność? – zapytała Kahlee. – Czy po prostu po wszystkim nas zabijesz?

– Jeszcze nie zdecydowałam – uśmiechnęła się Aria. – Ale jeśli będziecie współpracować, to wasze szanse na opuszczenie Omegi gwałtownie pójdą w górę.

– Ile czasu zostało do spotkania? – zapytała w końcu Kahlee, zrozumiawszy, że Aria ma rację.

– Za kilka godzin przyślę eskortę. Bądź gotowa.

Kahlee i Anderson stali, póki drzwi nie zamknęły się za Arią i pozostałymi.

Żadne z nich się nie odezwało, gdy odwrócili się, by na siebie spojrzeć. Kahlee zastanawiała się, czy na jej twarzy też maluje się wyraz niepokoju i troski. David delikatnie ujął ją za nadgarstki, a potem usadził na kanapie.

– Jeśli nie będziesz ćwiczyć, to ręka będzie niesprawna – powiedział.

Kahlee skinęła głową, gotowa zająć się czymkolwiek, byle nie rozważaniem wszelkich możliwych scenariuszy spotkania z Graysonem.

* * *

Aria wciąż nie zdecydowała, co zrobi z więźniami. Nie chciała ich zabijać, jeśli nie zajdzie taka potrzeba. Trupy na dłuższą metę rzadko przynosiły korzyści. Ale nie była pewna, czy powinna tę dwójkę uwolnić. Zwłaszcza Anderson wyglądał na kogoś, kto długo chował urazę, a jej nie bardzo zależało na pomnażaniu wrogów, i tak miała ich wielu. To przebieg spotkania z Graysonem miał zaważyć na jej decyzji.

Nad jego losem też wciąż się zastanawiała, co było zupełnie nie w jej stylu. Rzadko podejmowała działania, nie przemyślawszy sobie wszelkich możliwych konsekwencji. Nie mogła jednak zaakceptować współpracy z Cerberusem, nieważne, jakie korzyści mogła przynieść.

– Co robimy, gdy Grayson przyleci? – słysząc pytanie Sanaka, zaskoczona odwróciła głowę.

Nigdy nie uważała batarianina za szczególnie spostrzegawczego. Czy to możliwe, że go nie doceniała? A może tylko przypadkowo właśnie w tej chwili podjął temat?

– W magazynie będziemy mieli dużo agentów – zapewniła go. – Więcej, niż trzeba, żeby poradzić sobie niezależnie od obrotu spraw.

– Po co tyle kłopotu? Dlaczego ktoś go nie zdejmie jak tylko postawi nogę na stacji?

– Nie zdecydowałam jeszcze, czy chcę go żywego, czy martwego – ostrzegła.

– Jeśli pozwolisz mu żyć, to lekką ręką pozbędziesz się czterech milionów kredytów – zaprotestował Sanak. – Dlaczego?

– To dobre pytanie – odpowiedziała, a batarianin zdumiony pokręcił głową.

Nie zamierzała wyjaśniać mu swoich wątpliwości. Oferta Cerberusa była szczodra... odrobinę zbyt szczodra. Co takiego Grayson wiedział? Czy mogła z tego wyciągnąć jakąś korzyść?

– To kupa kasy – mruknął Sanak. – Tylko mówię. Dla takiej kasy nie pozwoliłbym mu żyć.

Nagle Aria zdecydowała, co zrobi, przynajmniej w sprawie Graysona. Sanak miał wiele zalet. Był lojalny, wyszkolony, bezwzględny i niestrudzony. Ale miał też pewną wadę: widział tylko terażniejszość. To, że on przyjąłby ofertę Cerberusa, znaczyło, że ona powinna ją odrzucić.

– Jeśli to będzie możliwe, chcę Graysona żywego – oznajmiła. – Ale jeśli będzie stawiał opór, zabijcie go.

Sanak wykrzywił się z niezadowoleniem, ale był na tyle mądry, by się nie sprzeciwić.

– Orgun będzie dowodził zespołem w magazynie – dodała, uznając, że dawna niechęć między jej porucznikiem a Graysonem zwiększała ryzyko, że ten drugi postrada życie.

– A ja?

– Ty zajmiesz się Kahlee. Dopilnuj, żeby czekała tam na niego.

Osiemnaście

Palce Graysona pewnie poruszały się po panelu kontrolnym turiańskiego wahadłowca. Człowiek był zaskoczony tym, jak łatwo opanował sterowanie statkiem obcych – zupełnie jakby tysiące razy wcześniej miał okazję pilotować turiańskie jednostki. Lądowanie na Omedze przebiegało bez najmniejszych zakłóceń.

Spotkanie z Kahlee miało się odbyć w magazynie w dzielnicy kontrolowanej przez Arię. Grayson nie był pewien, czy to dobrze, czy źle. Czy Kahlee miała coś wspólnego z Arią, czy to był tylko przypadek? W końcu Aria kontrolowała co najmniej trzecią część całej stacji, przy czym taki sam teren pozostawał pod władzą jej sprzymierzeńców. Szanse na to, że wybrana przez Sanders lokalizacja znajdzie się na terenie podległym Arii, były więc jak dwa do jednego.

Aria jest potężna. Zagrożenie. W miarę możliwości unikać.

Nie zaszkodziło zachować ostrożności. Nie wiedział, jak Aria zareagowałaby na jego powrót, szczególnie że znikając, zostawił za sobą trupa Liselle. Wolał tego nie sprawdzać, więc wylądował w jednym z nielicznych portów, które nie płaciły jej haraczu.

Od wyznaczonego miejsca spotkania dzielił go kawał drogi, ale poruszał się sprawnie i mimo że nie biegł, to i tak kolejne uliczki tylko migały mu przed oczami. Ku swojemu zaskoczeniu stwierdził, że oddech mu nawet nie przyspieszył.

Szedłby jeszcze szybciej, gdyby nie czuł przemożnej potrzeby, aby raz po raz przyjrzeć się różnym konstrukcjom i wybranym fragmentom architektury. Wszystko to widział już wcześniej, ale teraz miał wrażenie, jakby patrzył na to po raz pierwszy: dostrzegał każdy szczegół i porównywał go z jakimś nigdy niewidzianym, a zapamiętanym planem.

Krąg trwa. Każda cywilizacja coś zmienia, ale dzieła naszego rodzaju są wieczne.

Przypadkowość architektury na Omedze była wręcz przysłowiowa. Większość mieszkańców wierzyła, że wybudowali ją Proteanie w pradawnej wydrążonej asteroidzie, ale przez wieki inne gatunki odcisnęły na niej swoje piętno. Brak jakiegokolwiek spójności zabudowy sprawiał, że stacja wyglądała na przypadkową kreację. I choć Grayson nigdy nie zwracał na to uwagi, teraz odkrył, że ten chaos jest dla niego z filozoficznego punktu widzenia obraźliwy.

Jednak choć efekt całościowy napelniał go odrazą, to każdy pojedynczy element, któremu

się przyglądał podczas swojej wędrówki, wywoływał jego rozbawienie. Przypominało mu to wszystko mrówczą farmę, jaką miał, będąc dzieckiem. Owady pracowały z niewolniczym poświęceniem, budując tunele, kształtując wnętrze małej szklanej kasetki, która była ich wszechświatem. Obserwował, jak się mozoliły, zupełnie nieświadome tego, że w perspektywie całej galaktyki ich wysiłek jest absolutnie nieistotny.

Zbliżał się do dzielnicy magazynów. Niebawem znowu zobaczy Kahlee. Sama myśl o niej przyprawiła go o szybsze tętno i tempo. Szedł zupełnie bez wysiłku, jakby pchała go naprzód jakaś niewidzialna siła. Jednak to nie było to samo uczucie jak wtedy, gdy Żniwiarze przejmowali kontrolę nad jego ciałem. Wtedy zostawał oddzielony od swojej fizycznej formy, stawał się biernym obserwatorem. Teraz czuł się w pełni zaangażowany w proces stawiania jednej stopy przed drugą, by podążać naprzód. Po prostu nie wymagało to od niego żadnego wysiłku. Zupełnie jakby ktoś mu pomagał.

Symbioza.

Grayson zatrzymał się gwałtownie, a jego spokój i odprężenie zniknęły przesłonięte ciemną chmurą podejrzeń. Próbował odwrócić się i pójść z powrotem w stronę, z której przyszedł, ale nagle jego nogi stały się ociężałe i niezdarne. Zdołał zrobić tylko dziesięć kroków, nim zgiął się wpół, walcząc o oddech. Jego własne ciało z nim walczyło, stawiało opór.

Powoli docierała do niego straszliwa prawda. Technologia obcych tak mocno stopiła się z jego ciałem i umysłem, że Żniwiarze stali się teraz jego nieusuwalną częścią. Gdy szedł do Kahlee, działali razem, pasożyt i gospodarz połączeni wspólnym celem. Wpływ, jaki na niego mieli, sięgał do takiej głębi jego istoty, że nie tylko nie był w stanie się im przeciwstawić, ale wręcz pomagał w osiągnięciu ich celów.

– Nie! – wykrzyknął gniewnie i buntowniczo. – Nie zabiorę was do niej!

Przygotował się na nieuniknioną falę bólu, za pomocą którego obcy będą próbować uczynić go sobie powolnym, ale nic takiego nie nastąpiło. Brak oporu go zdumiał. Wiedział, że oni wciąż są obecni – przewody i rurki wystające z jego kończyn i krzyżujące się pod skórą stanowiły tego aż zbyt widoczny dowód. Ale nie dostrzegał ich. Przestali być NIMI. Teraz byli jego częścią, kawałkiem własnej tożsamości, nieodłącznym i nie do odróżnienia.

To dobrze. Wpływać można w obie strony.

W jego głowie pojawiła się szalona myśl. Jeśli teraz technologia Żniwiarzy stanowiła jedność z nim samym, to może mógłby na nią wpływać, kontrolować tak samo, jak wcześniej Żniwiarze kontrolowali jego ciało. Może będzie w stanie korzystać z cybernetycznych ulepszeń i zdolności biotycznych. Może mógłby je wykorzystać do własnych celów.

Jesteś istotą wyższą niż te żalosne twory ciała, które cię otaczają.

Wnioski były oszałamiające. Wyzwalające. Wzniósł się ponad powolny, mozolny proces selekcji naturalnej. Wyrwał się z zamkniętego kręgu przekazywania przypadkowych mutacji genów z pokolenia na pokolenie. Zmieniał się sam, szybko i celowo. Ewoluował, by stać się

istotą doskonałą.

Nie ukrywaj tego, kim się stałeś. Pokaż im ogrom swojej wspaniałości.

Bał się spotkania z Kahlee, bo bał się tego, co może o nim pomyśleć. Wyglądał dziwnie. Inaczej. Ale ona była naukowcem, zrozumie i doceni ten niesamowity proces przemiany. Dostrzeże, jak się ulepszył. Odmienił. Będzie go podziwiał. Uwielbiać.

Obróciwszy się na pięcie, znowu ruszył w stronę magazynów, nie mogąc się doczekać spotkania, na które jeszcze kilka minut wcześniej nie chciał iść.

* * *

Kai Leng siedział na kanapie w małym pokoju, który wynajął dwa dni wcześniej, i jadł, nie odrywając czujnego spojrzenia od ekranu. Obraz pokazywał tyły Pośmiertnego.

Kryjówka Lenga znajdowała się niecałą przecznicę od klubu. Zdezelowany, zrujnowany budynek został przez przedsiębiorczego volusanina zmieniony w motel z pokojami na godziny. Korzystali z niego przede wszystkim goście klubu, którzy mieli ochotę na szybki numer, a nie stać ich było na prywatny pokój w Pośmiertnym.

Lokum Kai Lenga było marnie oświetlone i śmierdziało tu mieszaniną potu i wymiocin obcych. Ale motel znajdował się na tyle blisko klubu, że agent Cerberusa mógł pozostać w ukryciu, a jednocześnie błyskawicznie reagować, gdyby coś się wydarzyło.

Obraz na ekranie pozostawał niezmienny. Kai Leng wiedział, że to, co wyglądało na solidną ścianę, było w rzeczywistości doskonale zamaskowanymi drzwiami prowadzącymi do prywatnych pomieszczeń na tyłach klubu. Szerokokątna soczewka kamery szpiegowskiej pokazywała kompletnie pustą uliczkę. W przeciwieństwie do głównego wejścia, gdzie zawsze kłębił się tłum, o drzwiach z tyłu wiedzieli tylko zaufani słudzy Aarii.

Człowiek Iluzja nakazał swojemu agentowi pilnować podwładnych Królowej Piratów i sprawdzić, czy rzeczywiście zamierzają wyeliminować Graysona. Kai Leng, działając samotnie, nie był w stanie śledzić wszystkich. Postanowił więc skoncentrować się na Sanaku, batariańskim poruczniku Aarii. Mniej doświadczony agent mógłby spróbować śledzić samą Aarię. Ale to znacznie zwiększyłoby ryzyko, że ktoś go w końcu zauważy. Nadto Kai Leng był pewien, że Królowa Piratów nie zaryzykuje spotkania z Graysonem twarzą w twarz. Prawie nigdy nie opuszczała klubu.

Człowiek Iluzja zebrał dane o organizacji Aarii i roli batarianina, Kai Leng wiedział więc, że Sanak był rozsądnym wyborem. Był ogarem Aarii, tępym narzędziem. Kiedy sytuacja wymagała użycia przemocy lub siły fizycznej, on wkraczał do akcji.

Instynkt nie zawiódł Kai Lenga. Trzy dni wcześniej Sanak wyszedł z klubu przez wyjście dla VIP-ów z przodu. Leng śledził go i mógł obserwować, jak batarianin zbiera najemników i wraz z nimi odlatuje ze stacji. Gdy statek powrócił następnego dnia, na jego pokładzie byli też Kahlee Sanders i admirał David Anderson, jeden z najbardziej uhonorowanych żołnierzy

Przymierza.

Od razu było widać, że ludzie byli więźniami, a nie gośćmi. Gdy ogromny kroganin przynosił nieprzytomne ciała narzucone na ramiona, Leng dostrzegł kajdanki na ich rękach.

W bezpiecznej odległości podążył za Sanakiem i jego zakładnikami do Pośmiertnego. Najemnicy trzymali się mało uczęszczanych uliczek, by nie zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi. Dotarłszy do klubu, użyli ukrytego tylnego wejścia, mimowolnie zdradzając jego istnienie swemu niewidzialnemu cieniowi.

Jak na razie wszystko szło zgodnie z planem Człowieka Iluzji – Sanders została porwana i teraz Aria wykorzystywała ją jako przynętę dla Graysona. Kai Leng oceniał, że do samego spotkania został co najmniej dzień. Gdziekolwiek Grayson teraz przebywał, skontaktowanie się z nim i ustalenie szczegółów musiało potrwać. To dawało agentowi dość czasu, by zakupić sprzęt, zamontować kamerę, wynająć ohydny pokój w motelu i przygotować sobie jedzenie na czas obserwacji.

Monitor był bezprzewodowy. Gdy Kai Leng musiał skorzystać z toalety, zabierał go ze sobą, by nic nie przegapić. Ustawił też alarm wykrywający ruch na ekranie, co pozwalało mu się zdrzemnąć. Jednak nigdy nie spał zbyt długo. Nie ufał całkowicie handlarzowi, który sprzedał mu sprzęt, i podświadomie bał się, że podczas jego drzemki monitor może nawalić.

Nie miał zamiaru pozwolić sobie na najmniejszy błąd. Nie gdy wszystko zmierzało do ostatecznego rozwiązania.

Podwładni Arii wnieśli Kahlee tylnymi drzwiami, z pewnością tą samą drogą zamierzali ją wyprowadzić na spotkanie z Graysonem. Teraz musiał tylko obserwować i czekać.

* * *

Anderson wiedział, że nadchodzi ta chwila.

– Jesteś gotowa? – zapytał Kahlee.

– Bardziej już nie będę.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił ją. – Tylko trzymaj się planu.

Kiedy Aria zostawiła ich samych, omówili wszystko i ustalili, że jeśli chcą z tego ująć z życiem, musieli trzymać się razem. Poza tym Anderson nie zamierzał w żadnym razie dopuścić do tego, by Kahlee poszła sama na spotkanie z Graysonem.

Wziął głęboki oddech, by się uspokoić, siłą woli zmuszając dudniące jak oszalone serce do zwolnienia rytmu.

Kilka minut później drzwi uchylily się i do środka wmaszerował Sanak. Anderson nie spodziewał się akurat jego, ale to nic nie zmieniało. Co więcej, ta okoliczność mogła zadziałać na ich korzyść.

Za batarianinem weszła para krogan z bronią wyciągniętą, na wypadek gdyby więźniowie czegoś próbowali.

– Czas iść – warknął Sanak. – Ruszaj się.

Kahlee buntowniczo skrzyżowała ręce na piersi, uważając, by nie zginać uszkodzonych palców. Anderson zrobił to samo.

– Idziemy razem albo w ogóle nie idę.

Sanak wyciągnął pistolet i podszedł bliżej, celując w głowę Kahlee.

– On zostaje. Ty idziesz albo umierasz.

– Nie zabijesz mnie – powiedziała spokojnym i pewnym głosem. – Jestem ci potrzebna do spotkania.

Batarianin odchylił głowę w prawo, podświadomym gestem okazując odrazę i frustrację. Potem odwrócił się i wycelował w Andersona.

– On nie jest nam potrzebny – ostrzegł. – Idziesz ze mną albo jego mózg wyląduje w kawałkach na podłodze.

– Nie zrobisz tego – stwierdził Anderson. – Grayson będzie ostrożny. Sprawdzi miejsce spotkania. Nie pokaże się, póki nie zobaczy Kahlee. A jeśli zauważy, że coś jest nie tak, to zniknie.

– Jeśli chcesz, żeby plan się powiódł, potrzebujesz mojej współpracy – dodała Kahlee. – Jeśli w jakikolwiek sposób skrzywdzisz Andersona, nie licz na moją pomoc.

Anderson niemal widział, jak szare komórki Sanaka pracują. Aria z całą pewnością wyjaśniła mu, jak ważne było doprowadzenie Kahlee na spotkanie. Batarianin próbował wymyślić sposób, jak wykonać jej rozkazy i jednocześnie nie pozwolić więźniom na dyktowanie warunków.

– Masz dwa wyjścia – wyjaśniła powoli Kahlee. – Pierwsze: David idzie ze mną i wszyscy udajemy się na spotkanie z Graysonem. Drugie: próbujesz go powstrzymać od pójścia z nami i do spotkania nie dochodzi.

– I wtedy wyjaśniasz Arii, w jaki sposób spaliłeś misję – dodał Anderson.

Podejrzał, że porucznik był dobry w wypełnianiu rozkazów. Miał nadzieję, że w improwizacji miał gorsze wyniki. Od tego zależało powodzenie ich gambitu.

Sanak opuścił pistolet. Spojrzał na nich, potem schował broń do kabury.

– Jeśli ktoś z was spróbuje po drodze jakichś sztuczek, zabiję – ostrzegł.

Dziewiętnaście

Alarm poinformował Kai Lenga o ruchu na ekranie, ale niepotrzebnie, bo agent ani na chwilę nie oderwał oka od monitora. Obserwował, jak Sanders, Anderson, Sanak i dwóch krogańskich strażników wychodzą z Pośmiertnego.

Kai Leng chwycił nóż i pistolet i wyszedł z wynajętej klitki. Nie kłopotał się zabieraniem sprzętu. I tak nie był mu już potrzebny.

Zignorował windę i zbiegł schodami, pokonując po dwa stopnie naraz. Dotarł na parter i wypadł na zewnątrz budynku. Wybiegł zza rogu w sam czas, by zobaczyć, że tamci dotarli do skrzyżowania uliczki na tyłach Pośmiertnego z główną ulicą.

Dla postronnego obserwatora wyglądałoby jak grupka przyjaciół, idących może odrobinę zbyt blisko siebie, ale Kai Leng dobrze wiedział, że jest inaczej. Sanak prowadził, na plecach miał zamocowany karabin, na biodrze kaburę z pistoletem. Anderson i Sanders, oboje bezbronni, szli za nim. Pochód zamykało dwóch krogan z karabinami – w przeciwieństwie do Sanaka broń nieśli nonszalancko w rękach.

Zachowując bezpieczną odległość, Kai Leng szedł za nimi przez handlową i mieszkalną część centralnej dzielnicy Omegi. Gdy dotarli do słabo oświetlonego terenu przemysłowego, sklepy i domy ustąpiły magazynom.

Grupka pod wodzą Sanaka zniknęła w magazynie na końcu przecznicy. Choć na ulicy było ciemno, Kai Leng zauważył, że okna budynku zostały zasłonięte lub zamalowane, by ukryć to, co dzieje się wewnątrz.

Agent schował się w łuku drzwi domu obok, mógł obserwować obie strony ulicy, sam pozostając niewidoczny. Czekał na przybycie Graysona. Cel pojawił się zaledwie godzinę później.

Wygląd Graysona nie zmienił się zbyt wiele od czasu, gdy Kai Leng widział go ostatnio. Włosy miał trochę dłuższe, brodę bardziej zmierzwiłą, syntetyczne ulepszenia odrobinę bardziej widoczne. Za duże ubranie osłaniało większą część zmodyfikowanego ciała, ale trudno było nie zauważyć rurek biegnących po jego szyi do głowy. Czy też przewodów pulsujących pod naciągniętą, niemal przezroczystą skórą policzków i rąk.

Człowiek Iluzja ostrzegł Kai Lenga, by ten nie próbował atakować Graysona, chyba że to będzie absolutnie konieczne. To nie był już ten człowiek, którego agent z taką łatwością

pokonał w celi i naszprycował narkotykami. Grayson stał się czymś o wiele potężniejszym. Plan Cerberusa zakładał, że to podwładni Aarii wykonają całą brudną robotę. Kai Leng miał tylko dopilnować, żeby tak się stało, i zdać raport swojemu szefowi.

Nawet gdyby Leng nie został ostrzeżony, i tak wyczułby, że coś się zmieniło. Grayson poruszał się z płynnością i wdziękiem, których wcześniej nie było w jego ruchach – jak drapieźnik, myśliwy szukający ofiary.

Grayson minął Lenga w odległości zaledwie pięciu metrów. Zabójca odruchowo wsunął się głębiej w cień, ale tamten go nie zauważył, tylko od razu skierował się ku wejściu do magazynu.

Zatrzymał się tuż przed drzwiami i zaczął kręcić głową, oglądając budynek. Sprawiał wrażenie pełnego podejrzeń, jakby wyczuwał pułapkę.

Kai Leng wstrzymał oddech, modląc się, by Grayson wszedł do środka.

* * *

Grayson szybkim krokiem przeszedł ulicę. Ulepszony wzrok pozwalał mu widzieć wszystko dokładnie mimo mroku. Zauważył samotną postać czającą się w cieniu bramy, ale uznał ją za nieistotną. Przybył tu, by spotkać się z Kahlee, reszta go nie interesowała.

Gdy dotarł do umówionego miejsca, zawahał się, nagle ostrożny. Dlaczego Kahlee wybrała ten odizolowany magazyn? Dlaczego nie chciała się z nim spotkać w miejscu publicznym? Wedle wiadomości, którą mu wysłała, miała kłopoty, może była zbyt przerażona, by pokazać się gdzie indziej.

To może być pułapka. Czy Sanders jest lojalna? Czy można jej ufać?

Potrząsnął głową, odrzucając idiotyczną myśl, że Kahlee mogłaby go zdradzić. Ryzykowała tak wiele, pomagając jemu i Gillian w ucieczce przed Cerberusem. Mogła stracić obiecującą karierę, a nawet życie, ale i tak nie zawahała się pomóc Graysonowi i jego córce.

Gillian.

Gillian była teraz bezpieczna, nawet Człowiek Iluzja nie był w stanie jej znaleźć na pokładzie quariańskiej jednostki badawczej. Zalały go wspomnienia o córce, której nie widział od ponad dwóch lat: to, jak się uśmiechała, jak mówiła. Gillian była wyjątkowa – autyzm utrudniał jej komunikowanie się z innymi. Dlatego mimo ogromnego potencjału radziła sobie gorzej niż inne dzieci z Projektu Podniesienie.

Projekt Podniesienie.

Celem projektu była pomoc ludzkim biotycznym dzieciom w kontrolowaniu i rozwijaniu ich zdolności. Kahlee starała się zwłaszcza w przypadku Gillian, zajmując się nią więcej niż pozostałymi dziećmi.

Biotyczne dzieci.

Nie wiedział wiele o pozostałych uczniach. Podczas pobytu Gillian w Akademii

odwiedzał ją tylko dwa razy do roku, tak jak mu kazał Człowiek Iluzja. Ale był pewien, że Kahlee zajmowała się ze szczególną troską każdym z uczniów Akademii Grissoma. Był przekonany, że znała na pamięć...

Gdy Grayson uświadomił sobie, co się dzieje, zmusił się, by skoncentrować uwagę na czymś innym. Żniwiarze stali się silniejsi. Pogłębiła się więź między pasożytem a nosicielem. Jego myśli były dla nich widoczne. Grzebali w jego wspomnieniach, kawałek po kawałku przyswajając sobie jego wiedzę. I nagle bardzo się zainteresowali Kahlee i jej rolą w Projekcie Podniesienie.

Przerażony próbował odwrócić się i uciec. Musiał znaleźć się jak najdalej od Kahlee. Żniwiarze zareagowali, miażdżąc go całym ciężarem swojej woli. Starał się im przeciwstawić, ale w tej walce nie miał nawet cienia szansy.

Zmusili go, by ruszył naprzód. Krok po kroku zbliżał się do drzwi, aż był na tyle blisko, by unieść rękę i nacisnąć panel otwierający.

Grayson opierał się, próbował korzystać ze sztuczek, których używał wcześniej, by się im przeciwstawić. Na próżno. Żniwiarze stali się o wiele silniejsi, niż przypuszczał. Dotąd jedynie go zwodzili, manipulowali nim, ukrywając prawdziwą moc.

Drzwi rozsunęły się i Grayson wszedł do marnie oświetlonego magazynu. Zobaczył Kahlee stojącą na środku pomieszczenia. Na jej twarzy odmalowały się odraza i litość.

– Grayson – powiedziała, niemal wybuchając płaczem.

Ale choć jego uwaga była skupiona na niej, Żniwiarze byli w pełni świadomi wszystkiego wokoło. Kahlee nie była sama – towarzyszył jej tuzin uzbrojonych osobników.

Gdy Żniwiarze zorientowali się, że to pułapka, jego krwiobieg wypełniła adrenalina i Grayson już wiedział, że zaraz rozpęta się piekło.

* * *

Podwładni Arii byli już na miejscu, gdy Anderson i Kahlee dotarli do magazynu: tuzin na parterze, ośmiu na balkonie wzdłuż tylnej ściany. Skrzynie i wózki widłowe zostały tak rozmieszczone, by zapewniać najemnikom osłonę. Ustawiono je w półkole, tworząc zagrodę przy wejściu.

Anderson od razu przejrzał ich plan. W chwili gdy Grayson wszedłby wystarczająco daleko w głąb magazynu, część żołnierzy Arii stanęłaby za nim, blokując drogę ucieczki, i zostałby otoczony ze wszystkich stron. To był dobry plan, ale miał jedną niewielką wadę: żeby zwabić Graysona na właściwe miejsce, Kahlee musiała stać wewnątrz półkola... i dokładnie na linii ognia, gdyby coś poszło nie tak.

Wyraził głośno swój sprzeciw, ale nikt go nie słuchał. Orgun, ogromny kroganin dowodzący operacją, kazał Kahlee zająć miejsce i czekać na Graysona. Andersona umieścił w ciemnym kącie z tyłu magazynu i nakazał Sanakowi go pilnować. Batarianin stanął przy

człowieku z karabinem w gotowości, na wypadek gdyby więźnia trzeba było powstrzymać przed zakłóceniem spotkania.

Ze swojego miejsca Anderson nie mógł dostrzec Kahlee, ale miał widok na drzwi magazynu. I natychmiast zobaczył, że Grayson wszedł do środka.

Admirał przeżył prawdziwy wstrząs. Kahlee wspominała, że technologia Żniwiarzy odmieniła Graysona, ale Anderson nie spodziewał się, że do tego stopnia. Graysona nie można już było nazwać człowiekiem – stał się bezimiennym bluźnierstwem.

Jego skóra była naciągnięta i odbarwiona. Pod nią widać było elementy cybernetyki połączone z ciałem, jakby od środka pożerały go maszyny.

Przypominał Andersonowi kolonistów zmienionych w zombie na Eden Prime. Nie było sposobu, aby odwrócić tamte przemiany. Obawiał się, że w przypadku Graysona może być tak samo.

Usłyszał, jak Kahlee wypowiada jego imię, a potem Orgun zrobił krok w stronę przybysza, zasłaniając Andersonowi widok.

– Poddaj się – ryknął wielki kroganin, podnosząc karabin i celując w plecy Graysona – albo zginiesz na miejscu.

Grayson przykucnął gwałtownie, odwrócił się i rzucił na kroganina, zgięty w pół tak mocno, że niemal wydawało się, że gna na czterech kończynach. Stało się to w ułamku sekundy, Grayson poruszał się tak szybko, że oczy zebranych za nim nie nadążały.

Orgun strzelił, ale zaskakująca szybkość i niezwykłość zachowania Graysona zaskoczyły go. Odruchowo wycelował w górną część torsu i jego strzały przeleciały nad człowiekiem, nie czyniąc mu krzywdy.

Ci najemnicy, którzy mieli szybki refleks, wystrzelili kilka razy, ale ich strzały jedynie znaczyły podłogę w miejscach, gdzie Grayson był chwilę wcześniej.

Grayson rzucił się na Orguna, stusześcdziesięcioletni człowiek na niemal pięćsetfuntowego kroganina. O dziwo, to Orguna zderzenie zbiło z nóg i poszło w powietrze, wytrącając mu z rąk karabin.

Gdy najemnicy opanowali zaskoczenie wywołane niespodziewanym atakiem, magazyn wypełnił huk wystrzałów. Grayson w odpowiedzi wytworzył barierę biotyczną, a powietrze wokół niego zamigotało od nagle uwolnionej energii. Kule zostały złapane przez silne pole grawitacyjne, natychmiast wytraciły pęd i spadły na podłogę.

Anderson kątem oka zerknął na Sanaka. Batarianin był tak samo jak pozostali zaskoczony atakiem Graysona i dopiero otrząsał się z szoku. Zapomniał o człowieku, którego miał pilnować, a całą uwagę skupił na starciu. Gdy zrobił krok w stronę walczących, Anderson kopnął go z półobrotu w bok głowy. Sanak stracił równowagę i upuścił karabin w beznadziejnej próbie ratowania się przed upadkiem. Anderson rzucił się całym ciężarem na batarianina i zbił go z nóg. Przez chwilę obaj próbowali sięgnąć do upuszczonej broni.

Anderson był na górze, co dawało mu większe szanse. Zdołał złapać kolbę, ale batarianin

wykręcił mu rękę, unieruchamiając ramię i uniemożliwiając podniesienie karabinu.

Mimo to Anderson nacisnął spust. Trafił Sanaka w udo, rozerwał mięśnie i zmusił do rozluźnienia uścisku. Tyle wystarczyło, by Anderson podniósł karabin i wcisnął lufę w brzuch przeciwnika, a potem wystrzelił jeszcze trzy razy.

Czworo oczu Sanaka rozszerzyło się niedowierzająco, a ciało zwiotczało. Anderson sturlał się z niego, wciąż zaciskając dłonie na karabinie. Batarianin otworzył usta, ale wydobyło się z nich tylko wilgotne chrząknięcie. Zakaszał, a z ust pociekła mu ciemna krew.

Anderson wystrzelił jeszcze raz, celując w serce. Ciało Sanaka zadrżało, głowa opadła na bok, oczy zaszklily się i zmatowiały, gdy uleciało z nich życie.

Całe starcie potrwało mniej niż pół minuty, ale przez ten czas strzelanina na drugim końcu magazynu ucichła. Podniósłszy głowę, Anderson zauważył ciała kilku najemników Aarii – w tym Orguna. Zwłoki były sponiewierane i powykręcane, a kończyny sterczały pod dziwnymi kątami – jak zawsze u zabitych silnym atakiem biotycznym. Ale niektórzy zostali chyba skatowani na śmierć, ich głowy były zniekształcone, jakby potraktowane prasą lub młotem.

Nigdzie nie widać było Graysona... ani Kahlee.

Biegając ku drzwiom magazynu, Anderson rozumiał, że tylko on został przy życiu. Nie miał pojęcia, co stało się z Kahlee, ale w myślach tworzył tysiące scenariuszy, a żaden z nich nie był pocieszający.

Lękając się najgorszego, otworzył drzwi. Za nimi w marnie oświetlonej uliczce znalazł Kahlee, całą, zdrową i samą. Patrzyła w dal.

– Jesteś cała? – Podbiegł do niej.

Odwróciła się, słysząc jego głos.

– Nic mi nie jest – powiedziała. – Gdy zaczęli strzelać, starałam się trzymać przy ziemi. Na szczęście nikt we mnie nie celował.

– Co z Graysonem?

– Zniknął – odparła. – Przebił się przez najemników Aarii i uciekł. Pobiegli za nim.

Anderson zrozumiał, że to ich szansa. Przez jakiś czas będzie panował chaos, gdy podwładni Aarii będą próbować powstrzymać Graysona od ucieczki ze stacji. Wszyscy skupiali się na nim, co dawało Kahlee i Andersonowi szansę na ucieczkę.

– Chodź – powiedział. – Zniknijmy stąd.

– Jak? – zapytała.

– Musimy tylko znaleźć kogoś, kto ma statek i nie jest na usługach Aarii – wyjaśnił, wiedząc, że łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

Z podcieni sąsiedniego budynku wyszedł nieznany mu mężczyzna.

– Może będę wam mógł w tym pomóc – powiedział na powitanie.

Dwadzieścia

Kai Leng usłyszał odgłosy wystrzałów dochodzące z wnętrza magazynu. Chwilę potem, gdy Grayson, wciąż żywy, wyszedł z budynku, dotarło do niego, że najemnicy Aarii zawiedli. Kai Leng ponownie skrył się w cieniu, unikając konfrontacji. Był lojalny wobec Cerberusa, ale nie był samobójcą.

Grayson zaczął biec, a sekundę później z magazynu wypadło trzech uzbrojonych krogan. Potężni kroganie biegali szybciej niż ludzie dzięki mocno umięśnionym nogom. Z tym że Grayson nie był już człowiekiem. Cybernetyczne ulepszenia Żniwiarzy dawały mu niesamowite przyśpieszenie, zdążył przebiec trzydzieści metrów, zanim kroganie wystartowali.

Biegli i strzelali jednocześnie, ale bez większych sukcesów. Nie dość, że uliczka była marnie oświetlona, to jeszcze Grayson pędził zygzakami, skręcając raz po raz. Ale nie miał szans na całkowite uniknięcie kul.

Siła uderzenia sprawiła, że Grayson się potknął i zmylił krok. Obrócił się, wyrzucając ramię w stronę ścigających. Powietrze zdawało się drgać i falować pod wpływem ciemnej energii.

Kai Leng nie miał wątpliwości, że gdyby kroganie byli bliżej, to uderzenie starłoby ich na proch, łamiąc kości i zmieniając organy wewnętrzne w płyn. Grayson oddalił się od przeciwników na tyle, że nim biotyczny cios do nich dotarł, wytracił część siły. Zamiast ich zmiażdżyć, tylko zwałił z nóg.

Nim wrogowie zdołali się pozbierać, Grayson był już daleko. Utykał, ale to go zbytnio nie spowalniało.

Z magazynu wypadły posiłki: pół tuzina batarian i jeszcze dwóch krogan. Rzucili się za Graysonem, strzelając, ale on był już poza zasięgiem ich kul.

Kiedy przebiegał pod jednym z nielicznych świateł, Kai Leng mógł ocenić jego obrażenia. Krew płynęła z kilku ran na prawym udzie. Lewa ręka zwisała dziwnie przy boku. Prawdopodobnie kula strzaskała Graysonowi ramię. Jego obrażenia były poważne, ale żadne nie wyglądało na śmiertelne. Jakimś cudem nie został trafiony w tors ani głowę.

Chwilę później Grayson znikł za rogiem. Kai Leng stał nieruchomo, podczas gdy najemnicy Aarii przebiegali obok. Wątpił, czyby się zatrzymali, zauważywszy go:

najwyraźniej przede wszystkim chcieli dopaść Graysona. Ale Leng nie zamierzał ryzykować.

Kilku z nich wykrzykiwało polecenia do odbiorników w hełmach, bez wątpienia wzywając posiłki. Kai Leng miał przeczucie, że to im się na nic nie zda.

Było niemal pewne, że Grayson będzie próbował uciec ze stacji, a tego nie życzyłby sobie Człowiek Iluzja. Jednak obserwacja nieudanej zasadzki dawała Kai Lengowi nadzieję. Rany Graysona były dowodem, że mimo potęgi Żniwiarze nie byli nietykalni. Jeśli któryś z najemników Arii zdołałby strzelić prosto w głowę, groźba mogłaby zostać wyeliminowana.

Wciąż tkwił w kryjówce, zastanawiając się, co robić, gdy na ulicę wyszła Kahlee Sanders. W głowie Kai Lenga zaczął kiełkować nowy pomysł.

Gdyby Grayson opuścił Omegę, Cerberus będzie musiał znowu go wytropić. Człowiek Iluzja powiedział Arii T'Loak, że Sanders była w tym względzie kluczem. Po wydarzeniach na Omedze to stwierdzenie mogło już być nieaktualne. Niemniej istniał cień szansy, że będzie ją można ponownie wykorzystać jako przynętę i po raz drugi wywabić Graysona z kryjówki.

Podczas gdy Kai Leng rozważał swoje następne posunięcie, David Anderson wyszedł z magazynu i dołączył do Sanders. Miał pistolet, ale to Lenga wcale nie zmartwiło. Gdyby doszło do konfrontacji, był pewien swojej przewagi nad tamtą parą. Tylko nie był przekonany, czy siła jest w tym wypadku właściwym rozwiązaniem.

Wyszedł z kryjówki i szybko, ale cicho ruszył w ich stronę. Trzymał się blisko ścian, starając się iść w cieniu, by nie zobaczyli go za wcześnie. Ułatwiał mu to fakt, że Sanders i Anderson skupiali się wyłącznie na sobie.

– Musimy tylko znaleźć kogoś, kto ma statek i nie jest na usługach Arii – mówił właśnie Anderson, gdy Kai Leng znalazł się na tyle blisko, by ich słyszeć.

Działając pod wpływem impulsu, wyszedł z cienia i oznajmił:

– Może będę wam mógł w tym pomóc.

Kahlee zrobiła szybko krok w tył, a Anderson uniósł pistolet.

– Kim jesteś? – zapytał.

Kai Leng stał na tyle blisko, że był w stanie rozbroić admirała, nim ten zdąży strzelić. Ale wiedział, że jeśli Cerberus chce znaleźć Graysona, będzie im potrzebna współpraca Sanders. Zamiast uciekać się do przemocy, sięgnął po bardziej drastyczne metody: prawdę.

– Nazywam się Kai Leng. Mam statek w jednym z portów poza sferą wpływu Arii.

– I przypadkiem spacerujesz po tej dzielnicy? – stwierdził Anderson, nie starając się ukryć sceptycyzmu. Wciąż celował w pierś Kai Lenga.

– Jest z Cerberusa – powiedziała Kahlee, dodając dwa do dwóch. – Człowiek Iluzja wysłał go, żeby szpiegował Arię. Chciał się upewnić, że ona wykończy Graysona.

– Mamy wspólne cele – zapewnił ich Kai Leng, nie starając się zaprzeczać oskarżeniom.

– Wszyscy chcemy wydostać się ze stacji i wszyscy chcemy znaleźć Graysona. Powinniśmy działać razem.

– Albo możemy cię zastrzelić tu i teraz. – Anderson złowrogo poruszył pistoletem.

– Moglibyście spróbować – zgodził się Kai Leng. – Ale jak wtedy ucieklibyście z Omegi?

– Nie wszyscy podlegają Arii – odparła Kahlee. – Znajdziemy kogoś.

– A ile to potrwa? Nie macie dużo czasu. Teraz Aria zajęta jest polowaniem na Graysona, ale kiedy on ucieknie, a to mu się na pewno uda, przypomni sobie o was.

– Zaryzykujemy – powiedział Anderson, naciskając spust.

Kai Leng już był w ruchu, umykając kuli z drogi. Nim Anderson zdążył znowu wycelować, zabójca złapał go za nadgarstek, przesuwał go w dół i wyginając pod bolesnym kątem.

Broń wysunęła się z bezwładnych palców admirała, ale nadal próbował walczyć i kopnąć Kai Lenga kolaniem w krocze. Jednak agent zablokował cios, obracając biodra, tak że kolano admirała trafiło go w udo.

Kahlee dołączyła do potyczki, kopiąc Kai Lenga w plecy. Absorbował siłę uderzenia, rzucając się naprzód saltem, nie puszczając przy tym nadgarstka Andersona. Admirał padł na ziemię.

Kai Leng skrzyżował nogi i podciął Kahlee, przewracając ją na nich obu. Na chwilę oszołomił Andersona, wbijając mu łokieć w splot słoneczny, uwolnił się błyskawicznie spod ciężaru Sanders, podniósł upuszczony pistolet i wstał.

Wycelował w swoich przeciwników. Nie zrobił im krzywdy, chociaż cios w brzuch na chwilę pozbawił Andersona tchu.

Kai Leng trzymał pistolet skierowany w ich stronę na tyle długo, by dać do zrozumienia, że gdyby chciał, już dawno by ich zabił, a potem wsunął go za pas.

– Cerberus nie jest waszym wrogiem – powiedział. – Jesteśmy obrońcami ludzkości. Nie mamy nic do was.

Kahlee ostrożnie wstała. Anderson wciąż miał problemy ze złapaniem oddechu. Wyciągnęła rękę, by pomóc mu wstać, ale on tylko pokręcił głową i kaszląc i charcząc gramolił się na nogi.

– Nie próbuj ze mną waszych propagandowych gadek – warknęła Kahlee, nie zamierzała się poddać nawet po tym, jak Kai Leng okazał im swoją fizyczną przewagę. – Wiemy, czym naprawdę jesteście. Widziałam, co zrobiliście z córką Graysona. Widziałam, co zrobiliście z nim.

– Czasem większe dobro wymaga poświęcenia jednostek.

– Gówno prawda – wtrącił się Anderson. – Usprawiedliwiajcie się, jak chcecie. Jesteście zwyczajną bandą terrorystów.

– Żniwiarze są zagrożeniem większym niż cokolwiek, czemu do tej pory musiała stawić czoło ludzkość – przypomniał Kai Leng. – Możecie uważać, że Człowiek Iluzja posunął się za daleko, ale to było konieczne, żeby zdobyć informacje o naszym wrogu. Od tego zależy przetrwanie naszego gatunku.

– Stworzyliście potwora i wypuściliście go na wolność! – wrzasnął Anderson.

– To tak samo wasza jak i nasza wina. Ale obwinianie się nawzajem nic nam nie da. Musimy współpracować, żeby pochwycić Graysona.

– Nie pomogę wam go zabić – oznajmiła Kahlee. – Więc albo nas zastrzel, albo spadaj.

– Widzieliście, czym stał się Grayson – naciskał Kai Leng. – Możecie sobie wyobrazić, do czego jest teraz zdolny. Musi zostać powstrzymany.

– Sami po sobie sprzątacie – Anderson poparł Kahlee.

– Możemy mu pomóc – powiedział Kai Leng, pewny, że teraz Kahlee przynajmniej go wysłucha. – Mamy wiedzę i możliwości, żeby odwrócić przemianę – skłamał. – Ale niedługo będzie za późno. Grayson zostanie pochłonięty przez Żniwiarzy.

Sanders nie odpowiedziała od razu, więc Anderson odwrócił się do niej.

– To prawda? – zapytał. – Mogą to odwrócić?

– Może – odpowiedziała. – Nie wiem. Ale jeśli jest choć niewielka szansa, że można go ocalić...

Urwała.

– Nawet jeśli to oznacza współpracę z Cerberusem? – zapytał cicho Anderson.

Kahlee skinęła głową.

– Zabierz nas na ten cholerny statek – burknął Anderson.

– Tędy – Kai Leng wskazał drogę. – Chyba rozumiecie, że wolałbym, żebyście nie szli za mną.

* * *

Aria siedziała jak zawsze w Pośmiertnym, gdy jedna z jej służących asari przyniosła wiadomość o nieudanej próbie pojmania Graysona żywcem.

– Orgun i Sanak nie żyją – powiedziała. – Grayson ucieka, Keedo prowadzi pościg.

Królowa Piratów zachowała kamienną twarz.

– A Sanders i Anderson?

Służąca pokręciła głową.

– Nie wiem. Keedo nie powiedział.

– Więc co tu robisz? – zapytała zimno Aria.

– Keedo prosi o wsparcie. Mówi, że Grayson został... odmieniony.

– Odmieniony? Jak?

– Ma jakieś cybernetyczne ulepszenia. Nie opisał ich szczegółowo.

Aria przeklęła się w duchu za zaufanie Cerberusowi. Nie miała wątpliwości, że wiedzieli o ulepszeniach Graysona. Może nawet byli za nie odpowiedzialni. Jednak nie wspomnieli jej o tym. Gdyby wiedziała, może wysłałaby na spotkanie więcej żołnierzy... i może rozważyłaby jeszcze pomysł pojmania go żywcem.

Ale była też zła na siebie. Chcąc pomścić śmierć Liselle, zaakceptowała propozycję

Cerberusa, mimo że nie była do niej przekonana. Pozwoliła, by uczucia względem córki zmieniły jej ocenę. Emocje wpłynęły na interesy. Drugi raz nie zamierzała popełniać tego błędu.

– Daj Keedo, czego chce – powiedziała. – I wyślij do wszystkich wiadomość: Grayson ma zginąć. Jeśli to możliwe, ograniczcie straty wśród cywilów, ale nie będę nikogo pociągała do odpowiedzialności za przypadkowe ofiary.

Służąca skinęła głową i oddaliła się, by przekazać polecenia.

Aria patrzyła za nią, sącząc drinka i rozmyślając o tym, jak powinna się zemścić na Cerberusie i Człowieku Iluzji.

* * *

Grayson mógł tylko obserwować z pełnym fascynacji przerażeniem, jak Żniwiarze szerzą jego ciałem śmierć i zniszczenie. Zakopali go tak głęboko w jego własnym umyśle, że niemal całkiem stracił łączność ze swoją fizyczną formą. Wciąż mógł widzieć i słyszeć, ale już nic nie czuł. Wiedział, że został postrzelony, ale ból był tak odległy, że nie miał żadnego znaczenia.

Ucieczka z magazynu była dopiero początkiem. Biegając ulicami Omegi, miał wrażenie, że wszyscy próbują go zabić. Zdawało mu się, że za każdym rogiem natyka się na patrol albo blokadę. Aria posłała na niego wszystkie swoje siły. Grayson zastanawiał się, czy to wystarczy.

Żniwiarze zmienili go w niszczyielską broń, ale ich potęga nie była nieskończona. Nieustanne ataki zmuszały ich, by sięgali po rezerwy energii zmagazynowane w jego ciele. Za każdym razem, gdy z nich czerpali, stawali się trochę słabsi i bardziej wrażliwi. Grayson już widział skutki: każda potyczka była coraz trudniejsza i bardziej niebezpieczna.

Pierwszą grupę, która stanęła mu na drodze, zmiotła bez trudu osobliwość biotyczna. Jednym ruchem jego nadgarstka Żniwiarze stworzyli punkt niemal nieskończonej masy dokładnie pomiędzy czwórką asari przyczajonych za rogiem. Pole grawitacyjne wchłonęło je natychmiast, nim zdołały sięgnąć do własnych zdolności biotycznych.

Następna grupa wrogów – mieszany oddział ludzi i batarian – padła ofiarą okrutnej rzezi. Grayson rzucił się na nich, nim zdążyli sięgnąć po broń, a jego ręce i nogi stały się zabójczymi narzędziami, które miażdżyły, uderzały i rozrywały przeciwników na kawałki. Pod koniec walki Żniwiarze przystanęli na chwilę, by zebrać broń upuszczoną przez wrogów, a potem zmusili ciało Graysona do biegu z karabinem w każdej ręce.

Broń palna pozwoliła im na zmianę taktyki. Zamiast pokonywać wrogów siłą biotyczną lub walką wręcz, mogli walczyć, biegnąc ulicami. W przeciwieństwie do podwładnych Arii Grayson nie miał pancerza, więc Żniwiarze nie wdawali się w wymianę ognia. Wystrzelili w szybką serię, potem się wycofywali, znikając za rogiem albo umykając w jeden z licznych

zaułków. Korzystając z szybkości i zwrotności, niszczyli bariery kinetyczne i większe skupiska wrogów, eliminowali jeden oddział po drugim, aż droga była wolna.

W normalnych okolicznościach taka strategia byłaby niewykonalna. Technologiczny postęp pozwolił na zredukowanie odrzutu nowoczesnej broni, ale ilość wystrzeliwanych nabojów zmuszała strzelających do używania obu rąk. Nawet kroganin nie był na tyle silny, by strzelać z dwóch karabinów naraz, ale Grayson obchodził się z nimi z taką łatwością, jakby to były pistolety.

Karabiny nie były raczej cenione z uwagi na celność. Nawet z automatycznym systemem celowania wbudowanym w broń szanse na wielokrotne trafienie pojedynczego ruchomego celu były niskie. Ale syntetyczne ulepszenia Graysona pozwalały Żniwiarzom osiągnąć niezwykłą precyzję i strzelać z obu karabinów dokładnie w to samo miejsce. Przy tak skoncentrowanym ostrzale bariery kinetyczne nie wytrzymały długo, a gdy tylko cel tracił osłony, Żniwiarze eliminowali go idealnie celnym strzałem w głowę.

Podwładni Arii walczyli najlepiej jak mogli, ale żaden organiczny przeciwnik nie mógł się równać z bezwzględną wydajnością niemal idealnej maszyny do zabijania. Jednak nawet mierzenie z precyzją celownika laserowego wyczerpywało rezerwy energii Żniwiarzy. Niezależnie od tego, jak bardzo Grayson przewyższał swoich wrogów, musiał w końcu ulec ich liczbie. Po dwudziestym trupie stracił rachubę w ofiarach Żniwiarzy, ale wiedział, że Aria ma o wiele więcej sług.

Zorientowawszy się w bezsensowności walki z całą armią, Żniwiarze zaczęli szukać sposobu na ucieczkę ze stacji. Zabudowa Omegi tworzyła labirynt przypadkowych budynków. Pełno tam było ślepych uliczek i dróg donikąd. Ale podczas dwóch lat pracy dla Arii Grayson tak samo jak inni mieszkańcy zapoznał się ze stacją.

Teraz Żniwiarze sięgali do tej wiedzy, czerpiąc ją wprost z jego umysłu. Nie mógł zrobić nic, by ich powstrzymać, został zredukowany do roli podręcznej biblioteczki, w której mogli grzebać, kiedy chcieli.

Wciąż walcząc z kolejnymi oddziałami Arii, Żniwiarze obrali kurs na najbliższy port. Żaden z tych kontrolowanych przez Arię nie był mocno strzeżony – większość mieszkańców dobrze wiedziała, że Królowej Piratów nie kradnie się statków. Tylko garstka strażników próbowała powstrzymać Graysona. Szybko dołączyli do swoich poległych towarzyszy, chociaż ktoś zdążył jednak uruchomić alarm.

Grayson wiedział, że wyjąca syrena oznacza przybycie posiłków za mniej niż dwie minuty, i w chwili gdy o tym pomyślał, zdał sobie sprawę, że Żniwiarze też o tym wiedzą.

Kazali mu biec do małego jednoosobowego wahadłowca. Rampa była podniesiona, śluza zamknięta. Żniwiarze unieśli dłoń Graysona i położyli ją na panelu ochrony. Z palców wystrzeliły błękitne iskry. Gdy Żniwiarze grzebali w oprogramowaniu, przez jego myśli przemknęła sekwencja kodów, a chwilę później włącz otworzył się z cichym kliknięciem.

Żniwiarze nie czekali, aż rampa się wysunie. Upuściwszy karabiny, złapali rękami

Graysona za dolną krawędź wjazdu i podciągnęli się do środka.

Drużyna batarian dotarła do portu, w chwili gdy zaryczały silniki. Zaczęli strzelać do wahadłowca, ale ich broń była bezużyteczna wobec masywnego kadłuba.

Statek oderwał się od zatoki, przemknął gładko przez lśniąca barierę energetyczną grubości mikrona, która utrzymywała wewnątrz stacji atmosferę z określoną temperaturą.

W przeciwieństwie do Cytadeli Omega nie była uzbrojona od zewnątrz. Nie było flot patrolowych, żadnych wież GARDIAN-a ani akceleratorów masy. Żniwiarze, wyszedłszy poza zasięg działania patroli i żołnierzy obecnych na stacji, mogli uciec bez problemu.

Gdy wahadłowiec opuścił stację, Żniwiarze znowu zaczęli przeszukiwać pamięć i umysł Graysona. Szybko zdał sobie sprawę, że szukają wszystkiego, co wiedział o Projekcie Podniesienie: nazwiska, lokalizacja, procedury bezpieczeństwa.

Nie próbował już nawet z nimi walczyć: to nie miało sensu. Złamali jego wolę. Pocieszał się tylko tym, że nawet przy pełnym dostępie do jego myśli Żniwiarze nie zdołają odnaleźć Gillian. Jego córka była bezpieczna... choć nie dało się tego powiedzieć o jej kolegach z Akademii.

Żniwiarze nie wprowadzili od razu kursu na Akademię Grissoma. Wpierw otworzyli kanał komunikacyjny i połączyli się z Extranetem. Mając dostęp do trylionów terabajtów informacji z niemal całej galaktyki, nie potrzebowali wiele czasu na znalezienie tego, czego szukali.

Mając potrzebne informacje, Żniwiarze zaczęli wpisywać linijki kodu. Podczas swojej służby w Cerberusie Grayson poznał podstawy hakowania. Widział już coś takiego: było jasne, że Żniwiarze tworzą jakiegoś wirusa.

Jego palce, prowadzone przez SI jego panów, poruszały się nad cyfrowym interfejsem statku. Grayson próbował nadać za tym, co się stało, ale złożoność i ilość danych przekraczały możliwości pojmowania organicznego umysłu.

Minęło piętnaście minut, nim byli w pełni usatysfakcjonowani efektem swojej pracy. Zalogowali się ponownie do Extranetu i wysłali wiadomość do Akademii Grissoma. Akademia miała firewalle i wiele poziomów ochrony antywirusowej, ale Grayson wiedział, że te protokoły bezpieczeństwa nie mają szans w starciu ze złośliwym programem stworzonym przez Żniwiarzy.

Gdy Żniwiarze wprowadzali kurs do Akademii, Grayson wyczuwał, że niemal wyczerpali siły. Rozpacзлиwa ucieczka z Omegi zmusiła ich awatara do wykorzystania całej energii. Musieli naładować baterię, ale Grayson nie liczył na to, że uda mu się przy tej okazji odzyskać kontrolę nad ciałem.

Wahadłowiec przyspieszył do nadświatłowej, zmierzając do najbliższego przekaźnika masy, by rozpocząć sekwencję skoków do wybranego przez Żniwiarzy celu. Wtedy Żniwiarze wyłączyli Graysona, pogrążając go w głębokim, pozbawionym marzeń śnie.

Dwadzieścia jeden

Kahlee i Anderson szli kilka kroków przed Kai Lengiem. Opuścili dzielnicę magazynów i skierowali się do jednego z obszarów mieszkalnych Omegi. Zabójca instruował ich, jak mają iść.

– W lewo za tym rogiem. Prosto przez trzy przecznice. Tutaj w prawo. Następna w lewo.

Nie biegli, ale i nie zwlekali, powodowani wspólnym pragnieniem opuszczenia stacji najszybciej, jak to możliwe.

Gdy przemierzali kręte uliczki, umysł Kahlee pracował z zawrotną szybkością.

Myślała o Graysonie i obietnicy Kai Lenga, że Cerberus go ocali. Chciała mu wierzyć, ale wiedziała, że ktoś pracujący dla Człowieka Iluzji nie zawaha się skłamać, by skłonić ją do współpracy.

Bazując na tym, co zapamiętała, starała się odtworzyć całą wiedzę, jaką zdobyła o Graysonie podczas analizy raportów w laboratorium. W większości były to spekulacje i teorie, nawet naukowcy kierujący operacją nie wiedzieli, czego się spodziewać.

Dlatego też nie była w stanie zweryfikować słów Kai Lenga. Nie miała dość czasu, by przestudiować dane. Najemnicy Arii zaatakowali bazę zbyt szybko.

Jednak była w stanie odgadnąć, w jakim kierunku zmierzały ich działania. Badania skoncentrowali na danych dających się zmierzyć i przyporządkować: fizycznych zmianach i odchyleniach we wzorach fal mózgowych. Nie zadali sobie trudu przeprowadzenia testów psychologicznych, nie próbowali odkryć celu straszliwej przemiany. Po co Żniwiarze rozwinęli tę technologię? Dlaczego Zbieracze porywali i przekształcali ludzi? Czego chcieli Żniwiarze? Jaki był ich prawdziwy cel?

Kahlee zdawała sobie sprawę, że gdyby poznała odpowiedź na te pytania, wiedziałaby, dokąd teraz uda się Grayson. Ale nie miała pewności, czy podzieliłaby się tą wiedzą z Kai Lengiem.

* * *

Anderson zauważył, że idąca obok Kahlee pograżyła się w głębokich rozmyślaniach. Nie miał wątpliwości, o czym myślała: nie była gotowa zrezygnować z Graysona.

On też nie planował się poddawać. Agent Cerberusa skopał mu tyłek, ale admirał nie zamierzał słuchać rozkazów kogoś, kto podlegał Człowiekowi Iluzji.

Kai Leng był umięśniony i sprawny, ale nie był dużym mężczyzną. Anderson był co najmniej dwadzieścia funtów cięższy. Gdyby starli się w ciasnym pomieszczeniu – na przykład w kabinie pilota na wahadłowcu – mógł mieć szansę na wykorzystanie swojej przewagi fizycznej.

– W prawo na tym skrzyżowaniu – powiedział Kai Leng.

Skręcili w długą, wąską uliczkę. Na jej końcu znajdował się mur oddzielający jedną dzielnicę od drugiej, a w nim duża brama. Przed nimi wznosiła się wzmocniona, sięgająca ludziom do pasa barykada – biegła półkołem, tworząc coś na kształt małego bunkra. Stało w nim pięciu uzbrojonych turian.

Na pierwszy rzut oka wydawali się wręcz znudzeni, opierali się nonszalancko o barykadę lub siedzieli na niej. Jednak ujrawszy ludzi, szybko zajęli obronne pozycje za zaporą.

– Kim oni są? – zapytała Kahlee.

– Talonowie – odparł Kai Leng. – Kontrolują dzielnicę za barykadą.

Podczas swojej służby dyplomatycznej Anderson otrzymywał regularne raporty z całej galaktyki. Większość pochodziła z przestrzeni Rady, ale niektóre dotyczyły najważniejszych lokalizacji w Układach Terminusa, na przykład Omegi.

Dzięki tym raportom Anderson wiedział, że Talonowie byli największym niezależnym gangiem na Omedze. Jak większość gangów zajmowali się sprzedażą narkotyków, szmuglowaniem broni, wymuszeniami, zabójstwami na zlecenie i handlem niewolnikami. Za drobną opłatą pozwalali również statkom i wahadłowcom, których załogi chciały uniknąć kontaktów z organizacjami podległymi Arii, cumować w swoich portach.

Ich sposób prowadzenia interesów okazał się zyskowny i powoli rozszerzali swoje wpływy na stacji, wchłaniając mniejsze gangi. Jednak Anderson zdawał sobie sprawę, że sukces Talonów bazował w dużej mierze na ich woli pokojowego współistnienia z Królową Piratów, a nie na stawianiu jej czoła.

– Aria mogła wysłać nasze rysopisy do każdego gangu na stacji – ostrzegł. – Jeśli wyznaczyła nagrodę, Talonowie mogą nas wydać za pieniądze.

– W tej chwili Talonowie i Aria nie są w najlepszych stosunkach – zapewnił ich Kai Leng. – Nawet gdyby wiedzieli, że nas ściga, nie chcieliby jej pomóc.

Turiańscy strażnicy przyglądali się podchodzącym ludziom. Dwaj unieśli broń, a trzeci wyszedł zza barykady. Anderson był zaskoczony, widząc, że poza pistoletem ma on też przy pasie ogłuszacz krótkodystansowy. Zakładał, że Talonowie to zbiry, które najpierw strzelają, a potem pytają. Jednak wyglądało na to, że czasem woleli obezwładnić przeciwnika.

Po zastanowieniu uznał, że ma to sens. Osobnicy korzystający z talońskich doków nie zaliczali się do przykładowych obywateli. Kłótnie o płatności były nieuniknione, a strzelanie do klientów nie służyło interesom. Potraktowanie ich prądem nie było może rozwiązaniem

idealnym, ale lepszym niż inne.

– Stać – rozkazał turianin. – Wyjaśnijcie, co was tu sprowadza.

– Wynająłem zatokę 6358 – powiedział Kai Leng.

– Podejdź, żeby potwierdzić tożsamość – odparł strażnik.

Kai Leng postąpił kilka kroków naprzód, wyciągając dłoń, by turianin mógł ją przeskanować omnikluczem.

– Tożsamość potwierdzona – oznajmił strażnik. – Najem opłacony z góry do końca tygodnia.

– Wyjeżdżam wcześniej – powiedział Kai Leng.

– To twój problem – odrzekł turianin. – Nie zwracamy pieniędzy.

Żeby podkreślić swoje słowa, przesunął dłoń nad kolbę ogłuszacza.

– Nie zamierzam domagać się zwrotu – zapewnił go Kai Leng, a strażnik rozluźnił się i skinął głową w stronę swoich towarzyszy.

Pozostali turianie, przekonani, że ludzie nie szukają kłopotów, opuścili karabiny. Strażnik, który z nimi rozmawiał, wspiął się na barykadę i nacisnął panel umieszczony w ścianie. Brama w murze rozsunęła się, odsłaniając długą, wąską uliczkę.

– Wy dwoje przodem – powiedział Kai Leng.

Anderson oparł się jedną ręką o barykadę i przeskoczył przez nią. Odwrócił się do Kahlee. Gdy spojrzał na jej unieruchomione palce, wpadł na pomysł.

– Ona będzie potrzebowała pomocy – powiedział, wskazując na jej rękę.

Spojrzał na Kai Leng, który mając się na baczności, na wypadek gdyby pozostali czegoś próbowali, pokręcił głową – dokładnie na to liczył Anderson.

– A ty? – zapytał Anderson strażnika z ogłuszaczem przy pasie.

Turianin zawahał się chwilę, ale podszedł.

– Pośpieszcie się – burknął.

Kahlee podeszła do barykady i podniosła kolano na tyle wysoko, by móc postawić prawą stopę na murku. Stojąc na wyprostowanej lewej nodze, z drugą stopą opartą na ziemi, nie miałyby możliwości odbicia się. Pochyliła się niezręcznie, tak że Anderson i turianin mogli złapać ją pod ramiona, chwytając mocno za nadgarstki i łokcie.

– Na trzy – powiedział Anderson. – Raz... dwa... trzy...

Anderson czuł, jak Kahlee zmienia pozycję, przenosząc ciężar z nogi na nogę, żeby mogli ją podźwignąć i przenieść nad barykadą. Anderson przesunął się, wytrącając Kahlee z równowagi, tak że przeskakując na drugą stronę barykady, upadła na strażnika. Anderson trzymał ją przez cały czas za ramię, więc pociągnęła go za sobą i cała trójka upadła niezdarnie na ziemię.

Kai Leng zareagował niemal natychmiast, przeskakując nad barykadą i nawet jej przy tym nie dotykając. Pozostali turianie postąpili tak, jak przewidział Anderson: sięgnęli po broń, by chronić się przed czymś, co wyglądało na atak.

Kai Leng zmuszony był skupić się na strażnikach, a Anderson zyskał kilka cennych sekund, których potrzebował. Wyrwał ogłuszacz zza pasa leżącego na ziemi dowódcy, przetoczył się na plecy i wystrzelił.

Kai Leng dostał dokładnie między łopatki i nieprzytomny upadł na ziemię. Dwaj turianie, którzy zostali przez niego wcześniej powaleni, byli ranni, ale żywi. Pozostali dwaj wciąż szarpali się z bronią, ale Anderson nie był pewien, czy zamierzali jej użyć przeciw Kai Lengowi.

– Już dobrze! Już dobrze! – krzyknął Anderson, odrzucając ogłuszacz i podnosząc ręce do góry.

Turianie, którzy jeszcze stali, podbiegli i podnieśli jego i Kahlee na nogi, podczas gdy przewrócony, rozzłoszczony kapitan zbierał się z ziemi. Strażnicy pchnęli ludzi na ścianę, utrzymując ich w miejscu lufami karabinów.

Anderson nic nie powiedział, gdy czubek lufy wbił mu się boleśnie w mostek. Miał świadomość, że nim się odezwie, musi poczekać, aż wszyscy się uspokoją. Widział, że Kahlee zwija się z bólu, ale nie wiedział, czy dlatego, że rzucono nią o ścianę, czy może jej palce ucierpiały podczas upadku.

Kapitan spojrzał na ludzi, potem podszedł do dwóch leżących na ziemi turian. Obaj jęczeli, ale z pomocą zdołali wstać, co Anderson powitał z ulgą. Przekonanie strażników, by ich puścili, byłoby o wiele trudniejsze, gdyby Kai Leng kogoś zabił.

– Mogę to wszystko wyjaśnić – powiedział Anderson, oceniając, iż emocje uspokoiły się na tyle, że może zacząć mówić. – Ten człowiek nas uwięził.

– Zapłacił za miejsce w porcie – prychnął kapitan. – Jest naszym klientem. Wy nie.

– I tak dostaniecie pieniądze – przypomniał Anderson. – Nawet jeśli nas wypuścicie.

– Może powinniśmy poczekać, aż on się obudzi – odparł kapitan. – Pewnie dorzuci coś ekstra za to, że mu was przypilnowaliśmy.

– On jest z Cerberusa – Kahlee dołączyła do negocjacji.

– To prawda? – zapytał kapitan, podchodząc do Andersona i pochylając się tak, że tylko kilka cali dzieliło ich twarze.

– Tak – powiedział Anderson, patrząc mu prosto w oczy.

Kapitan odstąpił o krok, ale nic nie powiedział. Strażnicy zerkali na niego, czekając na decyzję. Anderson wstrzymał oddech.

Dążenia Cerberusa do eliminacji obcych były powszechnie znane w całej galaktyce, nawet na Omedze. Oczywiście było, że większość nieludzi czuła to samo do agentów Cerberusa, co oni do nich. Pozostawała tylko kwestia tego, co będzie silniejsze: niechęć czy chciwość.

– Możecie iść – powiedział w końcu kapitan. – Jeśli chcecie, zabierzcie jego statek.

Strażnicy opuścili broń.

– A co z nim? – Kahlee skinęła w stronę nieprzytomnego Kai Lenga.

– Wymyślimy dla niego coś specjalnego – odpowiedział kapitan, a pozostali zaśmiali się złowrogo.

– Cerberusa bardziej zaboli, jeśli pozwolicie nam go zabrać – oznajmiła Kahlee. – Jesteśmy z jednostki Przymierza. Próbujemy zniszczyć ich organizację. On posiada wiedzę, którą możemy wykorzystać.

– Nie chcielibyście się wplątać w wojnę z Człowiekiem Iluzją – dodał Anderson. – Już wam zapłacono. Bierzcie kasę i udawajcie, że nas nie widzicie.

Kapitan rozważał przez chwilę propozycję, potem wzruszył ramionami.

– Dobrze. Wynoście się stąd. Co nas to obchodzi?

Andersonowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Pochylił się, podniósł nieprzytomnego Kai Lenga i zarzucił sobie jego ciało na ramię.

– Jak daleko do lądowiska? – zapytał.

– Niedaleko. Skręćcie w prawo na końcu uliczki. Doki mają z boku numery. Szukajcie numeru 6358.

Zostawili turian i odeszli – Kahlee przodem, a za nią uginający się pod ciężarem Anderson.

– Przepraszam, że cię nie ostrzegłem – powiedział, gdy byli na tyle daleko, że strażnicy nie mogli ich usłyszeć. – Stało ci się coś?

– Wszystko w porządku – zapewniła go. – Błyskawicznie sobie poradziłem.

– Dlaczego chciałeś go zabrać? – Anderson wskazał na nieprzytomne ciało.

– Uznałam, że przekazemy go Przymierzu, żeby go przesłuchali – wyjaśniła.

Ta odpowiedź sprawiła, że Anderson poczuł się lepiej. Obawiał się, iż Kahlee wciąż może wierzyć, że Kai Leng i Cerberus są w stanie w jakiś sposób odwrócić przemianę Graysona.

Kahlee nic już nie powiedziała, a Anderson uznał, że lepiej oszczędzać oddech, niż gadać. Pięć minut później dotarli do portu kosmicznego. Z ulgą zauważył, że dok 6358 był drugi w kolejności od miejsca, z którego przyszli.

– Lepiej się pośpieszmy – powiedział do Kahlee, gdy dotarli do wahadłowca. – Nie wiem, jak długo jeszcze on będzie nieprzytomny.

Kilka minut zajęło im włamanie się do systemu zabezpieczeń, żeby mogli wejść do środka. Anderson wniósł Kai Lenga na statek, potem zajął się szukaniem czegoś, czym można by było spętać więźnia.

Znalazł standardowy zestaw awaryjny składający się z racji butelkowanej wody, lampy elektrycznej i grzejnika, małego składanego namiotu, pięćdziesięciu stóp nylonowej liny i wojskowego noża.

Szybko pociął linę na odcinki długości ośmiu stóp i użył ich, by przywiązać wciąż nieprzytomnego Kai Lenga do fotela drugiego pilota.

– Potrafisz tym latać? – zapytała Kahlee.

– Podstawowa wersja statku Przymierza – zapewnił ją, odpalając silniki.

Sprawdził rutynowo wszystkie systemy, by upewnić się, że działają, a potem wyprowadził statek z doku, zostawiając Omegę za sobą.

Miał nadzieję, że nigdy więcej nie postawi nogi na tej przeklętej stacji.

Dwadzieścia dwa

Po pierwszym skoku przez przekaźnik masy w drodze powrotnej do Cytadeli Kahlee wstała ze swojego fotela z tyłu i przeszła na przód sprawdzić, co u Andersona. Spojrzała na więźnia. Wciąż był nieprzytomny i przywiązany do fotela drugiego pilota. W kabinie z przodu nie było więcej miejsc siedzących, więc kucnęła obok Andersona.

– Uświadomiłam sobie, że nie podziękowałam ci za wyciągnięcie mnie z Omegi – powiedziała.

– Uznałem, że jak już odlatuję, to mogę cię zabrać ze sobą – zażartował.

Kahlee uśmiechnęła się i ostrożnie położyła mu uszkodzoną dłoń na ramieniu.

– To, co stało się u Arii... – zaczęła.

Anderson pokręcił głową.

– Nie przy naszym podsłuchującym przyjacielu.

Kahlee obróciła się do Kai Leng. Wydawało się, że ma zamknięte oczy, ale gdy przyjrzała się uważniej, dostrzegła, że powieki miał odrobinę uchylone, tak by widzieć, co się dzieje.

– Jest przytomny od co najmniej dwudziestu minut – powiedział Anderson.

Zrozumiawszy, że podstęp się nie udał, Kai Leng otworzył oczy.

– Dokąd mnie zabieracie?

– Do Cytadeli – odparł Anderson. – Mam w Przymierzu przyjaciół, którzy na pewno zechcą z tobą porozmawiać.

– To błąd – ostrzegł. – Powinniście ścigać Graysona. Będzie się stawał coraz silniejszy. Trzeba go powstrzymać.

– Prawdopodobnie masz rację – zgodził się Anderson. – Ale jeśli nie wiesz, gdzie możemy znaleźć Graysona, to trzymamy się mojego planu.

– Nie wiem, gdzie on jest – przyznał Kai Leng. – Założyłem, że wy wiecie.

Kahlee wyczuła autentyczne zaskoczenie w jego głosie.

– Skąd mielibyśmy wiedzieć, dokąd się udał? – zdziwiła się.

– Człowiek Iluzja powiedział mi, że jesteś kluczem do odnalezienia Graysona – odparł zabójca. – Sądzi, że was dwoje łączy coś szczególnego.

– To nie jest Grayson, którego znałam – powiedziała zimno. – Zadbaliście o to.

– Ale znałaś dane – mówił dalej Kai Leng. – Wiesz, co się z nim dzieje. Sądziłem, że będziesz w stanie poskładać kawałki układanki i przewidzieć jego następny ruch.

– Nie słuchaj go – ostrzegł Anderson. – Próbuje ci namącić w głowie.

– Nie – powiedziała cicho Kahlee. – Ma rację. Myślałam o tym wcześniej. Mam wrażenie, że coś mi umknęło.

– Widziałaś, co zrobił najemnikom Aarii – przypomniał Anderson. – Nawet gdybyśmy wiedzieli, gdzie go znaleźć, co moglibyśmy zrobić?

– To wymówka tchórza – stwierdził Kai Leng. Anderson nie zadał sobie trudu, by mu odpowiedzieć. Wyczuwając, że dalsza rozmowa tylko zwiększyłaby napięcie, Kahlee odeszła na tył wahadłowca.

Usiadła i po raz kolejny zaczęła rozmyślać. To coś, co widziała w magazynie, to nie był Grayson. To było jego ciało – przynajmniej częściowo – ale Żniwiarze nim sterowali.

Gdyby udało jej się odgadnąć, czego chcą i jaka była rola Graysona w ich planie, poznałaby odpowiedź.

Wróciła pamięcią do danych z eksperymentu, próbując poskładać wszystko, co wiedziała o Żniwiarzach. Interesowali ich ludzie, to było jasne. Kazali nawet Zbieraczom porywać ludzi, by przeprowadzać na nich swoją wersję eksperymentów Cerberusa.

Ale jeśli chcieliby, żeby Grayson porwał dla nich kolejnych przedstawicieli swojego gatunku, to wysłaliby go po prostu do oddalonych kolonii w Układach Terminusa. Tam nikt by go nie znalazł.

Sfrustrowana uderzyła pięścią o oparcie fotela, co wywołało ból w usztywnionych palcach. Ale była zbyt skupiona na problemie do rozwiązania, by zaprzętać sobie tym uwagę.

Kai Leng twierdził, że ona jest kluczem. Człowiek Iluzja uważał, że łączy ją z Graysonem coś szczególnego. Czy chodziło mu o Gillian? Czy to możliwe, że Żniwiarze szukali córki Graysona ze względu na jej niezwykle zdolności biotyczne?

Czuła, że odpowiedź jest blisko, ale to jeszcze nie było to. W danych Cerberusa znajdowały się przypuszczenia, że w końcu Żniwiarze będą w stanie czerpać wiedzę wprost z umysłu Graysona. Ale nawet gdyby dowiedzieli się o Gillian, nie byłiby w stanie jej odnaleźć. Mogli co najwyżej przejrzeć jej dane z Projektu Podniesienie...

Świadomość tego, jaki jest ich cel, walnęła ją jak obuchem w głowę. Poderwała się i pobiegła do kabiny pilotów.

– Wyślij wiadomość do Akademii Grissoma – rozkazała, mówiąc tak szybko, że słowa niemal zlewały się ze sobą. – Ostrzeż ich, że Grayson do nich leci.

Anderson nie klócił się ani nie kwestionował jej polecenia. Wyprowadził statek z nadświatłowej i wysłał sygnał, by połączyć się z najbliższą boją komunikacyjną.

– Mam sygnał – powiedział chwilę później – ale coś jest nie tak. Nie mogę się połączyć z Akademią.

– Spróbuj częstotliwości awaryjnych – zasugerowała Kahlee.

– Próbuję wszystkich – odparł. – Żadnej odpowiedzi. Jakby wyłączyli swoje systemy komunikacji.

– Żniwiarze – stwierdził Kai Leng. – Znaleźli sposób na zablokowanie przekazów, żeby nikt nie mógł ostrzec ludzi.

– Jak daleko jesteśmy od Akademii? – zapytała Kahlee.

– Dwa skoki – odparł Anderson. – Mniej niż trzy godziny, jeśli docisnę silniki.

– Dociśnij – powiedziała Kahlee.

* * *

Wahadłowiec Graysona wyszedł z nadświatłej ledwie kilka tysięcy kilometrów od Akademii Grissoma. Z tej odległości nie trzeba było korzystać z boi, by wysłać wiadomość. Mógł bezpośrednio wywołać stację.

Grayson wiedział, że Kahlee nie zdradziła nikomu w Akademii prawdy o nim. Przekonana, że rzeczywiście odsunął się od Cerberusa i próbował zmienić swoje życie, nie widziała powodu, by niszczyć jego reputację. Zostawiła mu też bezterminowe zaproszenie do odwiedzin, choć nigdy z niego nie skorzystał.

Żniwiarze dowiedzieli się tego wszystkiego jeszcze na Omedze. Teraz zamierzali użyć tej wiedzy, by zyskać dostęp do danych Projektu Podniesienie.

– Akademia Grissoma, tu Paul Grayson. Słyszycie mnie?

– Słyszemy, Grayson – odezwał się głos w interkomie. – Dawno pana u nas nie było.

Grayson nie rozpoznał głosu strażnika, co oznaczało, że Żniwiarze też nie. Ale nic dziwnego, że wciąż o nim pamiętano, choć minęły dwa lata, odkąd Gillian opuściła projekt. Pracując dla Cerberusa, Grayson odgrywał rolę zamożnego ojca i darczyńcy Akademii, a Gillian była jedną z najbardziej niezwykłych uczennic tej szkoły. Każda wizyta jej ojca miała szansę zostać zapamiętana przez personel.

– Próbowałem was uprzedzić, że przylatuję, ale nie udało się dostarczyć wiadomości – skłamacz Żniwiarze.

– Cała nasza sieć komunikacyjna jest zatkana – usłyszeli w odpowiedzi. – Od czterech godzin nie możemy się połączyć. Póki technicy tego nie naprawią, mamy drugi stopień alarmu.

Żniwiarze przejrżeli wspomnienia Graysona, sięgając do tych dni, gdy Gillian uczyła się w Akademii. Alarm drugiego stopnia oznaczał niewielkie podwyższenie stopnia ochrony. W zwykłych okolicznościach rodzice mogli dowolnie odwiedzać swoje dzieci, ale w przypadku alarmu drugiego stopnia potrzebowali zgody kogoś z personelu.

– Miałem się tu spotkać z Kahlee Sanders – wyjaśnili Żniwiarze, tworząc historyjkę z fragmentów wspomnień swojego gospodarza. – Ma przylecieć za godzinę czy coś koło tego. Zgaduję, że nie dostaliście wiadomości.

– Potwierdzam. Jak mówiłem, od czterech godzin nie dociera do nas nic ze wspólnej sieci komunikacyjnej.

– Wiem, że to wbrew zasadom – powiedzieli Żniwiarze – ale czy mógłbym zadokować statek i poczekać na nią na pokładzie? Chciałbym rozprostować nogi. Trochę tu ciasnawo.

Nim otrzymał odpowiedź, przez chwilę panowała cisza. Zapewne strażnik konsultował się z którymś ze swoich przełożonych. Grayson modlił się, żeby odrzucono prośbę.

– Jasne – odezwał się strażnik kilka sekund później i Grayson wiedział, że niczego niepodejrzewający mężczyzna podpisał na siebie wyrok śmierci. – Proszę zacamować w doku trzecim. Ale będzie pan musiał poczekać na przylot pani Sanders, żeby dostać pozwolenie na wejście do Akademii.

– Jasne. Dziękuję.

Palce Graysona poruszały się bez wysiłku nad interfejsem, gdy Żniwiarze wprowadzali statek do jednego z lądowisk w zewnętrznym doku. Wahadłowiec wylądował niemal niewyczuwalnie. W przeciwieństwie do doków Omegi tu nie było pola masy oddzielającego Akademię Grissoma od przestrzeni kosmicznej. Przybysze musieli czekać, aż jedna z zabudowanych ramp podłączy się do śluzy statku, i dopiero wtedy mogli wysiąść.

Czekając na rękaw rampy, Żniwiarze wstali z fotela pilota i zaczęli przeglądać zawartość apteczki. Grayson zauważył, że chociaż wszystkie jego obrażenia już się zagoiły, poruszał się teraz o wiele wolniej. Minęło kilka godzin od szaleńczej ucieczki z Omegi. Najwidoczniej nie dość, by Żniwiarze odzyskali pełnię sił.

W apteczce był nóż z długim, ciężkim ostrzem. Żniwiarze wsadzili go z przodu za pasek, a potem przeszli na tył statku.

Czuł, jak przeglądają jego wspomnienia, szukając danych o ochronie stacji. Akademia Grissoma była w zasadzie szkołą, a nie bazą wojskową. Ale było dość personelu ochrony – nie wspominając o nauczycielach biotykach z Projektu Podniesienie – by stworzyć realne zagrożenie dla osłabionych i bardziej wrażliwych na ataki Żniwiarzy. Nie będąc w stanie pokonać wrogów, korzystając z przewagi siły fizycznej, biotycznej lub umiejętności walki, musieli opierać się na podstępie i fortelu, by osiągnąć to, czego chcieli.

Nie wiedział, czy uciekając z Omegi, Żniwiarze wybrali właśnie ten statek, przewidując taką możliwość, ale miał świadomość, że mogło tak być. Celowo lub przypadkiem zabrali standardowy wahadłowiec pasażerski. Zważywszy na to, jak dobrze byli obeznani z turiańskim statkiem porwanym z bazy Cerberusa, Grayson zastanawiał się, czy mają jakieś upodobanie do tego konkretnego gatunku.

Na tyłach wahadłowca znajdowała się kabina sypialna z zestawem ubrań wiszących w małej szafie. Żniwiarze przejrzeni je, szukając czegoś, co zdołałoby ukryć przed oczami strażników niecodzienny wygląd Graysona i nóż.

Styl i krój odzieży wskazywały na to, że poprzedni właściciel statku był turianinem – nic dziwnego, biorąc pod uwagę, jaka rasa wyprodukowała ten wahadłowiec. Żadne z ubrań nie

pasowałyby na Graysona na tyle dobrze, by ukryć to, czym się stał.

Interkom nad jego głową zabrzączał, dając znak, że rampa połączyła się ze służą.

Zrozumiał, że przebranie musi wystarczyć im tylko na czas przejścia przez drzwi bezpieczeństwa przy lądowisku, Żniwiarze ściągnęli narzutę z łóżka. Traktując ją jak szal, owinęli wokół tyłu głowy Graysona, szyi i ramion niczym pelerynę. Z przodu ściągnęli końce razem i wsunęli pod pierwszą warstwę zwoju pod brodą, tak że przez niewielki otwór w bezkształtnym namiocie wyglądały tylko oczy i twarz.

Gdy Żniwiarze przeszli przez służę i powoli schodzili po rampie, Grayson zastanawiał się, co by się stało, gdyby jego nowa forma została wystawiona na działanie bezwzględnego kosmicznego środowiska. Czy Żniwiarze potrzebowali jeszcze jego działających układów organicznych? Widział na własne oczy, że są w stanie naprawiać uszkodzoną tkankę w ogromnym zakresie, ale w tej chwili cybernetyka tak głęboko wżarła się w jego ciało, że czuł się bardziej maszyną niż człowiekiem. Czy jako awatar Żniwiarzy był w stanie przeżyć bez tlenu w niskiej temperaturze kosmosu?

Wiedział, że nie jest niezniszczalny. Ale gdyby jego płuca i serce zawiodły, a syntetyczna sieć wpleciona w synapsy jego mózgu pozostała nieuszkodzona, to czy Żniwiarze byliby w stanie nadal kierować jego ciałem? Czy może w pewnym momencie ogrom uszkodzeń systemu podtrzymywania życia w ich cielesnym naczyniu zmusiłby ich do porzucenia nosiciela?

Jeśli Żniwiarze wiedzieli, o czym rozmyśla, to nie okazali tego. Może ich to nie obchodziło. Mieli całkowitą kontrolę nad jego formą fizyczną i jedyne, co ich interesowało, to schodzenie powoli po rampie.

Tunel prowadził do kolejnej służy i dalej, do małego korytarza, który po kilku metrach skręcał do pomieszczenia kontroli bezpieczeństwa.

To było duże, przestronne pomieszczenie. Za plecami Graysona znajdowała się ściana z wbudowanym w połowie wysokości oknem wychodzącym na lądowisko. Przed sobą miał ścianę ze wzmocnianego szkła, w której znajdowały się drzwi ze skanerem bezpieczeństwa. Wszyscy przybywający musieli przez nie przejść.

Za drzwiami znajdowało się kolejne pomieszczenie z wartownią z boku i kolejnymi drzwiami, prowadzącymi do pomieszczeń Akademii. Budka znajdowała się na podwyższeniu, tak by osoba wewnątrz miała widok na lądowisko przez szklaną ścianę i ogromne okno.

Jeden ze strażników – zapewne ten młodzieniec, z którym rozmawiał przez radio – zszedł, by go powitać. Stał po drugiej stronie szklanej ściany, za skanerem. Grayson dostrzegł głowę i ramiona drugiego strażnika, młodej kobiety obserwującej go z wartowni.

Żniwiarze dokonali szybkiej oceny bliżej stojącego przeciwnika. Wydawał się sprawny i zachowywał się pewnie, jak ktoś, kto przeszedł podstawowe przeszkolenie. Przy boku miał pistolet, ale nie miał na sobie kombinezonu bojowego, tylko uniform personelu Akademii Grissoma: ciemne spodnie i niebieską koszulę z godłem szkoły.

Poruszając się jeszcze wolniej niż wcześniej, Żniwiarze podeszli do skanera bezpieczeństwa. Zatrzymali się kilka kroków od niego, jakby czekając na instrukcje strażnika przed wejściem.

– Eee... wszystko w porządku, panie Grayson? – zapytał stojący po drugiej stronie strażnik, zaskoczony jego dziwnym przyodziewkami.

– Złapałem jakiegoś wirusa – odpowiedzieli spod koca Żniwiarze. – Cały czas mam dreszcze.

Usatysfakcjonowany wyjaśnieniem, strażnik zauważył:

– Ciekawy ma pan statek. Turiański, prawda?

Podczas pracy dla Cerberusa Grayson podawał się za pracownika wysokiego szczebla Cord-Hislop Aerospace, producenta wahadłowców będącego jedną z wielu firm przykrywek Człowieka Iluzji. Wiedzą o tym, Żniwiarze znaleźli kolejne zadowalające wyjaśnienie.

– Rozważamy połączenie się z jednym z naszych turiańskich konkurentów – powiedzieli strażnikowi. – Testuję jeden z ich produktów, zanim podpiszemy umowę.

Strażnik skinął głową, znowu łykając historyjkę – trochę za gładko, uznał Grayson. Zastanawiał się, czy Żniwiarze wpłynęli w jakiś sposób na młodego mężczyznę.

– Nie czuję się najlepiej – powiedzieli Żniwiarze, sprawiając, że Grayson zachwiał się na nogach.

Zatoczył się i oparł o ścianę. Strażnik zaniepokojony zrobił krok do środka skanera, by zobaczyć, czy z przybyszem wszystko w porządku. Żniwiarze powoli zaczęli odchyłać się w tył. Strażnik podskoczył i złapał Graysona, ze stęknieniem podtrzymując jego ciężar.

– Hej! – zawołał do partnerki w budce. – On chyba jest poważnie chory. Przynies apteczkę!

Młoda kobieta złapała apteczkę i zbiegła na dół.

Żniwiarze podtrzymywali koc, tak by ciasno owijał Graysona, gdy strażnik kładł go na podłodze. Kobieta podbiegła i przyklękła po drugiej stronie, kładąc obok apteczkę.

Obróciła się, by ją otworzyć, a nóż, który teraz Grayson miał już w dłoni, przeciął koc i wbił się w pierś strażnika. Mężczyzna jęknął zdumiony atakiem, a potem westchnął głęboko, gdy ostrze zostało wyciągnięte.

Kobieta zaskoczona odwróciła gwałtownie głowę, a jej oczy wypełniło przerażenie, gdy zorientowała się, co się stało. Żniwiarze, siadając, odepchnęli umierającego, tnąc nożem tak, by wypatroszyć kobietę.

Ale brakowało im nadnaturalnej szybkości, jaką mieli na Omedze, i strażniczka zdołała się odsunąć. Ostrze rozerwało jej mundur, ale nie tknęło ciała.

Rzuciła się do przycisku alarmowego znajdującego się na ścianie tuż obok skanera. Żniwiarze poderwali Graysona na nogi, a potem wyciągnęli przed siebie ramię, ciskając nóż. Ostrze, koziołkując, przeleciało kawałek i wbiło się między łopatki kobiety.

Upadła na podłogę, rozpaczliwie wyciągając rękę w stronę przycisku alarmowego,

którego już nie zdołała osiągnąć przed śmiercią.

Żniwiarze przeszli przez skaner i pośpieszyli do wartowni. Mniej niż dwie minuty zajęło im zalogowanie się do podstawowych systemów i wyłączenie interkomów i alarmów na całej stacji.

Potem wywołali na ekranie plan Akademii i zapamiętali go. Wróciwszy do pomieszczeń kontroli, wyciągnęli nóż tkwiący w plecach martwej kobiety i zabrali strażnikom pistolety.

Na końcu podnieśli koc i owinęli go ponownie wokół Graysona, odwracając na drugą stronę, by ukryć plamy krwi. Przy bliższym przyjrzeniu się rozcięcie zrobione przez nóż było widoczne, ale Grayson podejrzewał, że każdy kto znajdzie się na tyle blisko, by je zobaczyć, i tak będzie już martwy.

Żniwiarze, idąc spokojnym krokiem, zostawili za sobą pomieszczenie kontroli, weszli do Akademii Grissoma i skierowali się w stronę skrzydła zajmowanego przez Projekt Podniesienie.

Dwadzieścia trzy

– Akademia Grissoma, tu admirał David Anderson z Przymierza. Słyszycie mnie?

Anderson wiedział, że brak odpowiedzi był złym znakiem. Byli na tyle blisko Akademii, że mogli się skontaktować bezpośrednio przez radio, omijając usterkę techniczną, która mogłaby odciąć szkołę od sieci komunikacyjnej. Cisza po drugiej stronie oznaczała, że na stacji coś było nie tak.

– Spróbuj jeszcze raz – Kahlee uparcie nie chciała zaakceptować prawdy.

Wiedząc, że to nic nie da, Anderson wyłączył kanał komunikacyjny. Przez ostatnie piętnaście minut, od chwili gdy wyszli z nadświetlnej, próbowali się skontaktować ze szkołą.

– To nie ma sensu – miał nadzieję, że brutalna prawda pomoże Kahlee przygotować się na to, co czekało na nich na stacji. – I tak za dwie minuty tam będziemy – dodał, żeby złagodzić swoją szorstkość.

– Sami nie powstrzymacie Graysona – ostrzegł Kai Leng. – Rozwiążcie mnie i pozwólcie pomóc.

Ani Anderson, ani Kahlee nie zadali sobie trudu udzielenia odpowiedzi.

Czujniki statku przekazały obraz lądowiska na ekran. Trzy zatoki były puste. W czwartej stał mały wahadłowiec pasażerski.

– Turiański – mruknął Anderson, choć i tak wszyscy wiedzieli, kim był pilot.

Powoli zadokował. Bez sygnałów z Akademii musiał lądować ręcznie, opierając się na odczytach i dziesiątki razy ręcznie wprowadzając korekty kursu. W normalnych okolicznościach nie było to łatwe, a teraz na dodatek Kahlee stała za jego fotelem, zaglądając mu przez ramię na ekran. Nic nie mówiła, ale wyczuwał jej niecierpliwość i frustrację. Mimo że starał się jak umiał, wahadłowiec usiadł z mocnym tąpnięciem.

Odczekali kilka sekund, by sprawdzić, czy rampy podłączą się do śluzy, ale czujniki nie wykryły ruchu.

– Nikt nie kieruje lądowiskiem – mruknął Anderson. – Będzie nam potrzebny kombinezon ochronny.

– Jest jeden z tyłu – powiedział Kai Leng. – I strzelba też.

Kahlee spojrzała na niego zaskoczona.

– Chcę powstrzymać Graysona tak samo jak wy – zapewnił ich. – Nawet jeśli zostawicie

mnie przywiązanego do fotela, to i tak będę się starał pomóc.

– Pilnuj go – rzucił Anderson, wstając i idąc na tył statku.

Tak jak Kai Leng powiedział, kombinezon był na miejscu. Sprężysty, izolowany materiał bez problemów rozciągnął się i dopasował do ciała Andersona, a gdy admirał zamknął hełm, całość natychmiast się uszczelniła.

Dotknął hełmu, by aktywować przekaźnik.

– Kahlee, słyszysz mnie?

– Tak – odpowiedziała z kokpitu. – Utrzymuj kontakt radiowy.

– Zrozumiałem.

Podniósł strzelbę. Sokolov był odczuwalnie cięższy od starego modelu Hahne-Kedara, którego używał, biorąc udział w Wojnie Pierwszego Kontakt. Wszedł do śluzy, zamykając za sobą wewnętrzne drzwi. Rozległ się głośny syk, gdy atmosfera została zassana. Mimo izolacji kombinezonu odczuł spadek temperatury, choć nie na tyle, by było to w jakiś sposób przykre.

Otworzył zewnętrzny właz śluzy i ostrożnie stanął na lądowisku. Kombinezon miał magnetyczne podeszwy na wypadek spacerów w próżni, ale tu nie były potrzebne – sztuczna grawitacja wytwarzana przez pole efektu masy stacji wciąż działała.

Rozglądając się w poszukiwaniu potencjalnych celów, podszedł do najbliższej śluzy. Na szczęście nie była zamknięta i w przeciągu minuty znalazł się w małej sali wypełnionej podgrzany, zdatnym do oddychania powietrzem.

– Jestem w środku – powiedział do Kahlee, podnosząc wizjer hełmu.

Przeszedł delikatnie nachylającym się korytarzem do pomieszczenia, które służyło do kontroli przybyszów. Dwa ciała leżące na podłodze potwierdzały ich podejrzenia.

– Mamy ofiary – powiedział cicho Anderson, wiedząc, że przekaźnik i tak doda decybeli, by Kahlee wyraźnie go słyszała. – Dwoje. Chyba ochroniarze.

Ze strzelbą w gotowości, trzymając głowę nisko, podkrał się do wartowni. Oparł się o ścianę obok otwartych drzwi, a potem szybko zajrzał do środka.

– Czysto – zaraportował, czując, jak napędzane adrenaliną napięcie opuszcza jego mięśnie.

Podszedł do panelu kontrolnego, znalazł sterowanie ręczne i aktywował jedną z ramp. Przez szybę obserwował, jak tunel przesuwają się na właściwą pozycję, podłączając się do śluzy statku.

– Rampa na miejscu – powiedział do Kahlee. – Możesz wysiąść.

– Co z Kai Lengiem? – zapytała. – Myślisz, że to bezpieczne tak go tu zostawiać?

– Nie widzę innego wyjścia – odparł Anderson. – Na wszelki wypadek weź ze sobą nóż z apteczki.

– Zrozumiałam. Już idę.

Anderson rozważał przez moment zdjęcie kombinezonu, ale uznał, że to nie ma sensu.

Pocił się już co prawda, ale kombinezon miał standardowe bariery kinetyczne. Jeśli doszłoby do strzelaniny, przydałaby mu się taka ochrona.

Zszedł do pokoju kontroli, gdzie Kahlee musiała wejść, wychodząc ze statku. Prawdopodobnie знаła zamordowanych strażników. Chciał tam być, aby ją wesprzeć, gdy natknie się na ich ciała.

Dotarł na miejsce kilka sekund przed nią. Nic nie powiedział, gdy patrzyła na zmarłych, pozwalając jej ubolewać w ciszy.

Podeszła powoli do pierwszego ciała – młodego mężczyzny z raną na piersi – i przyklękła. Mimo że miał szkliste, nieruchome spojrzenie, przycisnęła palce do szyi, sprawdzając puls. Kiedy nic nie wyczuła, delikatnie zamknęła mu powieki i spuściła głowę.

Postąpiła tak samo w przypadku drugiego ciała, a potem podeszła do Andersona.

– Erin i Jorgen – powiedziała. – Dobrze dzieciaki.

– Grayson im to zrobił – odparł Anderson, wiedząc, że to nie jest to, co chciała usłyszeć.

– Jeśli go nie powstrzymamy, zgina inni.

Kahlee przytaknęła.

– Nie musisz się o mnie martwić – powiedziała. – Jeśli trzeba go będzie zabić, nie zawaham się.

Andersonowi nie podobało się to „jeśli”, ale wiedział, że nic lepszego od niej nie usłyszy. Wciąż nie mogła zaakceptować faktu, że dla Graysona nie było już ratunku.

– Ciała są jeszcze ciepłe – zauważyła. – Przypuszczam, że Grayson był tu nie więcej niż dziesięć minut temu.

– Włączamy alarmy? – zapytał Anderson.

Kahlee pokręciła głową.

– Jest noc. Większość studentów i personelu jest w kwaterach. To chyba dla nich najbezpieczniejsze miejsca. Jeśli włączymy alarm, wyjdą na korytarze sprawdzić, co się dzieje.

– A ochrona?

– Możemy ich zawiadomić z wartowni – odparła.

Szybko weszli do małego pomieszczenia stanowiącego punkt obserwacyjny. Kahlee nacisnęła kilka przycisków, a potem sfrustrowana uderzyła pięścią w konsolę.

– System padł.

– Są w pobliżu inne posterunki?

Pokręciła głową.

– Ochrona jest rozproszona po całej stacji. Wezwanie wszystkich potrwa wieki.

– Domyślasz się, gdzie Grayson mógł pójść? – zapytał Anderson.

Kahlee zastanowiła się.

– Jeśli Żniwiarze szukają informacji, pójdzie do archiwum. Jeśli chcą następnych ofiar, to do dormitorium. W obu przypadkach idzie do skrzydła Podniesienia. Chodź – dodała,

odwracając się do wyjścia.

Anderson chwycił ją za ramię i zatrzymał.

– Grayson zabrał pistolety strażników. Jest uzbrojony. Nie możesz za nim iść bez broni.

– Mam nóż – przypomniała mu, pokazując ostrze wsadzone za pasek.

– Potrzeba ci broni palnej.

– To szkoła, nie baza wojskowa – wyjaśniła. – Tylko strażnicy mają tu broń. Poza tym – dodała, podnosząc dłonie z opatrunkami – i tak nie mogłabym strzelać.

– Gdzie jest najbliższy posterunek? – zapytał Anderson.

– Prosto tym korytarzem i na prawo – odparła. – Ale skrzydło projektu jest po przeciwnej stronie stacji.

– Więc się rozdzielimy – oznajmił Anderson, podejmując wyuczoną rolę oficera wydającego rozkazy. – Ty pójdiesz ostrzec strażników. Jeśli nie wpadniesz na Graysona, zbierz dzieci i zabierz je w bezpieczne miejsce – dodał, wiedząc, że Kahlee będzie się troszczyć przede wszystkim o bezpieczeństwo dzieci.

Ulżyło mu, gdy skinęła głową.

– Skręć w lewo w głównym korytarzu – powiedziała. – Jeśli będziesz szedł przed siebie dojdiesz do głównego wejścia do skrzydła Podniesienia. Na ścianie będzie namalowana mapa. Archiwum jest obok laboratorium. Szukaj dużego pomieszczenia blisko środka mapy oznaczonego jako „Teren zamknięty”.

Na chwilę zapadła niezręczna cisza. Anderson nie wiedział, czy powinien ją pocałować, przytulić, czy po prostu życzyć jej szczęścia. Kahlee rozwiązała ten dylemat, muskając jego wargi swoimi, nim wybiegła na korytarz.

Anderson, ściskając strzelbę w dłoni, zamknął wizjer i ruszył biegiem w przeciwną stronę.

* * *

Na statku Kai Leng starał się uwolnić z więzów. Jego nadgarstki i ramiona były przywiązane do podłokietników fotela, kostki i łydki do wsporników. Jednak nie był całkiem unieruchomiony.

Napierając na więzy, był w stanie zyskać dość przestrzeni między sznurami, by wiercić się w fotelu. Za każdym razem, gdy to robił, lina napinała się, wbijając się boleśnie w ciało... ale też w metalowe spody wyściełanych podłokietników.

Zaczął powoli, kołysząc się i kręcąc klatką piersiową, napinając linę najbardziej, jak to było możliwe. Potem przyspieszył, z boku na bok i raz w przód, raz w tył, zwiększając tarcie. Po minucie liny przecięły jego skórę. Po dwóch zaczął krwawić.

Krew mieszała się z potem, tworząc ciepłą, lepką ciecz, która szybko pokryła jego ramiona i zaczęła skapywać na fotel i podłogę wokół. Kai Leng zupełnie tego nie zauważał.

Skupiał się wyłącznie na pocieraniu liną o metalowe spody podłokietników, przerywając jedno nylonowe włókno po drugim.

Trwało to prawie pięć minut, ale w końcu uszkodzenie liny sprawiło, że jedna z pętli krępujących jego lewe ramię pękła. Gdy pokręcił ręką, pozostałe natychmiast się poluzowały i po chwili mógł już uwolnić kończynę.

Palcami śliskimi od potu i krwi zaczął rozplątywać supły na więzach krępujących prawą rękę. To było frustrujące zajęcie, ale po upływie kolejnej minuty zdołał wyzwolić silniejsze ramię. Wtedy zajął się sznurami na nogach.

Musiał pochylić się pod niewygodnym kątem, by sięgnąć pod fotel. Nie widział, co robi, no i wciąż musiał przerywać, by krew napływająca do głowy nie doprowadziła go do utraty przytomności. Więcej czasu zajęło mu w końcu uwolnienie nóg niż rąk, ale liczyło się to, że był wolny. Wstał powoli, dysząc ciężko z wyczerpania. Nogi mu zdrętwiały. Zaciskając zęby i opierając się o pokrwawiony fotel, próbował zrobić kilka kroków, starając się pobudzić krążenie krwi.

Gdy ból odrętwienia minął, poszedł po apteczkę. Jałowym ręcznikiem wytarł krew, a potem posmarował zmasakrowane, piekące przedramiona kojącym medyzelem.

Rozważył kolejny krok. Mógł zamknąć służę i odlecieć, zostawiając Andersona i Sanders, by spróbowali uporać się z Graysonem. To wydawało się najrozsądniejszym rozwiązaniem. Nie miał broni i mógł się spodziewać, że ludzie na stacji potraktują go tak samo wrogo jak Graysona.

Ale wiedział, że w takim wypadku Człowiek Iluzja będzie niezadowolony. Istniało duże prawdopodobieństwo, że Grayson ucieknie. Gdy opuści Akademię, będzie niewykrywalny... zwłaszcza jeśli przed odlotem zabije Sanders.

Im więcej Kai Leng o tym myślał, tym bardziej uświadamiał sobie, że to może być ostatnia szansa Cerberusa na powstrzymanie Żniwiarzy. I nawet jeśli miał stawić czoła Graysonowi nieuzbrojony, to nie mógł przepuścić tej okazji.

Zdecydowawszy się, nie tracił więcej czasu. Szybkim krokiem zszedł po rampie do pomieszczenia służącego najwyraźniej kontrolowaniu przybyłych.

Na podłodze leżały dwa ciała: mężczyzna i kobieta. Szybkie oględziny pozwoliły ustalić, że zabito ich nożem. To, że Grayson nie zmiażdżył ich po prostu jakimś ciosem biotycznym, dało Kai Lengowi nadzieję. Mogło to oznaczać, że jego wróg był wyczerpany i być może bardziej podatny na ciosy.

Poczuł znajomy płomień ekscytacji rozpalający się w jego wnętrzu. W głębi serca był zabójcą, drapieżnikiem. Żył po to, by polować. A polowanie właśnie się zaczęło.

Dwadzieścia cztery

Żniwiarze byli ostrożni. Metodyczni. Nie musieli się śpieszyć, więc się nie śpieszyli.

Chcąc uniknąć niepotrzebnych konfrontacji, kazali Graysonowi obrać okreżną drogę. Na stacji trwała noc, więc omijając dormitoria, w których spali studenci, wybrali korytarze, przy których znajdowały się puste o tej porze biura.

Grayson czuł się jak przypadkowy pasażer. Cieszył się, że okreżna droga pozwalała Żniwiarzom uniknąć niespodziewanych spotkań. Nie chciał sobie nawet wyobrażać, co by się stało, gdyby natknęli się na kogoś z uczniów.

W końcu dotarli do drzwi prowadzących do głównego laboratorium badawczego Projektu Podniesienie. Były zamknięte, ale Żniwiarze wiedzieli, że dane zebrane podczas trwania projektu były przechowywane w pokoju z tyłu.

Pochylili ciało Graysona, tak by przyłożył ucho do drzwi. Przez ich metal i koc jego hiperwrażliwy słuch wychwycił głosy dochodzące z przeciwnej strony. Najprawdopodobniej ktoś pracował do późna.

Upuścili poplamiony krwią koc i nacisnęli na panel otwierający. Drzwi rozsunęły się, ukazując pomieszczenie, które z pewnością było laboratorium. Pod jedną ścianą stał rząd stanowisk komputerowych. Pod drugą półki z biologicznymi próbkami pobranymi od uczniów w celu kontrolowania ich zdrowia i postępów. W rogu z tyłu znajdował się drogi sprzęt używany do analizowania próbek i danych elektronicznych pobieranych co tydzień z implantów wszystkich dzieci.

W pomieszczeniu było dwóch mężczyzn i kobieta. Jeden z mężczyzn siedział przy komputerze, odwrócony od ekranu i pogrążony w rozmowie z pozostałymi. Kobieta uśmiechała się pod nosem, jakby właśnie zażartowała. Mężczyźni śmiali się w głos.

Gdy Grayson wszedł, cała trójka odwróciła się w jego stronę. Na ich twarzach rozbawienie ustąpiło miejsca lękowi, aczkolwiek Grayson nie wiedział, czy przeraża ich jego wygląd, czy dwa pistolety, które niósł.

Żniwiarze wystrzelili trzy razy z błyskawiczną szybkością. Każda kula trafiła cel dokładnie w środek czoła. Trójka badaczy zginęła na miejscu tylko dlatego, że postanowili pracować po godzinach.

Stojąc w całkowitym bezruchu, Żniwiarze nasłuchiwali, czy strzały odbijające się echem

od ścian laboratorium wywołają jakąś reakcję. Nie rozległy się żadne krzyki w korytarzu, nie słyhać było tupotu biegnących stóp. Zadowoleni, że przeszkody zostały usunięte niepostrzeżenie, Żniwiarze nacisnęli panel zamykający drzwi.

Na tyłach laboratorium znajdowały się kolejne drzwi. Za nimi było archiwum. Składał się na nie zbiór dysków z danymi i serwerów zawierających każdy odczyt i każdy wynik testu wszystkich studentów, którzy kiedykolwiek brali udział w Projekcie Podniesienie.

Nie dziwnego, że drzwi do archiwum były zamknięte. Dostęp do tych informacji miała tylko garstka najwyższego rangą personelu, a żeby wejść, trzeba było mieć kartę dostępu, znać kod i przejść identyfikację biologiczną: rozpoznanie głosu i skan siatkówki. Zhakowanie drzwi zajęło Żniwiarzom niecałe dwie minuty.

Gdy znaleźli się w środku, użyli jedyne terminalu, by uzyskać dostęp do danych. Informacje przesuwaly się po ekranie, a Grayson skanował je, przetwarzał i od razu przysyłał do swoich panów przebywających głęboko w pustce kosmosu.

To było coś, czego Grayson jeszcze nie doświadczył. Czuł radość. Upojenie. Euforię. Nawet czerwony piasek nie mógł wywołać tak wspaniałych uczuć jak transmitowanie danych.

Ale było to też męczące. Nużące. Wyczerpujące. Przekazywanie milionów terabajtów informacji wymagało niesamowitych nakładów energii, a Żniwiarze wiedzieli, że ich awatar i tak jest już słaby. Działali więc powoli, bez pośpiechu, pilnując, by nie zniszczyć swego cennego sługi.

* * *

– Mamy kryzys – oznajmiła Kahlee, wpadając do najbliższej lądowiska wartowni. – Troje z was idzie ze mną. Pozostała dwójka zaalarmuje pozostałych i ogłosi w całej akademii czwarty poziom alarmu.

Hendel Mitra, były szef ochrony Akademii Grissoma, był bliskim przyjacielem Kahlee. Jego następczyni, kapitan Ellen Jimenez, była dobra w swojej robocie, ale między nią a Kahlee nie powstała żadna specjalna więź. Na szczęście szanowała Sanders na tyle, by nie podważać jej poleceń.

– Jackson i M’gabi – powiedziała szefowa ochrony – ostrzeżcie pozostałych. Odetnijcie to skrzydło. Nikt nie wchodzi ani nie wychodzi. Prowadź – dodała, odwracając się do Kahlee.

Przypadkiem tak się złożyło, że Jimenez miała tej nocy służbę. Biegając korytarzem do skrzydła projektu, Kahlee nie mogła się nie zastanawiać, czy pozostali strażnicy posłuchaliby jej tak chętnie, gdyby nie poparcie ich przełożonej.

Jeśli chcemy wyjść z tego żywi, będzie nam potrzeba więcej szczęśliwych zbiegów okoliczności, pomyślała.

– Co się dzieje? – zapytała biegnąca obok Jimenez.

Nie chcąc opowiadać całej historii, Kahlee zdecydowała się mówić o tym, co

najważniejsze.

– Ktoś wdarł się na stację. Musimy ewakuować dormitoria projektu. Zabierzcie dzieci w jakieś bezpieczne miejsce.

– Stołówka – zaproponowała Jimenez. – Zbierzemy wszystkich i skierujemy tam tych ludzi z ochrony, którzy nie będą potrzebni w akcji.

– Dobry pomysł – odparła Kahlee.

Gdy dotarli do dormitoriów, musieli się rozdzielić. Były trzy korytarze z pokojami uczniów i czwarty z kwaterami personelu. Jimenez przydzielała zadania ze spokojem i sprawnością prawdziwego przywódcy.

– Giller, bierz najdalszy korytarz. Malkin, następny.

– Nie spuszczać nikogo z oczu – ostrzegła Kahlee. – Nawet personelu. Mamy już dwie ofiary.

Nie powiedziała, kim były, niepewna, jaki to wywoła skutek. Na szczęście nikt o to nie zapytał.

– Spotykamy się w stołówce – zawołała Jimenez. – Ciebie to też dotyczy – zwróciła się do Kahlee. – Masz broń?

– Nóż w cholewce.

Jimenez spojrzała na usztywnione w opatrunkach palce.

– Jesteś w stanie strzelać? – zapytała.

– Wątpię – odparła Kahlee.

Mimo to Jimenez odpięła od pasa broń i podała ją Kahlee.

– Na wszelki wypadek – rzuciła, nim odbiegła budzić dzieci.

Kahlee niezręcznie zatknęła pistolet za pas i weszła do najbliższego pokoju. Otworzyła drzwi i zapaliła światło. Nick obrócił się i spojrzał na nią półprzytomnie.

– Nick, wstawaj – powiedziała. – Już. Pośpiesz się.

– Co się dzieje? – wybełkotał.

– Nick, proszę. Wstawaj i wyjdź na korytarz. Natychmiast.

Nie czekając na odpowiedź, poszła do następnego ucznia.

Nie minęło piętnaście minut, jak prowadziła wszystkich szesnastu podopiecznych do stołówki.

– Panno Sanders – Nick zrównał się z nią krokiem – co się dzieje?

Obudziwszy się, włożył spodnie i koszulkę, ale ciemne włosy wciąż miał skołtunione i potargane.

– Nie przy dzieciach – odpowiedziała, wiedząc, że nie będzie się kłócił, jeśli poczuje, że jest traktowany jak dorosły.

– Jasne – odparł i jakby urósł kilka centymetrów.

Mimo ponurych okoliczności Kahlee nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Byli trzecią grupą, która dotarła do stołówki. Kilka sekund później dołączyła do nich

Jimenez z czwartą.

Wszyscy kręcili się po pomieszczeniu, zaskoczeni i trochę zaniepokojeni. Pobudka w wykonaniu uzbrojonego strażnika – nawet jeśli jego celem było chronienie budzonego – była więcej niż trochę przerażająca.

– Co im powiemy? – zapytała Jimenez.

– Słuchajcie! – zawołała Kahlee, podnosząc głos. – Nikomu nie wolno opuszczać pomieszczenia bez pozwolenia mojego lub kapitan Jimenez.

Przerwała i natychmiast zalała ją fala pytań, w większości od członków personelu. „Co się dzieje?”... „Jak długo musimy tu zostać?” Czy coś nam grozi?”.

Kahlee nie zamierzała mówić im wszystkiego. Zabrałoby to zbyt wiele czasu, a poza tym i tak by jej nie uwierzyli. A gdyby jednak, to wywołałaby panikę.

– Możliwe, że mamy do czynienia z próbą porwania – kontynuowała, przekrzykując pozostałych. – Nie potwierdziliśmy tego jeszcze, ale nie zamierzamy ryzykować.

Niebezpieczeństwo porwania jednego z uczniów było czymś, co wszyscy zebrani w pomieszczeniu mogli z łatwością zaakceptować i zrozumieć. Każde dziecko w Akademii Grissoma było pod pewnymi względami specjalne. Poza biotykami z Projektu Podniesienie do szkoły chodziło wielu geniuszy, a także wiele dzieci rodziców na tyle bogatych i wpływowych, by porwanie ich mogło przynieść prawdziwe zyski.

– Zespoły ochrony sprawdzają całe skrzydło, ale póki nie skończą, musicie wszyscy zostać w bezpiecznym miejscu – mówiła dalej Kahlee. – Może się okazać, że spędzicie tu całą noc, więc spróbujcie zapewnić sobie minimum wygody.

Jimenez patrzyła na nią z zainteresowaniem. Szefowa ochrony nie kupowała tej historyjki, nie całkiem. Widziała, że jej ludzie nie szukali w korytarzach intruza.

Kahlee rozważyła wzięcie jej na bok i poproszenie o pomoc w wytropieniu Graysona. Ale im więcej uzbrojonych strażników w stołówce, tym większe szanse na chronienie dzieci. Poza tym wciąż miała nadzieję, że uda się rozwiązać problem bez rozlewu krwi. Była przekonana, że jakaś część Graysona wciąż w nim jest. Ale gdyby Jimenez dołączyła do pościgu, z pewnością ktoś by zginął: albo ona, albo Grayson.

– Muszę iść – powiedziała jej Kahlee. – Proszę się upewnić, że wszyscy zostaną na miejscu, póki nie powiem, że droga wolna.

Było jasne, że Jimenez chce coś powiedzieć, ale tylko przygryzła wargę i skinęła głową.

– Lepiej pójde z panią – odezwał się za nią lekko skrzekliwy męski głos.

Kahlee odwróciła się do Nicka.

– Jestem najsilniejszym biotykiem w szkole – przypomniał. – Pomogę pani powstrzymać porywaczy.

– Musisz zostać z kapitan Jimenez – odparła Kahlee. – Najważniejsze jest zapewnienie dzieciom bezpieczeństwa.

– Nie jestem głupi – powiedział Nick. – Mówi pani tak, żebym nie był zły, że mnie pani

zostawia.

– Mnie też zostawia – przypomniała Jimenez.

– A co mi tam. – Nick odwrócił się i powłócząc nogami, dołączył do tłumu uczniów.

– Ma rację – zauważyła Jimenez, gdy znikł im z oczu. – Niezależnie od tego, co się dzieje, nie powinna pani tam iść bez wsparcia.

– Dam sobie radę – zapewniła ją Kahlee, wymykając się ze stołówki, by uniknąć dalszej dyskusji.

Chwilę później dobiegł ją rozkazujący głos Jimenez:

– No dalej. Nie tłoczcie się przy drzwiach. Znajdźcie sobie miejsca siedzące, a my przyniesiemy wam coś do picia.

Usatysfakcjonowana, że stołówka jest w dobrych rękach, Kahlee ruszyła do archiwum.

* * *

Stacja funkcjonowała zgodnie z ziemskim cyklem nocy i dnia, więc we wszystkich mijanych przez Andersona biurach było ciemno. Lampy w korytarzach świeciły przytłumionym światłem, by oszczędzać energię podczas snu większości mieszkańców.

Dotarwszy do skrzydła projektu, Anderson poświęcił mapie na tyle długą chwilę, by dokładnie ją obejrzeć i zapamiętać. Potem rozpoczął powolną, ostrożną wędrówkę do archiwum.

Nie miał wiele czasu, ale wiedział, że pośpiech i nieuwaga zbierały wśród żołnierzy większe żniwo niż jakikolwiek wróg. Chociaż bariery kinetyczne zapewniały mu jakiś cień bezpieczeństwa, nie zamierzał bezmyślnie wejść w zasadzkę. Trzymał się blisko ścian, kryjąc się w cieniu. Wyglądał zza każdego rogu, ostrożnie badając teren w poszukiwaniu mężczyzny, na którego polował.

W pewnej chwili usłyszał trzy odległe strzały z pistoletu i zamarł. Ciężko było to dokładnie określić, ale dochodziły chyba z okolic, do których zmierzał. Znow zapadła cisza i Anderson podjął swoją powolną wędrówkę. Cokolwiek spowodowało strzelaninę, już minęło. Nie było sensu nieuważnie rzucić się naprzód, po własną zgubę.

Po kilku minutach dotarł w końcu do korytarza prowadzącego do głównego laboratorium, gdzie przechowywano dane. Gdy wyjrzał zza rogu, zobaczył coś leżącego pod zamkniętymi drzwiami. Wycofał się natychmiast, a potem zatrzymał, próbując zrozumieć, co właściwie widział. Wyglądało to na stos ubrań, może koc. Nie miał pojęcia, skąd to się tam wzięło, ale nie wydawało się stanowić zagrożenia.

Powoli wyszedł zza rogu i trzymając broń w gotowości, zbliżył się do drzwi. Z bliskiej odległości mógł się upewnić, że na podłodze leżał koc poplamiony krwią. Wyobraźnia podsunęła mu obraz dziecka, które wymknęło się na nocny spacer po stacji po to tylko, by wpaść na Graysona. Z trudem odepchnął od siebie tę wizję.

Nacisnął panel przy drzwiach, a te otworzyły się z cichym sykiem. Anderson wskoczył do środka, gotów strzelać w każdej chwili. Ale nie było takiej potrzeby. Na podłodze leżały trzy ciała, każde z dziurą od kuli między oczami – słyszał te trzy strzały.

W jego żyłach płynęła adrenalina. Zmysły miał wyostrzone i jego własny oddech szumiał mu wewnątrz hełmu. Grayson musiał być blisko. Jeśli nie w laboratorium, to pozostawała tylko jedna możliwość.

Przyciskając strzelbę do ramienia, Anderson ostrożnie podszedł do drzwi na tyłach. Były zamknięte, ale zielone światelko na panelu wskazywało, że nie na zamek. Przywarł do ściany przy drzwiach, wziął głęboki oddech i nacisnął panel.

Grayson stał w archiwum, ledwie kilka metrów od Andersona, skupiony na ekranie jedyne terminalu w pomieszczeniu. Był tak pochłonięty tym, co robił, że nawet chyba nie zauważył mężczyzny stojącego w drzwiach z wycelowaną w niego strzelbą.

Anderson był zszokowany, zobaczywszy z bliska, jak straszliwie rozwinęła się wszczepiona Paulowi cybernetyka. Nawet przez wizjer widział dobrze, że istota stojąca przed nim nie jest w żadnym wypadku człowiekiem. Mimo to Kahlee zapewne dałaby mu szansę poddania się. Anderson nie miał takiego zamiaru.

Wszystkie te myśli przeleciały przez jego głowę w ułamku sekundy, jaki zajęło mu naciśnięcie spustu. Wycelował w ośrodek równowagi celu, by wyrządzić jak największe szkody. Z tej odległości pociski nie miały szansy się rozproszyć. Grayson oberwał w bok. Siła uderzenia obróciła go i powaliła twarzą na podłogę.

Bez kombinezonu bojowego czy tarczy kinetycznej Grayson musiał doznać uszkodzeń organów wewnętrznych, które powinny skutkować natychmiastowym zgonem, ale Anderson nie zamierzał ryzykować. Podszedł bliżej, przygotowując się do następnego strzału, ale nagle został poderwany w powietrze i wyrzucony przez otwarte drzwi, tak że rozbił się o stojące w laboratorium komputery. Upadł na ziemię, oszołomiony, ale bez poważnych obrażeń.

Potrwało chwilę, nim otrząsnął się po ataku biotycznym, co wystarczyło Graysonowi, by się podnieść. Jego prawa ręka zmieniła się w hamburger, z setek małych otworów płynęła krew. Ale wciąż był żywy.

Leżący na ziemi Anderson znowu wystrzelił, celując w głowę. Grayson uchylił się przed pociskami, padając niezręcznie na podłogę. Potem poderwał się na nogi, wyciągając zza pasa dwa pistolety.

Wciąż był szybki, ale nie w ten niesamowity sposób, który Anderson obserwował podczas zasadki w magazynie na Omedze. Anderson zdążył przetoczyć się za osłonę, masywną konsolę.

Grayson wystrzelił kilkakrotnie, zmuszając Andersona do pozostania w kryjówce, a potem zaatakował go biotycznie. Tym razem nie było to proste pchnięcie, ale cały zestaw mikroskopijnych, gwałtownie się zmieniających pól efektu masy, które otoczyły Andersona. Znikały i pojawiały się, delikatnie zmieniając materię kontinuum czasoprzestrzennego.

Potężne wciąganie i odpychanie przeciwstawnych sił rozdzierało ciało admirała, sprawiając, że wył z bólu.

Czuł się, jakby rozrywano go na pojedyncze atomy. Wiedział, że jeśli nie wydostanie się spomiędzy pól, to grozi mu przerwanie naczyń krwionośnych i krwotok wewnętrzny.

Ignorując ból, wyskoczył zza osłony i wystrzelił kilka razy. Grayson, nurkując w poszukiwaniu schronienia, odpowiedział ogniem. Bariery kinetyczne kombinezonu Andersona umożliwiły mu ucieczkę na korytarz.

Wycofał się pośpiesznie, a potem przyklęknął i wycelował w drzwi, czekając, aż wróg się pojawi.

* * *

Grayson czuł nieregularne bicie swojego serca. Płuca zalewała mu krew z ran. Wiedział, że przy życiu trzymają go jeszcze tylko cybernetyczne implanty i nieustrudzona wola Żniwiarzy.

Sądził, że rany mogą osłabić ich władzę nad nim, ale teraz trzymali się go jeszcze mocniej. Choć próbował, nie był w stanie odzyskać kontroli nad swoim ciałem. To było jak oddychanie resztką powietrza – nie było się czego chwycić.

Żniwiarze wiedzieli, że wróg czai się tuż za drzwiami. Jeszcze jeden dobrze wycelowany strzał i nawet syntetyczne elementy ich awatara mogły zawieść. Więc zamiast wyjść na korytarz, czekali, zbierając siły do ostatniego ataku.

Dwadzieścia pięć

Nick nie mógł usiedzieć w miejscu. Cały czas zerkał na drzwi stołówki, pilnowane przez kapitan Jimenez.

Widział pistolet za paskiem panny Sanders, ale miała zabandażowane palce. Nie byłaby w stanie strzelić. Co miała zamiar zrobić, gdyby wpadła na porywaczy? Nie była nawet biotykiem.

Skupiwszy się na stojącej na stole szklance, Nick na chwilę zebrał siły, a potem sprawił, by szklanka przysunęła się do niego. Złapał ją dłonią na sekundę przed tym, jak spadłaby ze stołu.

Mógłbym wytrącić porywaczom broń z rąk. Walnąć nimi o ścianę. Ale chcę, żebym tu siedział jak jakiś dzieciak!

Zerknął na siedzącego obok Yando. Chłopiec patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

– Nie wolno tego robić – szepnął.

Nick wiedział, że chodzi o sztuczkę ze szklanką. Nauczyciele nazwaliby to „nieuzasadnionym wykorzystaniem zdolności biotycznych”, czymś, na co nie patrzyli przychylnie. Nie chcieli, by dzieci przeciążały się, eksperymentując na własną rękę. Ale dla Nicka przesuwanie szklanki było łatwe. Korzystał z biotyki od lat. Wiedział, do czego jest zdolny, chociaż nikt inny w niego nie wierzył.

– Hej, Yando – powiedział, wpadłszy nagle na pomysł. – Potrzebuję twojej pomocy.

– W czym? – młodszy chłopiec był podejrzliwy. Nieustannie bał się, że będzie miał kłopoty, ale Nick wiedział, że w końcu i tak Yando go posłucha.

– Idź do kapitan Jimenez i powiedz jej, że musisz skorzystać z toalety.

– Toaleta jest tam – powiedział Yando, wskazując na tył stołówki.

– Wiem. Powiedz jej, że musisz iść, ale się boisz. Powiedz jej, że musi pójść z tobą.

– To dziewczyna! Nie może wchodzić do łazienek dla chłopców!

Nick westchnął z irytacją.

– Jest strażnikiem. Może iść, gdzie chce. Daj mi dokończyć.

– Przepraszam – szepnął Yando.

– Wejdz do kabiny i policz do dziesięciu. Potem zacznij krzyczeć i płakać, jakby ci odbiło.

– Co? Nie ma mowy! Wszyscy będą się ze mnie nabijać, że taki ze mnie dzieciuch!

– Nie pozwolę na to – zapewnił go Nick. – Wiesz, że jestem z tobą.

To była prawda. Nick pilnował Yando, od chwili gdy maluch trafił do projektu.

– No dalej, stary. Potrzebuję, żebyś to zrobił. To ważne.

– Czemu? Co chcesz zrobić?

– Nie mogę powiedzieć – odparł Nick. – W ten sposób, jeśli mnie złapią, nie będziesz miał kłopotów.

Yando to przemyślał, kiwając powoli głową w przód i w tył. Kiedy się odezwał, nie odmówił.

– Dobrze. Powiem jej.

– Zuch chłopak – stwierdził Nick. – Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

Obrócił się, by obserwować, jak Yando idzie przez stołówkę do kapitan Jimenez.

Przez chwilę sądził, że kapitan odmówi albo pośle z nim kogoś innego. Ale potem rozejrzała się pośpiesznie i wzięwszy Yando za rękę, zaprowadziła go do toalety.

Pilnując się, by nie iść za szybko, Nick wstał i podszedł do drzwi. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Młodsze dzieci drzemały na krzesłach. Starsze siedziały w grupkach, dyskutując z ekscytacją o wydarzeniach. Nauczyciele i strażnicy rozdawali dzieciom jedzenie i picie i starali się sprawiać wrażenie, że wiedzą, co się dzieje.

Nick stanął z boku, starając się nie wyglądać podejrzanie. Po chwili usłyszał piskliwy płacz dochodzący z tyłu stołówki. Yando zrobił to, co obiecał.

Gdy wszyscy odwrócili się, by sprawdzić, co się dzieje, Nick uchylił drzwi stołówki i wymknął się na zewnątrz, cicho zamykając je za sobą. Wiedział, że Yando go nie wyda, a w tłumie ludzi zebranych w pomieszczeniu zapewne nikt nie zauważy jego zniknięcia.

Był dumny z siebie, że udało mu się zrealizować tak genialny plan, ale uświadomił sobie jedno ogromne niedopatrzenie: mógł teraz pójść za Kahlee, tylko nie wiedział dokąd.

Zawahał się, próbując wymyślić, co dalej robić. Powrót do stołówki nie wchodził w grę, nie po tym, jak udało mu się stamtąd uciec. Poszedł więc w stronę dormitorii, mając nadzieję, że po drodze coś wymyśli albo będzie miał szczęście i wpadnie na pannę Sanders lub porywaczy.

* * *

Kai Leng nigdy wcześniej nie był w Akademii Grissoma. Na szczęście szkołę zaprojektowano tak, by odwiedzający rodzice byli w stanie sami się po niej poruszać. Na ścianach były schematyczne mapy stacji mające pomóc gościom odnaleźć właściwą drogę.

Biorąc pod uwagę przeszłość córki Graysona, łatwo było się domyślić, że ten poszedł do skrzydła Projektu Podniesienie. Korzystając z map, Kai Leng był w stanie tam dotrzeć bez większych trudności.

Korytarze były całkowicie opuszczone, nie pojawił się tu nawet żaden patrol ochrony. Kai Leng uważał to za pechowy zbieg okoliczności – gdyby wpadł na strażników, mógłby zdobyć od nich jakąś broń. W tej chwili musiał opierać się tylko na swoim wyszkoleniu w sztukach walki.

Gdy dotarł do skrzydła projektu, przyjrzał się wyrysowanej na ścianie mapie. Nie miał pewności, ale instynkt podpowiadał mu, że Grayson poszedł do miejsca oznaczonego jako „Teren zamknięty”.

Skierował się tam, ale nim dotarł do celu, usłyszał za plecami głos młodego chłopaka:

– Nie ruszaj się, chyba że chcesz, żebym tobą rzucił o ścianę.

Kai Leng zatrzymał się i odwrócił ku niespodziewanemu wrogowi. W korytarzu stał nastolatek z ciemnymi, potarganymi włosami.

– Jestem biotykiem – ostrzegł dzieciak. – Mogę tobą kozłować jak piłką do kosza.

Jego słowa były bezczelne, ale nie zdołały zamaskować strachu.

Kai Leng nie miał wątpliwości, że pokonałby dzielącą ich odległość, nim jego przeciwnik zdołałby zebrać siły na biotyczny cios. Ale przemoc nie zawsze była najlepszym rozwiązaniem.

– Jesteś jednym z uczniów Kahlee – powiedział.

– Znasz pannę Sanders? – zapytał niepewnie chłopiec.

– Przyleciałem tu razem z nią. Pracujemy razem.

Dzieciak odetchnął i odprężył się.

– Przepraszam. Myślałem, że jesteś jednym z porywaczy.

Kai Leng nie był pewien, o czym mały mówi, ale zdecydował się podchwycić temat:

– Gdybym był porywaczem, chyba miałbym ze sobą jakąś broń?

Dzieciak wzruszył ramionami.

– Może żadnej nie potrzebujesz. Wyglądasz na twardziela.

– Twardziel jest po twojej stronie – zapewnił go Kai Leng. – Muszę znaleźć Kahlee.

Wiesz, dokąd poszła?

Dzieciak pokręcił głową.

– Kazała ochronie zebrać nas wszystkich w stołówce, a potem uciekła. Ale wymknąłem się, żeby pomóc. Jestem najsilniejszym biotykiem w szkole.

– Nie wątpię – skinął głową Kai Leng. – Jak masz na imię?

– Nick. Nick Donahue.

– Ja jestem Steve. Może mógłbyś mi pomóc.

– Jasne – zgodził się Nick. – Czego ci trzeba?

– Na mapach stacji jest sekcja oznaczona jako teren zamknięty. Wiesz, co tam jest?

– Jeśli ci powiem – odparł dzieciak – to będziesz mnie musiał zabrać ze sobą.

– Umowa stoi – powiedział Kai Leng, wiedząc, że jeśli wpadnie na Graysona, to dobrze będzie mieć przy sobie potężnego biotyka – nawet tak młodego jak Nick. Poza tym gdyby

zrobiło się gorąco, zawsze mógł wykorzystać dzieciaka jako zakładnika.

– Tam jest laboratorium i archiwum – wyjaśnił Nick. – Myślisz, że tam poszła panna Sanders?

– Bardzo prawdopodobne. Pokażesz mi drogę?

– Jasne. Za mną.

* * *

Kahlee wybiegła zza rogu i zatrzymała się, zobaczywszy klęczącego na środku korytarza Andersona. Był odwrócony do niej plecami, celował ze strzelby w drzwi laboratorium.

Już miała go zawołać, gdy nagle z laboratorium wyszedł Grayson. Anderson wystrzelił, ale kule odbiły się od lśniącej bariery biotycznej. Grayson gwałtownie wyciągnął przed siebie rękę i korytarzem przetoczyła się potężna fala ciemnej energii.

Kahlee zdążyła tylko zarejestrować, że Anderson leci w jej stronę, jakby był kulą wystrzeloną z armaty, a potem i ją uderzyła fala. Na szczęście była na tyle daleko, że nie dotarł do niej początkowy impet uderzenia, większość energii już się rozproszyła i Kahlee została tylko zwalona z nóg. Ale Anderson był o wiele bliżej Graysona, gdy ten uwolnił falę, i siła ataku przetoczyła go ponad dwadzieścia metrów.

Kahlee jęknęła z bólu, gdy musiała podeprzeć się na połamanych dłoniach, by wstać. Leżący u jej stóp, przypominający kupkę nieszczęścia Anderson nie ruszał się i nie wydawał żadnego dźwięku. Nim zdążyła sprawdzić, co z nim, stanął przed nią Grayson, celując dwoma pistoletami prosto w jej twarz.

* * *

Grayson wiedział, że Żniwiarze zabiją Kahlee, a on nic nie może zrobić. Zamknęli go we wnętrzu jego własnego ciała, tak że był bezradny i pozbawiony wpływu na świat fizyczny.

Rozpaczliwie próbował jeszcze jeden, ostatni raz pokonać obcych, zdając sobie sprawę, że może to być ostatni akt jego wolnej woli, nim zostanie całkowicie wchłonięty. Ale zamiast walczyć o odzyskanie władzy nad ciałem, skupił całą swoją energię na jednej myśli: *Kahlee jest zbyt przydatna, by ją zabić.*

Nie wiedział, czy podstęp się udał, ale nagle poczuł, jak Żniwiarze przeszukują jego myśli, wygrzebując wszystko, co wiedział o Kahlee Sanders. Próbował więc wpływać na ich poszukiwania.

Wie więcej o Projekcie Podniesienie niż ktokolwiek inny. Badala te dzieci od lat. Analizowała dane pod każdym możliwym kątem. Jest jednym z najgenialniejszych umysłów galaktyki. Jest więcej warta żywa niż martwa.

Zamiast nacisnąć spust, Żniwiarze wsadzili jeden pistolet za pas. Wolną ręką złapali

Kahlee za ramię tak mocno, że jęknęła z bólu.

– Chodź ze mną – powiedzieli, ciągnąc ją za sobą.

* * *

Kahlee nie protestowała, gdy Grayson złapał ją za ramię i poprowadził ze sobą. Wydawało się, że zupełnie zapomniał o Andersonie.

Nie miała pojęcia, czy David jeszcze żyje. Odchodząc, zostawili za sobą jego nieruchome ciało, ale Kahlee nie miała zamiaru sugerować Graysonowi, że admirał może jeszcze oddychać.

Gdy skręcili i Anderson znikł z pola widzenia, odważyła się odezwać:

– Grayson, proszę... Wiem, co się z tobą dzieje. Chcę ci pomóc.

– Graysona już nie ma – odparł ciągnący ją za sobą mężczyzna.

Poruszali się tak szybko, że właściwie ją niósł, jej stopy tylko szurały po podłodze, gdy rozpaczliwie próbowała dotrzymać mu kroku i sprawić, by uścisk na ramieniu zelżał.

– Zwolnij! Robisz mi krzywdę!

Ku jej zaskoczeniu posłuchał. Zwolnił tylko odrobinę, ale wystarczająco, by mogła dotrzymać mu kroku. Widziała tylko jedno możliwe wyjaśnienie: gdzieś, głęboko w środku tego koszmaru wlokącego ją korytarzami Akademii Grissoma, wciąż żyła niewielka część Graysona.

Dwadzieścia sześć

Powrót Davida Andersona do przytomności nie był przyjemny. Zaczął się od ostrego, kłującego bólu w lewym boku, który wzrastał przy każdym oddechu. Anderson nie myślał jeszcze jasno: nie mógł sobie przypomnieć, gdzie był ani jak się tu znalazł. Ale wyszkolenie wojskowe pozwoliło mu skupić się na bólu i podjąć próbę zdiagnozowania się.

Połamane żebra. Zapadnięte płuco.

Jego stan nie był krytyczny, ale z pewnością wpływał na szybkość działania. Admirał przetoczył się energicznie na plecy i spróbował ocenić zakres uszkodzeń, obmacując się prawą ręką. Próba poruszenia nią niemal kosztowała go utratę przytomności.

Strzaskany obojczyk. Prawdopodobnie wybite ze stawu ramię.

Czuł się jak po zderzeniu z pędzącym z pełną szybkością pociągiem.

Albo cholernie mocnym ciosem biotycznym.

Nagle wszystko sobie przypomniał. Nie wiedział, jak długo był nieprzytomny ani czemu Grayson go nie dobił, ale wciąż żył. A to już było coś.

No dalej, żołnierzu. Wstawaj.

Próbując się nie kręcić, by nie powodować bólu w żebrach, i starając się nie poruszać zbyt mocno ręką, co podrażniłoby złamany obojczyk, spróbował wstać... i zaraz upadł z impetem, gdy zerwane wiązadła w lewej kostce poddały się pod jego ciężarem.

Gdy uderzył o ziemię, przeszył go ból tak wielki, że wymiotował do wnętrza hełmu. Skórcze żołądka sprawiły, że żebra zaprotestowały, co skończyło się atakiem kaszlu, który jeszcze bardziej ścisnął jego zapadnięte płuco, przez co poczuł się, jakby ktoś siedział w jego klatce piersiowej i go dusił.

Wiedząc, że jedynym sposobem na powstrzymanie tego domina jest leżenie nieruchomo, Anderson zmusił swoje ciało, by przestało się wić, mimo że kostka, klatka piersiowa i ramię wciąż promieniowały bólem.

Otworzył usta i wziął kilka powolnych, płytkich oddechów, ignorując posmak ostatniego posiłku, który zalegał mu w ustach. Smak był obrzydliwy, ale jeszcze gorszy był odór we wnętrzu hełmu.

Gdy straszliwy ból w końcu trochę zelżał, Anderson powoli podniósł sprawne ramię i odpiął hełm, pozwalając mu opaść na podłogę. Walcząc z pokusą zaczerpnięcia głębokiego

oddechu świeżego powietrza, ostrożnie usiadł.

Opierając się o najbliższą ścianę, zdołał wstać, dbając, by ciężar ciała spoczywał tylko na prawej nodze. Kawałek dalej zauważył swoją strzelbę.

Kombinezon wpuszczał do jego ciała ciągły strumyk medżelu. Zaprogramowano go tak, by podawał małe dawki: zbyt wielkie mogły doprowadzić do utraty przytomności. Ograniczone dawki nie wystarczały, by wyleczyć obrażenia Andersona, ale ułatwiały mu radzenie sobie z bólem.

Stawiając powoli ostrożne kroki, podszedł do strzelby, krzywiąc się z bólu za każdym razem, gdy obciążał ranną nogę. Zdołał utrzymać broń w wywichniętej ręce. Ciężar strzelby sprawiał, że złamany obojczyk promieniował bólem, ale nie było innego sposobu, żeby ją nieść. Zdrowa ręka była mu potrzebna, by podpierać się o ścianę.

Zaciskając zęby, ruszył w stronę lądowiska, mając nadzieję, że dogoni Graysona, nim ten zdoła uciec. Zapadnięte płuco zmuszało go do brania krótkich, płytkich oddechów, co sprawiało, że chociaż szedł bardzo powoli, męczył się jak w trakcie sprintu.

Nie minęło wiele czasu, nim środki przeciwbólowe podawane przez kombinezon zaczęły działać, łagodząc szok. W ramach bonusu Anderson znalazł się na lekkim haju.

Skup się, żołnierzu. Żadnych snów na jawie, póki nie ukończysz misji.

* * *

Kahlee próbowała wymyślić jakiś sposób na dotarcie do Graysona. Gdy próbowała zwrócić się bezpośrednio do niego, Żniwiarze go wyłączyli. Ale gdy poprosiła Żniwiarzy, by szli wolniej, Grayson zdołał w jakiś subtelny sposób na nich wpłynąć. Zupełnie jakby Żniwiarze, skupiając się na czymś z zewnątrz, osłabiali swoje panowanie nad Graysonem.

– Dlaczego tu jesteście? – zapytała Kahlee. – Czego od nas chcecie?

Nie była pewna, czy Żniwiarze w ogóle jej odpowiedzą. Miała tylko nadzieję, że zdoła ich zająć na tyle, by Grayson miał szansę. Ale nie była w stanie określić, na co miałyby tę szansę wykorzystać.

– Szukamy zbawienia – odpowiedział ku jej zaskoczeniu Grayson. – Naszego i waszego.

– Zbawienia? Czy to właśnie robią Zbieracze? Ratują tych kolonistów? To robicie z Graysonem?

– Został przekształcony. Ewoluuował w coś wspanialszego niż przypadkowy zbiór komórek i odpadów organicznych.

– To właśnie ta przypadkowość sprawiała, że był wyjątkowy – zaprotestowała Kahlee. – Szczególny.

Zauważyła, że ich krok stał się równiejszy i bardziej przemyślany. Jeśli Grayson wciąż był tam w środku, jeśli miał jakkolwiek moc, to używał jej, by ich spowolnić. Próbował dać jej czas na ucieczkę. Najlepsze, co ona mogła zrobić, to zagadywać ich.

– Dlaczego nie zostawicie nas w spokoju? Dlaczego nie pozwolicie nam żyć tak, jak chcemy?

– Jesteśmy strażnikami cyklu. Twórcami i niszczycielami. Twoje istnienie to chwila, iskra. Możemy je zniszczyć, ale możemy je też ocalić. Poddaj się nam, a uczynimy cię nieśmiertelną.

Teraz już prawie w ogóle się nie poruszali. Grayson zdołał zmienić ich pośpieszną ucieczkę z Akademii w pełzanie.

– Istoty organiczne żyją, umierają i zostają zapomniane. Nie jesteście w stanie pojąć nic, co wykracza poza ten cykl. Ale istnieje sfera egzystencji poza waszym rozumieniem.

Było coś dziwnego w tym, co Grayson mówił. Wiedziała, że przemawiają przez niego Żniwiarze, ale wydawało jej się, że on – albo oni – naprawdę chcą, by zrozumiała ich punkt widzenia. Zupełnie jakby próbowali ją przekonać, by się z nimi zgodziła, ale nie wiedzieli, jak przedstawić swoje argumenty tak, by mogła je zrozumieć.

– Jesteśmy szczytem ewolucji – powiedzieli. – Ale widzimy potencjał w waszym gatunku. Można was wznieść. Odrzucić ograniczenia organicznego ciała. Możecie przerosnąć samych siebie.

Nie brzmiało to przekonująco, ale czuła, że w tych słowach jest ukryte jakieś głębsze znaczenie.

– Wasze rozumienie jest ograniczone przez genetykę. Nie jesteście w stanie spojrzeć poza krótką chwilę waszej własnej egzystencji. Ale nasza wiedza jest nieskończona, tak jak my.

Im więcej Grayson mówił, tym więcej sensu miały dla niej jego słowa na bardzo głębokim, niemal podświadomym poziomie.

– Prawa rządzące wszechświatem są nienaruszalne. Niezmienne. Wasz opór doprowadzi tylko do waszego wyginięcia. To, czym jesteśmy, to, co robimy, jest nieuniknione.

Kahlee była już tak głęboko urzeczona ich słowami, iż nie zdawała sobie nawet sprawy, że kiwa głową.

* * *

Kai Leng usłyszał dochodzące z korytarza głosy. Były słabe, zbyt ciche, by rozróżnić słowa, ale poznał głos Graysona.

Położył rękę na ramieniu Nicka, dając mu znak, by się zatrzymał. Chłopak nic nie usłyszał, więc odwrócił się i zaciekawiony spojrział na Kai Lenga. Był na tyle bystry, żeby się nie odzywać.

Zabójca nasłuchiwał, skupiając się na odległych głosach, aż zyskał pewność, że zbliżają się do nich. Wskazał na pobliskie biuro ze zgaszonym światłem i otwartymi drzwiami. Obaj weszli do środka, a Kai Leng zamknął natychmiast drzwi i zapalił światło.

– Usłyszałem coś w korytarzu – szepnął. – Porywacze tu idą.

– Co zrobimy? – głos przechodzącego mutację Nicka zachrypiał pod wpływem strachu i ekscytacji.

– Myślę, że idą na lądowisko. Miną nas.

Nick skinął głową, by pokazać, że jak na razie wszystko rozumie.

– Nie mam broni, ale ty tak – mówił dalej Kai Leng. – Jeśli zaczekamy tu, aż nas miną, to zdołasz zebrać dość energii, żeby zadać im taki cios, który ich unieszkodliwi?

– Masz na myśli zabije? – zdziwił się Nick.

– To niebezpieczni ludzie – ostrzegł go Kai Leng. – Jeśli ich nie zabijemy, oni zabiją nas.

– Ja... ja nigdy nikogo nie zabiłem.

Kai Leng skinął głową ze zrozumieniem.

– To nic. Rozumiem. To zbyt wiele dla kogoś w twoim wieku. Może lepiej po prostu się schowamy i zaczekamy, aż przejdą.

– Nie – odpowiedział pośpiesznie Nick. – Nie chcę się chować. Dam radę.

– Jesteś pewien? To nie będzie łatwe.

– Dam radę – obiecał Nick.

– Dobrze. Plan jest taki. Czekamy tu przy zamkniętych drzwiach i zgaszonym świetle, póki nas nie miną. Potem ja naciskam panel, a ty wyskakujesz na korytarz i walisz w nich wszystkim, co masz, zanim zdążą się odwrócić.

– A to nie będzie jak wbijanie im noża w plecy?

– To nie jest gra, Nick. Tu nie ma czegoś takiego jak granie fair.

– Tak. Jasne. Dobrze.

– Zgaszę teraz światło. Jesteś gotów?

Nick skinął głową, a Kai Leng pogrążył pomieszczenie w ciemnościach. W pierwszej chwili miało się wrażenie, że nie było żadnego źródła światła, ale po kilku minutach zaczęli dostrzegać delikatne iluminacje pochodzące z różnych przedmiotów: migające światełko wiadomości na terminalu Extranetu, podświetlane włączniki na konsoli komputerowej i ekranie, upiorny zielony blask panelu obok drzwi. Nie było to wiele, ale widzieli w mroku zarys swoich sylwetek.

Kai Leng przycisnął ucho do drzwi i nasłuchiwał. Docierał do niego głos Graysona, do którego chwilami dołączała Sanders. Nie powiedział Nickowi o Kahlee – wtedy mógłby zrezygnować z ataku, a Kai Leng bez wahania gotów był ją poświęcić, jeśli przy okazji była możliwość wyeliminowania Graysona.

Spojrzał na Nicka i ze zdumieniem dostrzegł małą iskierkę przemykającą wzdłuż jego karku. Do pierwszej iskry dołączyły następne, w miarę jak chłopak zbierał moc, a po chwili jego ciało zaczęło emitować fale drobnej energii.

Długo potrwało, nim Grayson i Kahlee dotarli do biura. Byli o wiele wolniejsi, niż Kai Leng sądził. Gdy minęli drzwi, odczekał kilka sekund, by odeszli jeszcze kawałek dalej, po

czym nacisnął panel i uskoczył z drogi.

Nick ruszył do akcji, wypadając na korytarz z okrzykiem wyrażającym jego młodzieńczy gniew.

* * *

Nagromadzenie ładunków biotycznych sprawiało, że Nick czuł niewygodę. Miał wrażenie, że żuje folię aluminiową, oczy go swędziały, a w uszach dzwoniło. Ale warto było to znieść, jeśli miał dzięki temu dostać szansę na zatrzymanie porywaczy i zrobienie wrażenia na pannie Sanders.

Gdy drzwi się otworzyły, wypadł na zewnątrz, posyłając na wrogów falę energii. Zbyt późno zdał sobie sprawę, że jedną z osób, które zamierzał potraktować ciosem biotycznym, jest właśnie Kahlee.

Moc wylewała się już niepowstrzymanym strumieniem, a on nie miał dyscypliny umysłowej ani kontroli pozwalającej ją po prostu odciąć. Najlepsze, co był w stanie zrobić, to skupić ją na czymś innym. Zamiast skoncentrowanego strumienia zabójczej siły wygenerował rozlewającą się falę, co sprawiało, że cios rozpraszał się na większym obszarze.

Jego okrzyk sprawił, że Kahlee i mężczyzna idący obok odwrócili się w jego stronę. Widział wyraźnie ich twarze, zaskoczenie w ich oczach, gdy zostali poderwani w powietrze i uderzyli w przeciwległe ściany, a potem upadli z impetem na ziemię.

– Jeszcze raz – krzyknął z zaciemnionego biura wytatuowany mężczyzna, który kazał do siebie mówić Steve. – Wykończ ich!

Nick, skonfundowany i przytłoczony wszystkim, był tylko w stanie patrzeć z przerażeniem, jak dziwnie wyglądający pół człowiek, pół maszyna wstaje i odwraca się w jego stronę.

* * *

Krzyk Nicka dał Kahlee dość czasu, by zrozumiała, co się dzieje, i przygotowała się na cios. Jednak fala biotyczna uderzyła w nią tak mocno, że pistolet, który miała za paskiem, wypadł i potoczył się po podłodze.

Na szczęście uderzyła o ścianę ramieniem, a nie głową, nie straciła więc przytomności. Nie wiedziała, jak Nick ich znalazł. Wiedziała tylko, że atakując Graysona, stał się w oczach Żniwiarzy zagrożeniem.

Działając powodowana raczej instynktem niż rozumem, poderwała się i rzuciła na Graysona, wpadając na niego, gdy podnosił pistolet i strzelał do młodego napastnika. Zdołała go przewrócić, ale gdy oboje padali na ziemię, usłyszała wystrzał i jęk Nicka.

Grayson poderwał się na nogi i wolną ręką złapał ją za pasek. Podniósł ją jak worek mąki,

nim odrzucił od siebie.

Wymachując dziko rękami i nogami, wyleciała w powietrze. Zaskoczona nie zdołała przygotować się na uderzenie i twarzą rąbnęła o podłogę. W oczach stanęły jej gwiazdy. Oszołomiona i półprzytomna nie była w stanie nawet się obrócić, żeby zobaczyć, co się dzieje.

* * *

Stojący w biurze Kai Leng widział, jak Nick zostaje postrzelony w brzuch. Gdy chłopak, jęcząc z bólu, padał na kolana, Kai Leng wkroczył już do akcji.

Widział, jak zza pasa Kahlee wypada pistolet. Wiedział, że to jego jedyna szansa na przeżycie konfrontacji. Grayson odrzucił Sanders na bok, a dzięki temu, że był skupiony na czymś innym, Kai Leng zyskał kilka cennych ułamków sekundy. Zanurkował i prześlizgnął się po podłodze, łapiąc pistolet i przekręcając się na plecy, by móc strzelić do Graysona.

Ale Żniwiarze byli zbyt szybcy. Gdy on sięgał po broń, oni pokonali dzielącą ich od niego odległość. Stopa Graysona wytrąciła mu pistolet z ręki, kopiąc z taką siłą, że złamała Kai Lengowi nadgarstek.

Zabójca wiedział, że to już koniec. Spojrzał na stojącego nad sobą potwora, przygotowany na spotkanie ze śmiercią. Drgnął, gdy usłyszał odgłos wystrzału. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że to nie do niego strzelano.

Grayson odsunął się, odsłaniając strzelca. Anderson stał w połowie korytarza, przyciskając kolbę do brzucha i podtrzymując strzelbę jedną ręką. Druga, wiotka i bezużyteczna, wisiała wzdłuż boku.

Wystrzelił jeszcze raz, a ciało Graysona zadrżało i upadło na podłogę.

* * *

Gdy Grayson leżał na plecach, patrząc w sufit i z trudem łapiąc oddech, Żniwiarze opuścili jego ciało. Ich awatar został zniszczony, przenieśli więc swoją świadomość z powrotem w ciemną pustkę kosmosu, pozostawiając umierającego Graysona samego.

Nareszcie wolny, obrócił głowę. Wokół świat zaczął tracić kolory. Zobaczył, jak Kahlee dzielnie podnosi się z podłogi, i uśmiechnął się.

Jego głowa powróciła do poprzedniej pozycji i znowu patrzył w sufit. Zobaczył nad sobą głowę i ramiona ciemnowłosego mężczyzny o azjatyckich rysach. Potrwało chwilę, nim Grayson rozpoznał agenta, który zaatakował go w celi w bazie Cerberusa.

Życie zdawało się nagle zwolnić, gdy usłyszał znajome *pif-paf* pistoletu, standardowy podwójny strzał, którego uczono zabójców Cerberusa. Gdy dwie kule wbiły się w jego czaszkę, wszystko po raz ostatni spowiła ciemność.

Dwadzieścia siedem

Żeby wycelować, Anderson musiał oprzeć strzelbę o brzuch. Gdy wystrzelił, musiał wstrzymać oddech i naprężyć mięśnie brzucha, aby złagodzić siłę odrzutu i nie zemdlec z bólu. Mimo tych środków ostrożności po każdym naciśnięciu spustu potrzebował chwili, by dojść do siebie.

Zdołał trafić Graysona za pierwszym razem. Na szczęście w przypadku strzelb idealna celność z bliskiej odległości nie była wymagana. Grayson zachwiał się, ale nie upadł. Jednak ten strzał i ten, który Anderson oddał do niego w archiwum, spowodowały powstanie tak wielkich obrażeń, że Żniwiarze mogli tylko próbować utrzymać go na nogach.

To dało Andersonowi dość czasu, by się pozbierać i wystrzelić jeszcze raz, w końcu powalając Graysona. Podczas gdy admirał zbierał się po odrzucie drugiego wystrzału, Kai Leng podniósł z podłogi pistolet i dobił Graysona dwoma strzałami w głowę z bliskiej odległości.

Nim zabójca zdążył znaleźć sobie nowy cel, Anderson powiedział:

– Rzuć broń i nie ruszaj się!

Nie krzyczał ani nie podniósł głowy. Mimo że dostał dawki medyzelu, jego zapadnięte płuco i połamane żebra zbyt bolały, aby był w stanie wziąć głębszy oddech. Ale wiedział, że Kai Leng go dobrze usłyszał.

Zabójca znieruchomiał, wciąż celując w leżące na ziemi ciało Graysona. Anderson wiedział, o czym Kai Leng myśli. Czy zdąży podnieść pistolet i wystrzelić, nim Anderson naciśnie spust? Był szybki, ale czy wystarczająco szybki?

– Nie rób tego – ostrzegł Anderson. – Mam cię na oku. Z tej odległości nawet JA nie spudłuję.

Ulżyło mu, gdy Kai Leng wypuścił broń z ręki.

Gdy Anderson przybył na miejsce, dostrzegł nieprzytomnego nastolatka z raną brzucha, a teraz kątem oka zauważył, jak Kahlee otrząsa się z oszołomienia i odzyskuje przytomność, po tym jak Żniwiarze rzucili nią o podłogę. Ale żadnemu z nich nie mógł pomóc. Jeszcze nie. Kai Leng był zbyt niebezpieczny, by ryzykować. Póki stanowił zagrożenie, Anderson musiał skupiać się wyłącznie na nim.

– Powoli i spokojnie – powiedział Anderson – popchnij nogą pistolet w moją stronę.

Trzymał palec na spuście, gotów w razie konieczności wystrzelić, podczas gdy Kai Leng robił, co mu kazano. Niech Bóg ma go w swojej opiece, jeśli Anderson będzie musiał kichnąć. Broń przetoczyła się po podłodze i znieruchomiła kilka cali od stopy admirała.

– A teraz złóż ręce na karku, obróć się twarzą do ściany i klęknij.

Zabójca posłuchał i Anderson nareszcie poczuł, że sytuacja jest opanowana. Klęcząc w takiej pozycji, nawet Kai Leng nie zdołałby umknąć przed wystrzeloną z bliska kulą.

– Co teraz? – zapytał zabójca.

– Ta strzelanina musiała zwrócić czyjaś uwagę. Patrole pojawią się pewnie za parę minut. Poczekamy na nie.

Spojrzał w stronę Kahlee i zauważył, że wstała, opierając się o ścianę i próbując zebrać do kupy. Dostrzegła ciało Graysona leżące tuż obok, a potem chłopca, który padł kawałek dalej.

– Nick! – krzyknęła, biegnąc do niego i klękając obok, by sprawdzić jego obrażenia.

Anderson trzymał strzelbę wycelowaną w Kai Lenga, czujny, na wypadek gdyby agent chciał skorzystać z okazji i uciec. Zabójca nie poruszył się, ale przemówił.

– Wiecie, mogłem was zabić – powiedział, patrząc w ścianę. – Ale tego nie zrobiłem. Nie mam powodu, żeby was krzywdzić.

– Davidzie – Kahlee podniosła głowę znad ciała nieprzytomnego chłopca – on traci za dużo krwi. Potrzebuję apteczki.

– Chciałem tylko powstrzymać Graysona – Kai Leng mówił dalej, jakby jej nie usłyszał.

– Wykonałem zadanie. Pozwólcie mi po prostu odejść.

– Nigdzie nie idziesz – warknął Anderson. – To wszystko twoja wina. Grayson. Ten dzieciak. Masz ich krew na rękach!

– David! – krzyknęła Kahlee. – Mogę go uratować. Ale potrzebuję apteczki!

– Idź – powiedział Anderson, nie spuszczając oczu z Kai Lenga. – Nie wiem, gdzie są. Znajdź jakąś i przynieś.

– Musimy uciskać ranę – zaprotestowała Kahlee. – Wykrwawi się, zanim wrócę.

– Nie mogę spuścić tego faceta z oczu – pokręcił głową Anderson. – Będziemy musieli poczekać na ochronę. Niedługo powinni tu być.

– Nie ma na to czasu – upierała się Kahlee.

– Ty – powiedział Anderson do Kai Lenga, podjąwszy decyzję. – Wstawaj. Powoli. Podejdź tam i uciskaj ranę małego. Trzymaj ją, póki Kahlee nie wróci.

– Nie – odparł Kai Leng głosem kompletnie pozbawionym emocji, nie ruszając się.

– Nie? – powtórzył niedowierzająco Anderson.

– Masz wybór – powiedział mu spokojnie zabójca. – Zatrzymujesz krwawienie, podczas gdy ona szuka apteczki, a ja znikam. Albo celujesz do mnie, aż zjawi się ochrona, i wszyscy patrzemy, jak chłopak umiera.

– Ty sukinsynu! – wrzasnęła Kahlee. – To tylko dziecko!

– To wybór Andersona – powiedział Kai Leng. – Musi tylko pozwolić mi odejść.

Kai Leng wciąż klęczał twarzą do ściany. Anderson wykorzystał to, by odłożyć strzelbę i podnieść pistolet. Poruszając się powoli i nie spuszczać oczu z Kai Lenga, podszedł do siedzącej nad Nickiem Kahlee, która swoimi połamanyymi dłońmi uciskała ranę w brzuchu chłopaka, a jej ramiona drżały z wysiłku.

– Mam tylko jedną rękę – ostrzegł Anderson.

– Masz więcej sprawnych palców niż ja – przypomniała Kahlee. – Sięgnij do rany i naciskaj tak mocno, jak tylko możesz.

– Zakładam, że mogę odejść – powiedział pewnie Kai Leng.

Wciąż patrzył na ścianę, ale odważył się wstać. Anderson ostrożnie wycelował i strzelił. Kula trafiła w twardy mięsień z tyłu prawego uda zabójcy, wywołując krzyk bólu i sprawiając, że tamten upadł na podłogę.

Wijąc się na ziemi, sięgnął rękami do tyłu pod dziwnym kątem, by uciskać ranę. Anderson znowu strzelił, tym razem trafiając w łydkę lewej nogi.

Kai Leng zawył z bólu i wściekłości, a potem przetoczył się na brzuch i spojrzał na Andersona morderczym wzrokiem.

– Ochrona już tu idzie – zauważył Anderson. – Jeśli chcesz uciekać, to lepiej się pośpiesz.

Kai Leng wyszczerzył się z nienawiścią, a potem obrócił i zaczął czołgać w stronę lądowiska w desperackiej próbie ucieczki.

Anderson, mogąc wreszcie skupić się na Kahlee i jej pacjencie, upuścił pistolet na podłogę.

– Pokaż, co mam robić – powiedział.

– Sięgnij do rany, tam gdzie moje palce – odparła Kahlee.

Anderson zrobił, co kazała, ostrożnie wkładając dłoń do ciepłej, lepkiej dziury w brzuchu Nicka.

– Wyczuwasz tę rurkę, którą uciskam?

– Tak, chyba tak.

– Gdy zabiorę ręce, naciśnij na nią tak mocno, jak tylko jesteś w stanie. I pod żadnym pozorem nie puszczaj.

– Zrozumiałem.

– Na trzy. Gotów? Raz... dwa... trzy!

Kahlee wyciągnęła ręce z rany. Popłynęła krew, a Anderson wciąż próbował ułożyć swoją dłoń tak, by powstrzymać krwotok.

– Ciągle krwawi! – powiedział nerwowo.

– Naciśnij mocniej! – krzyknęła Kahlee. – Tak mocno, jak tylko potrafisz!

Anderson oparł się całym ciężarem ciała na jednej ręce i tryskająca krew zmieniła się w jeden cienki strumyczek.

– Dobrze. – Kahlee wstała i poklepała go po ramieniu. – Dasz radę tak trzymać?

– Przez jakiś czas – odparł. – Ale pośpiesz się.

Nie trzeba jej było tego dwa razy powtarzać. Usłyszał jej kroki cichnące w korytarzu i został sam z ciałem Graysona i umierającym chłopcem.

Oddech Nicka stał się urywany i płytki. Jego skóra była tak blada, jakby ktoś pomalował ją kredą, a na czoło wystąpiły mu krople potu.

– Nie rób jej tego, mały – szepnął. – Dziś już za dużo straciła.

Kahlee wróciła po niecałych dwóch minutach.

– Co z nim? – zapytała, kładąc apteczkę na podłodze.

– Ciągle jest z nami – odparł Anderson. Wyciągnęła strzykawkę i trzymając ją niezręcznie w poranionych palcach wbiła ją przez spodnie w udo Nicka.

W przeciwieństwie do małych ilości medżelu, które kombinezon wstrzykiwał Andersonowi, skoncentrowana dawka miała natychmiastowe, niemal cudowne działanie. Wspomagacze krzepliwości powstrzymywały krwawienie, a biologiczne nanidy zaczynały naprawiać uszkodzone komórki i tkanki. Jednocześnie silne działanie uspokajające medżelu sprawiało, że pacjent wchodził w stan przypominający hibernację, medycznie wywołaną śpiączkę, podczas której działały systemy podtrzymywania życia, a organy wewnętrzne zostawały naprawione. W przypadku poważnych ran pacjent wciąż wymagał operacji, ale poza ekstremalnymi przypadkami medżel był w stanie ustabilizować pacjentów do chwili, aż otrzymają pomoc.

W ciągu kilku sekund skóra Nicka odzyskała właściwy kolor, a oddech stał się powolny i regularny.

Kahlee pochyliła się i omnikluczem z apteczki, trzymanym pod dziwnym kątem w obu dłoniach, przeskanowała jego parametry.

– Działa – powiedziała. – Możesz puścić.

Anderson ostrożnie wysunął rękę z rany i energicznie odsunął się na bok, dając Kahlee dostęp do rannego.

Kahlee wyciągnęła z apteczki bandażę i grubą tubkę maści. Medżel, który wstrzyknęła Nickowi, był płynny, a w tej w tubie miał postać gęstego, lepkiego balsamu. Kahlee próbowała ją odkręcić, ale usztywnionymi palcami nie miała jak jej złapać.

– Przytrzymaj tubę – powiedział Anderson, sięgając sprawną ręką do zakrętki.

Przekręcił ją i zdjął. Kahlee wycisnęła balsam wprost na ranę, potem założyła opatrunek. Jeszcze raz przeskanowała chłopca omnikluczem, żeby upewnić się, że nic nie przeoczyła.

– Myślę, że wszystko będzie dobrze – oznajmiła, ocierając wierzchem dłoni spoczone czoło.

– Niezły z nas zespół – stwierdził Anderson. – Powinniśmy otworzyć klinikę.

– Szukasz pracy – przypomniała mu. – Więc albo klinika, albo...

Anderson uniósł rękę, uciszając ją.

– Słyszałaś?

Przechyliła głowę na bok.

– Kroki!

Kahlee poderwała się na nogi i zaczęła krzyczeć ile sił w płucach.

– Tutaj! Przy biurach administracji! Chwilę potem pojawili się ochroniarze – dwóch mężczyzn i kobieta.

– Usłyszeliśmy strzały, więc uznałam, że lepiej wyśle posiłki – powiedziała dowodząca zespołem kobieta. – Pozostali pilnują dzieci.

Spojrzała na ślady krwawej rzezi i zmutowane ciało Graysona i spoważniała. Gdy dostrzegła Nicka, na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie.

– Przepraszam – wykrztusiła. – Nie wiem, jak wydostał się ze stołówki. Nawet nie zauważyłam, że go nie ma!

Kahlee potrząsnęła głową.

– Kapitanie, to nie pani wina. I nic mu nie będzie... ale powinniśmy zabrać go do szpitala.

Szefowa ochrony skinęła głową i jeden z jej podwładnych podniósł ostrożnie Nicka.

– Wybaczcie, że przeszkadzam – wtrącił siedzący wciąż na podłodze Anderson. – Ale może pozostali powinni ścigać Kai Lenga.

– Oczywiście – zgodziła się Kahlee. – Mężczyzna, azjata. Tatuaz na karku. Nieuzbrojony, ale niebezpieczny.

– Ranny w obie nogi – dodał Anderson, wskazując na ślad krwi ciągnący się wzdłuż korytarza. – Nie powinno być kłopotów z wytropieniem go.

Strażnik niosący Nicka szedł powoli, by nie narażać go na wstrząsy, a pozostali ruszyli biegiem w pościg, zostawiając Andersona i Kahlee samych.

Kahlee przyklękła obok admirała.

– Wygląda na to, że nieźle oberwałś – powiedziała, sięgając po omniklucz. – Lepiej tobą też się zajmę.

– Za chwilę – odparł Anderson. – Najpierw się pożegnaj.

Spojrzała na ciało Graysona, potem wbiła wzrok w podłogę. Wstała, podeszła powoli do ciała i uklękła obok.

Anderson odwrócił się, dając jej trochę prywatności. Słyszał jej szept, ale nie starał się zrozumieć słów. Gdy usłyszał płacz, nie mógł nie spojrzeć, by upewnić się, że wszystko z nią w porządku.

Ścisnęła dłoń Graysona na swoim podolku, po jej policzkach spływały łzy. Podniosła jego dłoń do ust i ucałowała delikatnie, a potem pozwoliła jej opaść. Wytarła oczy, wzięła głęboki oddech i wstała.

Anderson nic nie powiedział, gdy usiadła obok niego. Zastanawiał się, o czym szeptała Graysonowi, ale nie miał prawa pytać. To nie była jego sprawa, tylko jej i Graysona.

– Zobaczmy, czy da się ciebie poskładać – powiedziała Kahlee, podnosząc omniklucz i uśmiechając się ze znużeniem.

Dwadzieścia osiem

Gdy Anderson unieszkodliwił obie nogi Kai Lenga, przez głowę tego ostatniego przeleciało kilka myśli.

Od razu wiedział, że rany nie zagrażają jego życiu. Oba strzały trafiły w mięśnie, żadne z głównych naczyń krwionośnych nie zostało uszkodzone. Rany krwawiły, ale nie obficie – dopiero za jakieś dwadzieścia minut utrata krwi będzie na tyle znaczna, by zagrażać życiu.

Wiedząc, że nie umrze, w pierwszej chwili Kai Leng chciał wyrównać rachunki. Gdy się czołgał, odwróciwszy głowę, dostrzegł, że Anderson i Kahlee koncentrują się na rannym chłopcu. Kai Leng uznał, że ma doskonałą okazję, by dotrzeć do ciała Graysona – i leżącego obok pistoletu – niezauważony.

Ale gdy już zdobędzie pistolet, co z nim zrobi? Anderson postanowił nie zabijać Kai Lenga, za dużo miał w sobie bohaterstwa, by mordować bezbronnego przeciwnika. Ale gdyby Kai Leng miał broń i zaczął strzelać, Anderson na pewno nie zawahałby się go wykończyć.

W normalnych okolicznościach i tak by zaryzykował. Ale Anderson miał kombinezon ochronny z barierami kinetycznymi. Z pewnością przeżyłby pierwsze kilka strzałów, co dawało mu szansę na złapanie pistoletu albo strzelby. Biorąc po uwagę obecny stan Kai Lenga, nie miałby szans na wygraną tej bitwy.

Mógł zabić Sanders, ale nie osiągnąłby tym niczego poza rozwścieczeniem Andersona. Mógł użyć pistoletu, by zagrozić Sanders i wziąć ją na zakładnika, ale to tylko dałoby ochronie czas na przybycie na miejsce. Wobec tak niesprzyjających okoliczności pozostawało tylko jedno wyjście.

Kai Leng uświadomił sobie, że nie jest jeszcze gotów umierać, więc postanowił zignorować pistolet i skupić się na ucieczce. Czołgał się dalej z prędkością ślimaka, aż zniknął za rogiem. Ból go nie spowalniał – był na tyle silny psychicznie, by go zignorować. Ale Anderson był zdolnym sukinsynem – wycelował dokładnie, wiedząc, że uszkodzenie mięśni uniemożliwi Kai Lengowi chodzenie.

Gładka podłoga Akademii nie dawała zbyt wielu punktów zapieczęcia dłoniom i palcom. Ucieczka była niewykonalna, jeśli pełzłby dalej jak ślimak. Ale Akademia była stacją kosmiczną – pola grawitacyjne w korytarzach były utrzymywane przez generatory efektu masy. W sytuacji awaryjnej sztuczna grawitacja mogła zawieść.

Wchodząc do stacji, Kai Leng zauważył metalowe szczeble na suficie. Miały na celu umożliwienie ludziom poruszania się w warunkach zerowej grawitacji. Zauważył też małą drabinę umieszczoną na ścianie kawałek dalej, mającą zapewnić dostęp do sieci elektrycznej. Jeśli dobrze pamiętał, drabina była po tej samej stronie korytarza co szczeble na suficie.

Od drabiny dzieliło go niecałe pięćdziesiąt metrów. Kai Leng poruszał się tak szybko, jak był w stanie, ale dotarcie do niej zajęło mu ponad minutę. Złapał za szczeble i podciągał się w górę po jednym, wlokąc za sobą bezwładne nogi.

Gdy dotarł do sufitu, zahaczył ramieniem o najwyższy pręt drabiny i próbował prawą ręką dosięgnąć szczebli na suficie. Nie mógł do nich dostać – opuszkami palców muskał twardy, wygładzony metal.

Nie zamierzał się poddawać, gdy ocalenie było tak blisko. Rzucił się do szczebli, odpychając się jednocześnie lewą ręką od drabiny. Jego palce zacisnęły się na szczeblu i zawisł na jednej ręce pod sufitem.

Zakołysał ciałem w przód i w tył, żeby się rozpędzić, a potem podciągnął się w górę, tak by lewą ręką złapać następny szczebel. Jednocześnie puścił ten, który trzymał prawą, i wypchnął ramię przed siebie, by pochwycić następny. Utrzymując tempo, podążał naprzód niczym jeden z małych przodków ludzkości.

Niebawem dłonie i ramiona zaczęły go boleć od wysiłku, ale tak samo jak w przypadku ran Leng po prostu zignorował ból. Gdy dotarł do pomieszczenia kontroli, ramiona mu drżały z wysiłku i jego uścisk w końcu osłabł.

Ledwie zdążył przygotować się na upadek, kiedy jego palce ześlizgnęły się ze szczebla i ciało rąbnęło na podłogę. Uderzenie sprawiło, że przez jego nogi przeszła kolejna fala bólu. Zobaczył gwiazdy i przez kilka sekund walczył o zachowanie przytomności.

Minutę zajęło mu dojście do siebie na tyle, by mógł podążać dalej. Serce waliło mu jak młotem, z trudem łapał oddech, ale ocalenie było już blisko. Nie było sposobu, by powrócić na szczeble pod sufitem, a nawet jeśli, to wyczerpane mięśnie dłoni i ramion nie utrzymałyby zapewne jego ciężaru. Nie mając innej możliwości, znowu zaczął się czołgać do przejścia do ramp.

Posuwając się naprzód cal za cal, minął dwa ciała strażników. Był w połowie rampy – niecały metr od śluzy statku – gdy usłyszał w korytarzu głosy.

– Jeszcze jedna plama krwi! – ktoś krzyknął. – Chyba zmierza do wahadłowców!

Kai Leng zwiększył wysiłki, czołgając się po metalowej kładce tak szybko, jak był w stanie. Za sobą słyszał dudnienie butów idących po niego strażników. Dotarł do śluzy, w chwili gdy pierwszy z nich znalazł się na rampie.

– Stój! – krzyknął ochroniarz.

Ignorując polecenie, Kai Leng wtoczył się do wnętrza śluzy i wyciągając rękę nacisnął na znajdujący się w połowie ściany panel zamykający.

Zwinął się w kłębek, kryjąc głowę, gdy otworzyli ogień. Kilka pocisków wdarło się do

śluzy i rykoszetami odbiło od ścian, nim ciężkie drzwi zamknęły się, ale żaden nie trafił w cel.

Kai Leng wiedział, że nie ma wiele czasu. Broń strażników nie była w stanie przebić się przez kadłub, a śluza była zamknięta. Ale wciąż mogli zhakować wejście i wdrzeć się na pokład, nim zdąży odlecieć.

Przeczołgał się do kabiny pilotów. Podciągając się na fotel, włączył kontrolki i odpalił silniki.

Na szczęście Akademia miała zewnętrzne lądowisko – o wiele tańsze niż wewnętrzny port. To oznaczało, że nie było ścian czy sufitu, które można było zamknąć, aby uniemożliwić mu ucieczkę.

Kilka sekund później statek wystartował i odleciał ze stacji. Wprowadził kurs do najbliższego przekaźnika masy, ale wiedział, że jest już wolny i bezpieczny, więc nie wchodził jeszcze w nadświetlną.

Przeczołgał się na tył kabiny, gdzie na podłodze wciąż leżała apteczka. Anderson zabrał z niej linę do związania więźnia, ale w środku wciąż był zestaw podstawowych środków medycznych.

Kai Leng znalazł tubę z medyzalem i rozsmarował go na ranach, by uśmierzyć ból i zapobiec infekcji. Uważał, żeby nie przedawkować i nie stracić przytomności. Potem wrócił do kabiny pilotów, podciągnął się na fotel i otworzył kanał komunikacyjny.

Ekran zamigotał i pojawiła się na nim twarz Człowieka Iluzji.

– Już po wszystkim? – zapytał.

– Grayson nie żyje – zapewnił go Kai Leng. – Ale nie udało mi się odzyskać ciała.

– Jest dalej na Omedze? – chciał wiedzieć Człowiek Iluzja.

– Nie. W Akademii Grissoma.

Na twarzy Człowieka Iluzji nie widać było zaskoczenia.

– Co z Sanders i Andersonem?

– Oboje w Akademii. Żywi.

– Chyba lepiej będzie, jak zdasz mi raport osobiście.

Kai Leng już zaczynał się zastanawiać, czy opuści to spotkanie żywy, gdy Człowiek Iluzja powiedział:

– Wiedziałem, że mogę na tobie polegać, że dokończysz misję. Jesteś cennym elementem organizacji – dodał, jakby czytając w myślach agenta. – Cerberus ma szczęście.

– Zaszczycem jest służyć sprawie – odparł Kai Leng.

– Stacja została przesunięta – oznajmił Człowiek Iluzja. – Przesyłam ci współrzędne.

Kanał komunikacyjny zabrzęczał, dając znak, że otrzymano dane. Ekran pociemniał, gdy Człowiek Iluzja zakończył połączenie.

Kai Leng rozsiadł się wygodniej i wypuścił powietrze z płuc. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymywał oddech.

Wprowadził do autopilota kurs na stację i wprowadził statek w nadświetlną. Sprawdziwszy plan lotu, przekonał się, że ma jeszcze godzinę, nim będzie musiał ręcznie sterować pierwszy ze skoków przez przekaźnik masy.

– Wyłącz światła – powiedział, zamykając oczy. – Pobudka za czterdzieści minut.

Po raz pierwszy od rozpoczęcia misji jego ciało zupełnie się odprężyło i bez trudności zapadł w głęboki i pozbawiony snów sen.

* * *

Minęły trzy dni od ucieczki Kai Lenga ze stacji. Rany Andersona zostały opatrzone – jego żebra wciąż były trochę nadwrażliwe i potrzeba było tygodnia, nim zrosną się zerwane wiązadła. Jednak czuł się już na tyle dobrze, że mógł wrócić do Cytadeli. Ale wpiery musiał porozmawiać z Kahlee.

Znalazł ją, tak jak się tego spodziewał, przy szpitalnym łóżku Nicka. Dotrzymywała mu towarzystwa podczas rekonwalescencji. Przez ostatnie trzy dni dzieliła swój czas między niego, Andersona a własną rehabilitację.

– Jak się masz, mistrzu? – zapytał Anderson, wchodząc.

– Dobrze – to było wszystko, co Nick miał do powiedzenia.

Nie był zbyt rozmowny w towarzystwie Andersona. Nic dziwnego. Widać było, że chłopak zadurzył się w Kahlee. Gdy byli sami, ona skupiała się tylko na chłopcu.

– Dobrze wyglądasz. – Kahlee uśmiechnęła się ciepło do Andersona.

Kątem oka admirał zauważył, jak Nick się krzywi, i musiał siłą powstrzymać uśmiech.

Daj sobie siana, mały, pomyślał. Znajdź kogoś w swoim wieku.

– Jak tam palce? – zapytał Anderson.

– Jak nowe. – Kahlee podniosła ręce i poruszyła palcami. – Jeśli zechcę, jutro mogę zacząć się uczyć gry na pianinie.

– Mam inną propozycję.

Uniosła z zaciekawieniem brwi.

– Jaką?

– Możemy porozmawiać na osobności?

– Nick, wracam za chwilę. – Kahlee poklepała chłopca po ręce, nim wyszła.

– Jak pani chce – burknął.

Anderson wyprowadził ją na korytarz i do pustego pokoju dla pacjentów obok.

– Zamknij drzwi – powiedział, gdy Kahlee weszła.

– Brzmi poważnie – odparła, robiąc, o co prosił.

– Rozmawiałem ze starymi przyjaciółmi z Przymierza. Ani śladu Kai Lenga ani Cerberusa.

– Są jak karaluchy, chowają się, gdy ktoś zapali światło – stwierdziła. – Sądzisz, że będą

na nas polować?

– Wątpię. Nic tym nie zyskają. Poza tym jesteśmy w świetle reflektorów. Karaluchy wolą czaić się w ciemnych kątach.

– Więc jakie masz plany? – zapytała.

– Za kilka godzin odlatuję do Cytadeli. Muszę zabrać ze sobą ciało Graysona.

– Myślisz, że to przekona wreszcie Radę, że Żniwiarze istnieją?

– Widziałaś wyniki badań. Ty mi powiedz.

– Wątpię – przyznała. – Technologia w nim może być oparta na projektach Żniwiarzy, ale wszędzie widać odciski paluchów Cerberusa. Nie ma sposobu, żeby stwierdzić, kto lub co go kontrolowało. Już nie. Pewnie zwałą wszystko na Człowieka Iluzję.

– Rada może nie zechce mnie wysłuchać, ale są ludzie, do których mogę się zwrócić... w Przymierzu i poza nim. Nie możemy już dłużej ignorować tej sprawy, trzeba spróbować powstrzymać Żniwiarzy.

– Chcesz mojego pozwolenia, żeby go zbadać – powiedziała cicho, uświadomiwszy sobie, o co ją prosi. – Chcesz przeprowadzić sekcję. Pokroić go na kawałki i sprawdzić, czego się możesz dowiedzieć o ich technologii.

– To nie jest to samo, co robił Cerberus – podkreślił. – Nie usprawiedliwiam w żadnym razie tego, co mu zrobili. Ale w jednym mieli rację: Żniwiarze nadchodzą, a my musimy znaleźć sposób, żeby z nimi walczyć. Obiecuję, że jego ciało będzie traktowane z szacunkiem i godnie – zapewnił ją. – Ale są rzeczy, których musimy się dowiedzieć.

– Rozumiem – powiedziała cicho.

– To nie koniec – dodał Anderson. – Chcę, żebyś poleciała ze mną. Jesteś najgenialniejszym naukowcem w całej przestrzeni Przymierza. Jeśli chcemy to wszystko rozgryźć, to potrzebujemy cię – przerwał na chwilę, by podkreślić następane słowa: – JA cię potrzebuję.

– Prosisz, żebym opuściła Projekt Podniesienie?

– Wiem, że kochasz te dzieci. I wykonujesz tu kawał dobrej roboty. Ale nic nie jest ważniejsze od Żniwiarzy.

Przez chwilę rozważała jego słowa, potem skinęła głową.

– Tego chciałby Grayson.

– Ty też musisz tego chcieć – podkreślił Anderson. – Nie rób tego z poczucia winy.

– To nie wina – odparła. – Rozmawiałam z nimi za pośrednictwem Graysona. Ze Żniwiarzami. Mówili o cyklu. Powiedzieli, że nasza zagłada jest nieunikniona. Nie będę czekała z boku, aż ich słowa się spełnią.

– Cieszę się. – Ujął ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie. – Nie chciałbym znowu cię stracić.

Ujął jej twarz w dłonie i złożył na jej ustach długi, głęboki pocałunek.

– Lepiej, żeby Nick cię na tym nie przyłapał – zachichotała Kahlee, gdy skończył. – Bo

zacznie tobą rzucać o wszystkie ściany na stacji.

Epilog

Człowiek Iluzja siedział w fotelu, obserwując przez okno wspaniałe błękitne słońce, wokół którego orbitowała stacja. To było odpowiednio oszałamiające i wystarczająco niecharakterystyczne tło dla rozmowy, na którą czekał.

Co jakiś czas pociągał whisky z trzymanej w prawej dłoni szklanki albo zaciągał się głęboko dymem z papierosa. Myślał o wszystkim, co powiedział mu Kai Leng i jakie to miało skutki dla ludzkości i dla Cerberusa.

Wiedział dość na temat admirała Davida Andersona, by mieć pewność, że on tego nie zignoruje. Wreszcie ktoś poza Cerberusem miał zacząć przejmować się Żniwiarzami. Jednak to nie oznaczało, że Człowiek Iluzja usunie się w cień.

Współpraca z Andersonem prawdopodobnie nie wchodziła w grę. W każdym razie nie w najbliższej przyszłości, ale Człowiek nie zamierzał całkiem przekreślać tej opcji. Na razie musiał się jednak upewnić, że jego praca będzie kontynuowana, podczas gdy on będzie odbudowywał swoje imperium.

A to oznaczało, że musiał poprawić stosunki z Arią T'Loak. Nie mógł sobie pozwolić na wojnę z nią, a ona miała coś, na czym mu zależało.

Dokończył właśnie papierosa i zaczął następnego, gdy usłyszał brzęczyk dający znak, że nadeszła wiadomość. Obrócił fotel tak, by siedzieć twarzą do holopadu.

– Przyjmij połączenie – powiedział.

Migoczący trójwymiarowy wizerunek Królowej Piratów z Omegi pojawił się na środku pokoju. Była sama i siedziała w tym samym pokoju, z którego rozmawiała z nim poprzednio.

– Nie jestem zadowolona ze współpracy z Cerberusem – oznajmiła, darując sobie formalności i przechodząc od razu do sedna. – Nie uprzedziłeś mnie, czym stał się Grayson.

– To nie byłoby problemem, gdybyś nie próbowała wziąć go żywcem – odparował Człowiek Iluzja. – To ty podważyłaś naszą umowę.

– Słyszałam, że ostatnio Cerberus co raz obrywa – zmieniła gwałtownie temat, chcąc nim wstrząsnąć.

– Pogłoski o naszym upadku są mocno przesadzone – sparafrazował słowa jednego ze swoich ulubionych pisarzy.

– Przez ciebie straciłam wielu dobrych żołnierzy – powiedziała Aria. – Nie zapominam

takich rzeczy.

– Wojna nie posłuży żadnemu z nas – odrzekł. – Sądziłem, że jesteś na tyle inteligentna, żeby to wiedzieć.

– Dlatego do mnie zadzwoniłeś? Żeby szukać pokoju?

– Mam propozycję biznesową.

Zaśmiała się.

– Skąd pomysł, że na nią przystanę po tym, co stało się ostatnio?

– Ta nie będzie cię nic kosztowała. Żadnego ryzyka. Tylko zysk. Takiej okazji nie możesz przepuścić.

– Słucham.

– Chcę pliki z danymi ze stacji, na której zaatakowałaś turian.

– To było wcześniej wasze laboratorium, prawda? Wykorzystałeś mnie, żeby się na nich zemścić.

– Sądzę, że wykorzystaliśmy się nawzajem. To jak z tymi plikami?

– Dlaczego mam ci je przekazać? Może zachowam je dla siebie.

– Zatrzymaj oryginały. Mnie prześlij kopię.

– Czy te eksperymenty to było to, o czym myślę? – zapytała.

– Nie wiem, o czym myślisz – Człowiek Iluzja uniknął odpowiedzi.

– Co proponujesz?

– Wyślij mi dane, a dam ci trzy miliony. Jeden z góry, dwa po wysłaniu.

– Trzy miliony i zatrzymuję oryginały?

– Chcę tylko danych – zapewnił ją. – Ale będę wiedział, jeśli coś zatrzymasz. Jeśli chcesz pieniędzy, wyślij wszystko.

– Naprawdę w to wierzysz, prawda? – powiedziała. – W Żniwiarzy. Zagładę galaktyki. Nie bierzesz tego za jakieś szalone wymysły.

– Powiedzmy, że nie zamierzam ryzykować.

– Wyślę ci dane – zgodziła się Aria. – Będziesz je miał jutro.

– Dziś przeleję zaliczkę. Na to samo konto co poprzednio.

– Na to samo. – Uśmiechnęła się przebiegle. – W przeciwieństwie do ciebie nie obchodzi mnie, czy ktoś wie, co robię.

Nim zdążył odpowiedzieć, rozłączyła się. Wbrew sobie roześmiał się, rozbawiony tym, jak ważne dla niej było, by mieć ostatnie słowo.

Obrócił krzesło, by spojrzeć w okno, i wyciągnął papierosa. Był w połowie, gdy jedna z asystentek pojawiła się, by podać mu szklankę i natychmiast wyjść.

Pijąc alkohol i paląc papierosa, Człowiek Iluzja obserwował świecącą błękitną gwiazdę i zimną czarną kurtynę za nią. Przez cały czas myślał o jednym.

Żniwiarze gdzieś tam są. I zbliżają się.